

*Fitzpatrick Becca*

*Szeptem*



---

*Są tajemnice, o których mówi  
się tylko szeptem.*

---

*Czasem zdarza się miłość nie z tego świata.*

*Naprawdę nie z tego świata...*

*Patch jest tajemniczy i zabójczo przystojny. Nic  
dziwnego, że szesnastoletnia Nora uległa jego  
urokowi.*

*Niemal natychmiast w jej życiu zaczęły dziać się  
rzeczy, których nie da się wytłumaczyć.*

*Chyba że...*

*Chyba że ktoś wie, że znalazł się w samym środku  
bitwy.*

*Bitwy, którą od wieków toczą Upadli z  
Nieśmiertelnymi.*

*O Twoje życie.*

---

## PROLOG

- Pora na czerwony owoc - powiedziała, pod tykając mi pudełko.  
-Zaraz... to cynamon jest owocem? - Odsunęłam pudełko na bo  
Dolina Loary, Francja, listopad 1565

Chauncey przebywał z młodą wieśniaczką na porośniętych trawą brzegach Loary, gdy nagle zaczęła się burza, i pozbawiony wałacha, którego puścił wolno na łąkę, musiał wracać do zamku pieszo. Zerwawszy z trzewika srebrną klamrę, położył ją na dłoni dziewczyny i chwilę patrzył, jak ta zmyka, w spódnicy utyłanej błotem. Potem naciągnął buty i ruszył do domu.

Ulewa zakryła ciemniejący pejzaż wsi wokół Chateau de Langeais. Chauncey zwawo przeskakiwał zapadnięte w czarnoziemie cmentarza groby. Nawet w najgęstszej mgłę umiał trafić stąd do domu, bez lęku, że się zgubi. Tego wieczoru mgła nie zaległa, ale mrok i zacinający deszcz były wystarczająco zwodnicze. Spostrzegłszy kątem oka jakiś ruch, Chauncey prędko zerknął w lewo i uległ wrażeniu, że wielki anioł wieńczący bliski nagrobek podnosi się z miejsca. Ni to kamienny, ni marmurowy, chłopiec olbrzym był obnażony do pasa, z gołymi stopami, w opadających na biodra portkach. Zeskoczył z grobu na ziemię; jego czarne włosy ociekały deszczem. Woda spływała mu po twarzy, śniadej jak u Hiszpana.

Chauncey dotknął rękojeści miecza.

-Coś ty za jeden?

Na twarzy chłopca odmalował się uśmiech.

Nie igraj z księciem de Langeais - ostrzegł go Chauncey. - Pytałem, jak się zowiesz. No, mów.

-Księciem? - Chłopiec oparł się o pokrzywioną wierzbę. - Czy bękartem?

Chauncey dobył miecza.

-Odwołaj to! Ojciec mój był księciem de Langeais. Więc i ja jestem księciem de Langeais - dodał niepewnie i przeklął się za to w duchu.

Chłopiec leniwie pokręcił głową.

-Nie stary księżę był twym ojcem.

Chauncey zawrzał gniewem na tak nikczemną zniewagę.

-A twój rodzic? - spytał, wyciągając miecz przed siebie. Wprawdzie jeszcze nie znał nazwisk wszystkich swych wasali, ale już pomału się ich uczył. Chciał przywołać w pamięci rodowe miano chłopca. - Raz jeszcze się pytam -rzekł cicho, ocierając ręką twarz z deszczu. - Ktoś ty?

Chłopiec zbliżył się do niego, odsuwając miecz na bok. Nagle wyglądał starzej, niż przypuszczał Chauncey, i może nawet liczył rok, dwa lata więcej od niego.

-Pomiot Szatana - odpowiedział. Chaunceya z przestachu ścisnęło w żołądku.

-Jesteś obłąkany - wycedził przez zęby. - Zejdź mi z drogi.

Ziemia pod jego stopami drgnęła. Pod powiekami buchnęło nagle złotem i czerwienią. Zgarbiony, z paznokciami wpitymi w biodra, spojrzał na chłopca, bez tchu mrugając oczami i próbując pojąć, co się dzieje. W głowie zakręciło mu się tak, jakby zupełnie stracił panowanie nad umysłem.

Chłopiec przykucnął, aby zrównać się z nim wzrokiem.

-Posłuchaj uważnie. Musisz mi coś ofiarować. Nie odejdę, póki tego nie dostanę. Rozumiesz?

Chauncey zacisnął zęby i w odruchu buntu pokręcił głową na znak niedowierzania. Chciał splunąć na chłopca, lecz ślina spłynęła mu po brodzie, bo język odmówił posłuszeństwa.

Chłopiec uściśnął ręce Chaunceya, który, poparzony gorącym jego dłoni, głośno zawył.

-Musisz złożyć mi przysięgę wierności - rzekł chłopiec. - Klęknij i przysięgaj. Chauncey chciał się szorstko roześmiać, ale ze zdławionej krtani dobył się tylko jęk. Choć z tyłu nie było nikogo, jego prawe kolano ugięło się, jakby pod kopniakiem, i zaryło w błocie. Słaniając się, dostał nudności.

-Przysięgaj - powtórzył chłopiec.

Kark Chaunceya objęła fala żaru; wyężając siły, ledwie zdołał zacisnąć dłonie w słabe pięści. Rozbawiło go to, choć wcale nie było mu do śmiechu. Nie pojmował, jakim cudem nieznajomy wywołał u niego raptowne mdłości i osłabienie, które miały ustąpić dopiero, gdy złoży przysięgę. Postanowiwszy usłuchać chłopca, w duchu poprzysiągł sobie, że zniszczy go za to upokorzenie.

-Panie, jestem twoim sługą - rzekł głosem pełnym jadu. Nieznajomy pomógł mu wstać z klęczek.

Spotkamy się tu z początkiem hebrajskiego miesiąca cheszwan. Musisz mi służyć przez dwie niedziele od nowiu do pełni.

-Dwie niedziele? - ciało Chaunceya zatrzęsało się od gniewu. - Jestem księciem de Langeais!

-Jesteś Nefilem - odparł chłopiec, uśmiechając się krzywo

Chauncey miał na końcu języka ciętą ripostę na te słowa, ale zdoławszy ją przełknąć, spytał lodowatym tonem:

-Co takiego?

Należysz do biblijnego rodu Nefilów. W istocie ojcem twym jest anioł, który spadł na ziemię z niebios. Jesteś więc na poły śmiertelnikiem - chłopiec napotkał wzrok Chaunceya, unosząc ciemne oczy - na poły zaś upadłym aniołem.

Przywoławszy z otchłani myśli głos swego nauczyciela, Chauncey usłyszał, jak odczytuje on fragmenty z Biblii i opowiada o rodzie odszczepieńców, rasie przerażającej i potężnej, powstałej, gdy strąceni z nieba aniołowie współżyli ze śmiertelniczkami. Przeszedł go silny dreszcz, na granicy obrzydzenia.

-Ktoś ty?

Chłopiec odwrócił się i zaczął oddalać, lecz mimo że Chauncey chciał ruszyć za

nim w pogoń, nie mógł ustać na osłabionych nogach. Klęcząc, przez zmrużone w deszczu oczy dojrzał na jego plecach dwie grube blizny. Zbiegały się one w kształt odwróconej litery „V”.

-Czyś ty jest... upadły? - zawołał. - Widzę, że odarli cię ze skrzydeł...?

Chłopiec - anioł albo kto tam jeszcze - nie zatrzymał się jednak. Chauncey już nie potrzebował potwierdzenia.

-A te usługi, które mam oddawać... - krzyknął. - Chcę wiedzieć, na czym polegają?

Powietrze rozbrzmiało cichym śmiechem.

## ROZDZIAŁ 1

Coldwater, Maine, współcześnie

Weszłam do sali biologicznej i... szczeka mi opadła. Ciekawe, skąd na tablicy wzięli się Barbie z Kenem. Ktoś przyczepił ich tam razem i na siłę złączył im ręce. Oboje byli na golasa i tylko miejsca intymne mieli przysłonięte sztucznymi liśćmi. Nad głowami lalek widniało hasło, wypisane grubą różową kredą:

ZAPRASZAM DO ŚWIATA ROZMNAŻANIA

Vee Sky, która weszła razem ze mną, powiedziała: -I właśnie dlatego szkoła zakazuje używania komórek z aparatem fotograficznym. Zdjęcia czegoś takiego w e-zinie byłyby dla wydziału oświaty wystarczającym powodem, żeby wywalić biologię z programu. A my w ciągu tej godziny mogłybyśmy robić coś twórczego, na przykład pobierać indywidualne lekcje u ładnych chłopców z wyższych sfer.

- Wiesz, Vee - odparłam - mogę się założyć, że czekałaś na te zajęcia cały semestr.

Vee zatrzepotała rękami i uśmiechnęła się szelmowsko.

-Nie usłyszę na nich niczego, o czym już bym nie wiedziała.

I to mówi Vee dzie-wi-ca?

-Ciszej. - Mrugnęła do mnie, akurat gdy zadzwonił dzwonek, i musiałyśmy zająć miejsca za jednym stołem, obok siebie.

Trener McConaughy chwycił gwizdek dyndający mu na łańcuszku na szyi i zagwizdał.

-Drużyna, siadać!

McConaughy traktował lekcje biologii w dziesiątej klasie jak zajęcia poboczne, bo tak naprawdę pracował jako trener koszykówki na uniwerku, o czym wszyscy wiedzieliśmy.

-Pewnie nie mieści wam się w głowie, że seks to coś więcej niż piętnastominutowy pobyt na tylnym siedzeniu samochodu. Tymczasem seks to nauka. No, a czym jest nauka?

-Nuda - krzyknął jakiś chłopak z tyłu sali. -Jedynym przedmiotem, który mi nie idzie - odezwał się inny.

Trener przemknął wzrokiem po pierwszych rzędach, zatrzymując się na mnie.

-Nora?

-Wiedzą na jakiś temat - odpowiedziałam. Podeszedł do mojego stołu i stuknął w blat palcem wskazującym.

-Coś więcej?

-Wiedzą nabytą poprzez doświadczenia i obserwację. Pięknie. Jak na przesłuchaniu do nagrania audiobooka z naszego podręcznika do biologii.

-Własnymi słowami - zażądał trener.

Dotknęłam końcem języka górnej wargi, szukając jakiegoś synonimu.

-Nauka jest dochodzeniem.

Zabrzmiało to jak pytanie.

-Nauka faktycznie jest dochodzeniem - rzekł trener, zacierając ręce. - Nauka wymaga od człowieka przeobrażenia się w szpiega.

Ujęta w ten sposób nauka wydawała się wręcz frajdą. Zbyt dobrze jednak znałam McConaughy'ego, by sobie robić nadzieje.

-Pomyślnie dochodzenie wymaga praktyki - ciągnął.

-Seks też - zawołał ktoś, znów z tyłu sali. Wszyscy powstrzymaliśmy się od śmiechu, a trener pogroził przestępcy palcem.

-Tego wam dziś nie zadam. - McConaughy znowu zwrócił się do mnie: - Noro, siedzisz z Vee od początku roku.

Skinęłam głową, niestety przeczuwając, do czego zmierza.

-I obie redagujecie e-zin. Przytaknęłam.

-Na pewno zdążyłyście się już dobrze poznać.

Vee kopnęła mnie pod stołem. Wiedziałam, o czym myśli. Że facet nie ma pojęcia, ile o sobie wiemy. I nie chodzi mi tylko o sekrety, które powierzamy pamiętnikom. Vee sianowi moje całkowite przeciwieństwo. Ma zielone oczy, jasnopopielate włosy i kilka kilogramów nadwagi. Ja jestem ciemnoooką brunetką o wielkiej burzy loków, którym nie daje rady nawet najlepsza prostownica. Mam też nogi długie jak barowy stółek. Mimo tych różnic łączy nas niewidzialna więź, którą musiałyśmy nawiązać na długo przed przyjściem na świat - i obie dałybyśmy się pokroić, że przetrwa do końca naszych dni.

Trener rozejrzał się po klasie.

-Założę się, że każde z was nieźle zna osobę, z którą siedzi, bo przecież nie bez powodu wybraliście sobie miejsca. Ze względu na poufałość. Niestety, wyborny detektyw unika poufałości, gdyż tępi ona instynkt badawczy. Dlatego też dzisiaj ustalimy nowe rozmieszczenie was przy stolach.

Otworzyłam usta, by zaprotestować, ale Vee mnie wyprzedziła:

-To jakaś paranoja! Jest kwiecień, czyli prawie koniec roku. Nie może pan teraz wyprawiać takich rzeczy.

Na twarzy trenera pojawił się uśmiezek.

-Mogę wyprawiać takie rzeczy do ostatniego dnia semestru. A jeśli oblejecie mój

egzamin, wróćcie tutaj w przyszłym roku i będę je wyprawiał nadal.

Vee skrzywiła się do niego. Jest znana z tej krzywej miny, spojrzenia, które zawiera niemal słyszalny syk. Jednak wyraźnie odporny na nie trener podniósł gwizdek do ust, tak że już nie było o czym dyskutować.

-Osoby siedzące z lewej strony stołów, czyli po waszej lewej, przesiadają się o jedno miejsce do przodu. A te siedzące dotąd przed nimi... tak, Vee, ty też... przenoszą się do tyłu.

Vee wepchnęła notatnik do plecaka i gwałtownie zasunęła zamek. Zagryzając wargi, machnęła jej na pożegnanie, po czym się obejrzała, aby sprawdzić, kto zajmuje miejsce za nią. Znałam nazwiska wszystkich kolegów i koleżanek z klasy... prócz jednego: chłopaka, który miał do mnie teraz dołączyć. Trener nigdy go nie wywoływał, co chyba mu odpowiadało. Siedział zgarbiony przy stole za naszym, spokojnie patrząc przed siebie chłodnymi czarnymi oczami. Jak zwykle. Do głowy by mi nie przyszło, że siedzi tam tak dzień w dzień ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń. Z pewnością nad czymś rozmyślał, ale, wiedzona intuicją, uznałam, że lepiej nie wiedzieć nad czym.

Położył na stole książkę do biologii i siadł na dawnym krześle Vee.

Uśmiechnęłam się do niego.

-Cześć, jestem Nora.

Przeszył mnie czarnymi oczami, lekko wykrzywając usta. Moje serce zamarło na chwilę, w której niby cień zapadła nade mną jakaś ponura ciemność. Zaraz zresztą zniknęła, ale ja przyglądałam mu się nadal. Nie uśmiechał się przyjaźnie. Był to uśmiech, który oznaczał kłopoty. Niechybne.

Skupiłam wzrok na tablicy. Barbie i Ken gapili się na mnie z dziwnie wesołymi twarzyczkami.

-Rozmnażanie ludzi to nieco lepki temat...

-Błeeeeee! - jęknęli chórem uczniowie.

-Wymaga dojrzałego podejścia. I tak jak w przypadku każdej nauki przyrodniczej, najlepiej zapoznawać się z nim na drodze dochodzenia. Do końca dzisiejszych zajęć poświęćcie śledztwo, próbując dowiedzieć się jak najwięcej o nowym koledze. Na jutro macie przynieść sprawozdania z tych badań i wierzcie mi, sprawdzę, czy są autentyczne. Uczymy się tu biologii, a nie angielskiego, więc niech was nie kusi, aby zmyślać odpowiedzi. Chcę widzieć prawdziwą interakcję i pracę zespołową.

Pobrzmiwało to pogroźką: „bo popamiętacie” Siedziałam spokojnie. Teraz był jego ruch. Gdy wcześniej się uśmiechnęłam, nic dobrego z tego nie wyszło.

Zmarszczyłam nos, próbując się zorientować, czym pachnie. Nie papierosami.

Czymś bardziej intensywnym i paskudnym.

Cygarami.

Napotkawszy wzrokiem zegar na ścianie, zaczęłam wystukiwać ołówkiem rytm wskazówki sekundowej. Położyłam łokieć na stole i wsparłam podbródek na

pięści. Westchnęłam.

No nieźle. W tym tempie niczego się nie dowiem. Gapiąc się przed siebie, usłyszałam jednak miękkie wodzenie piórem po papierze. Pisał - ciekawe co. Dziesięć minut siedzenia przy jednym stole nie uprawniało go jeszcze do wydawania opinii na mój temat. Zerknęłam w jego notatnik i stwierdziłam, że ma już kilka linijek tekstu, którego wciąż przybywało.

-Co piszesz? - zapytałam.

-I mówi po angielsku - odpowiedział, równocześnie to zapisując, łagodnym, a zarazem leniwym ruchem dłoni.

Pochyliłam się nad nim na tyle blisko, na ile starczyło mi odwagi, próbując przeczytać, co napisał, ale momentalnie złożył kartkę na pół i nie zobaczyłam nic.

-Co napisałeś? - spytałam stanowczo.

Sięgnął przez stół po mój czysty arkusz, przysunął go do siebie i zmiął w kulkę. Nim zdążyłam zaprotestować, celnym strzałem wrzucił ją do kosza na śmieci przy biurku trenera.

Chwilę wpatrywałam się w kosz, targana niedowierzaniem i wściekłością, po czym otworzyłam notatnik na czystej stronie.

-Jak się nazywasz? - spytałam, z ołówkiem w pogotowiu.

Spojrzałam na niego znowu tylko po to, żeby zobaczyć ten posępny uśmiech, który chyba tym razem miał mnie ośmielić, abym coś od niego wyciągnęła.

-Nazwisko? - powtórzyłam z nadzieją, że głos załamuje mi się tylko w wyobraźni. Mów mi Patch. Serio. Tak mnie nazywaj. Mówiąc to, lekko mrugnął, uznałam więc, że ze mnie kpi.

-Co robisz w wolnym czasie? - zapytałam.

-Nie wiem wolnego czasu.

-Myślę, że to jest zadanie na ocenę, więc może zechcesz być miły?

Wychylił się do tyłu, krzyżując ręce za głową.

-Miły?

Przekonana, że to znów aluzja, stwierdziłam, że bezpieczniej będzie się wycofać.

-W wolnym czasie, powiadasz - rzeki w zadumie. - Robię zdjęcia.

Drukowanymi literami zapisałam: FOTOGRAFIA.

-Jeszcze nie skończyłem - ciągnął. - Szykuję duży cykl fotek felietonistki pewnego e-zinu, która propaguje żywność ekologiczną, potajemnie para się poezją i drży na samą myśl, że będzie musiała wybierać między Stanford, Yale i... zaraz, jak się nazywa ten wielki na „H”?

Patrzyłam na niego przez chwilę, wstrząśnięta, że w niczym się nie myli. I nie odniosłam wrażenia, że tylko zgaduje. Wszystko wiedział. A ja chciałam się dowiedzieć skąd. Natychmiast.

-Ale nie wylądujesz na żadnym z nich - dodał.

-Doprawdy? - spytałam bez namysłu.



Chwył moje krzesło pod siedzeniem i przyciągnął mnie do siebie. Niepewna, czy mam dać drapaką, pokazując, że się boję, czy nie robić nic i udawać znudzenie, wybrałam drugą opcję.

-Mimo że byłabyś prymuską na każdym z tych trzech uniwersytetów, gardzisz nimi, bo powszechnie kojarzy się je z sukcesem. Ferowanie wyroków to trzecia z twoich największych słabości.

-A druga? - spytałam z lekką furią. Kim jest ten facet? Czy to ma być jakiś wkurzający dowcip?

-Nie wiesz, komu zaufać. Nie: odwołuję. Ufasz ludziom, tyle że zawsze niewłaściwym.

-No, a pierwsza? - zapytałam.

-Trzymasz życie bardzo krótko.

-A cóż to ma znaczyć?

-Boisz się wszystkiego, nad czym nie masz kontroli.

Zjeżyły mi się włosy na karku, a salę ogarnęło lodowate zimno. Normalnie w takiej sytuacji podeszłabym do biurka trenera i poprosiła go o zmianę miejsca, ale nie miałam zamiaru dać odczuć chłopakowi, że może mnie zastraszyć. W irracjonalnym odruchu samoobrony postanowiłam, że nie wycofam się pierwsza.

-Sypiasz nago? - zapytał.

Myślałam, że padnę, ale jakoś się opanowałam.

-Nie jesteś osobą, której chciałabym się z tego zwierzać.

-Byłaś kiedyś u psychiatry?

-Nie - skłamałam. Tak naprawdę chodziłam na terapię do szkolnego psychologa, doktora Hendricksona. Bynajmniej nie z wyboru, no i nie lubiłam rozmawiać na ten temat.

-Popełniłaś przestępstwo?

-Nie - odparłam. Fakt, że parę razy przekroczyłam dozwoloną szybkość, nie zrobiły na nim wrażenia. - Może byś mnie zapytał o coś normalnego? Sama nie wiem... O ulubiony rodzaj muzyki.

-Nie będę pytał o to, czego się domyślam. -Nie masz pojęcia, czego słucham.

-Baroku. Twój świat to przecież ład, porządek. Pewnie grasz... na wiolonczeli? - powiedział to łak, jakby odpowiedź przyszła mu z powietrza.

-Mylisz się - kolejne kłamstwo, lecz tym razem dreszcz przeszedł mi po ciele. Skąd się w ogóle wziął ten facet? Skoro wie, że gram na wiolonczeli, to o czym jeszcze może wiedzieć?

-Co to? - Paten dotknął piórem wewnętrznej strony mojego przegubu.

Odsunęłam się odruchowo.

-Znamię.

-Wygląda jak blizna. Noro, masz skłonności samobójcze? - Nasze oczy się spotkały i fizycznie poczułam, że on się śmieje. - Rodzice są razem czy się rozwiedli?

-Mieszkam z mamą.

-A ojciec?

-Tato zmarł w ubiegłym roku.

-Na co?

Wzdrygnęłam się.

-Został... zamordowany. Wybacz, ale to są jednak sprawy osobiste.

Na chwilę zapadło milczenie, a bezwzględność w jego wzroku jakby nieco złagodniała.

-Na pewno jest ci ciężko - zabrzmiało to szczerze. Zadzwoił dzwonek i Patch wstał, kierując się do drzwi.

-Poczekaj! - zawołałam, ale się nie odwrócił. - Patch! -Był już za drzwiami. - Przecież ja nie mam nic o tobie!

Zawrócił i podszedł do mnie. Ujmując moją rękę, napisał coś na niej, zanim pomyślałam, żeby mu ją wyrwać.

Spojrzałam na siedem cyfr skreślonych na dłoni czerwonym atramentem - i zacisnęłam ją w pięść. Chciałam mu powiedzieć, żeby nie liczył na mój telefon dziś wieczorem. Chciałam powiedzieć, że przez te jego pytania zmarnowałam całą lekcję. Chciałam masę rzeczy, ale stałam bez słowa, jakby mnie замуrowało.

-Dziś wieczór jestem zajęta - odezwał się wreszcie.

-Ja też. - Uśmiechnął się szeroko i już go nie było. Sterczałam jak zakłeta, próbując zrozumieć to, co zaszło.

Czyżby celowo wypytywał mnie do końca zajęć, żebym nie mogła odrobić zadania? Czyżby sądził, że zrehabilituje go jeden promienny uśmiech? Tak - pomyślałam - jasne.

-Nie zadzwonię! - krzyknęłam za nim. - W życiu!!!

-Skończyłaś ten felieton na jutro? - spytała Vee. Zbliżyła się, notując coś w skoroszytcie, z którym nigdy się nie rozstawała. - Bo ja zamierzam napisać o niesprawiedliwości tego rozsadzenia. Dostała mi się dziewczucha, która właśnie dziś rano skończyła leczyć wszawicę.

-Mój nowy kolega - powiedziałam, wskazując korytarz za plecami Patcha. Chód miał wkurzająco pewny, w stylu „wyblakłe džinsy i kowbojski kapelusz”. Tyle że tak się nie ubierał. Patch należał do facetów, którzy noszą ciemne lewisy, ciemne T-shirty na guziki i ciemne buty do kostek.

-Ten kiblujący? Pewnie nie przykładał się do nauki. Kto wie, może repetuje już drugi raz. - Popatrzyła na mnie porozumiewawczo. - Za trzecim razem to sam miód.

-Przyprawia mnie o gęsią skórkę. Wie, czego lubię słuchać. Bez żadnych wskazówek, od razu powiedział: „baroku” - próba naśladowania jego niskiego głosu wyszła mi fatalnie.

-Pewno zgadł.

-Wie też... o innych sprawach.

-Na przykład?

Westchnęłam. Wiedział znacznie więcej, niżbym chciała. -Jak mnie wnerwić - odparłam w końcu. - Powiem trenerowi, żeby nas rozsadził.

-Popieram. Miałabym świetny nagłówek do następnego artykułu:

„Dziesiątklasistka kontratakuję”. Albo jeszcze lepszy: „Rozsadzaj, a dadzą ci po nosie”. Mmm, coś fantastycznego.

Ostatecznie jednak po nosie dostałam ja. McConaughy odrzucił moją prośbę o przeniesienie na poprzednie miejsce. Najwyraźniej zostałam skazana na siedzenie z Patchem.

Na razie.

## ROZDZIAŁ 2

Mama i ja mieszkamy na peryferiach Coldwater, w osiemnastowiecznym wiejskim domu. w którym ciągle wieje. Jest to jedyny budynek przy Hawthorne Lane, tak że najbliższych sąsiadów mamy w odległości prawie mili. Nieraz się zastanawiam, czy jego budowniczy, mając do wyboru mnóstwo działek wokół, świadomie stawiał fundamenty w epicentrum tajemniczej pogodowej anomalii, która najwyraźniej wsysa całą mgłę z wybrzeża Maine i przenosi ją nad nasz ogródek. Dom spowija wtedy mrok przywodzący myśli zabłąkane duchy.

Tego wieczoru uplasowałam się na taborecie w kuchni, w towarzystwie zadania domowego z algebry oraz naszej gosposi, Dorothei. Mama pracuje w Domu Aukcyjnym Hugona Renaldiego; zajmuje się koordynowaniem aukcji nieruchomości i antyków na całym Wschodnim Wybrzeżu. W tym tygodniu była na północy stanu Nowy York. Ze względu na pracę stale podróżuje, więc zatrudniła Dorotheę polowania i sprzątania, ale jestem pewna, że w spisie jej obowiązków umieściła też czujną opiekę nade mną.

Jak było w szkole? - spytała z lekkim niemieckim akcentem Dorothea. Stała przy zlewozmywaku, szorując naczynie żaroodporne z resztek przypalanej lazanii.

-Na biologii siedzę z inną osobą.

-To dobrze czy źle?

-Dotąd siedziałam z Vee.

-Hm... - Od energicznego szorowania aż trzęsa się jej skóra na ramieniu. - Czyli że niedobrze.

Westchnęłam zgodnie.

-Opowiedz mi o tej nowej koleżance. Jaka jest? -Jest wysoki, ciemnowłosy i irytujący.

I niesamowicie zamknięty. Oczy Patena są jak czarne kule. Bierze wszystko, a sam nie daje nic. Choć wcale nie muszę wiedzieć o nim więcej. Nie spodobało mi się to, co spostrzegłam na pierwszy rzut oka, było więc bardzo wątpliwe, że spodoba mi się to, co się czai w jego wnętrzu.

Tylko że to nie do końca prawda. Z tego, co zobaczyłam, spodobało mi się w nim wiele.

Długie, smukłe mięśnie rąk, szerokie, ale nienapięte barki i uśmiech, zarazem figlarny i uwodzicielski. Byłam w wewnętrznej niezgodzie ze sobą, próbując zignorować coś, co miało nieodparty urok.

Przed dziewiątą Dorothea skończyła swój dzień pracy i wychodząc, zamknęła dom na klucz. Na pożegnanie dwa razy błysnęłam jej światłem z werandy, które chyba przeniknęło mgłę, bo w odpowiedzi zatrąbiła. I zostałam sama.

Zrobiłam remanent uczuć, jakie się we mnie kotłowały. Nie byłam głodna. Nie byłam zmęczona. Ani znów tak strasznie samotna. Jednak trochę niepokoiło mnie zadanie z biologii. Powiedziałam Patchowi, że do niego nie zadzwonię, i sześć godzin temu naprawdę nie miałam takiego zamiaru. Teraz myślałam tylko o jednym - żeby nie ponieść klęski. Biologia szła mi najgorzej ze wszystkich przedmiotów. Moje oceny problematycznie chwiały się między bardzo dobrymi i dobrymi, co dla mnie sprowadzało się do tego, czy w przyszłości dostanę całe stypendium, czy tylko połowę.

Wróciłam do kuchni i podniosłam słuchawkę telefonu. Spojrzałam na to, co zostało z wypisanych mi na ręce siedmiu cyfr. Skrycie liczyłam, że Patch nie odbierze. Jeśli będzie nieosiągalny i nie zechce mi pomóc w zadaniu, będę mogła przekonać trenera, żeby jednak nas przesadził. Pełna nadziei, wystukałam numer.

Odebrał po trzecim sygnale.

-O co chodzi?

Rzeczowym tonem zapytałam:

-Dzwonię, żeby spytać, czybyśmy się dziś nie spotkali. Wiem, że jesteś zajęty, ale...

-Nora - wypowiedział moje imię, jakby to była puenta dowcipu. - Myślałem, że nie zadzwonisz. Nigdy.

Byłam wściekła na siebie, że zlekceważyłam własne słowa. Byłam wściekła na Patcha, że mi to wypomniał. I wściekła na trenera i jego pokopane zadania.

Otworzyłam usta z nadzieją, że powiem coś mądrego.

-Więc jak? Spotkamy się czy nie?

-Tak się składa, że nie mogę.

-Nie możesz czy nie chcesz?

-Jestem pochłonięty grą w bilard - w jego głosie usłyszałam rozbawienie. - To bardzo ważna rozgrywka.

Z odgłosów w słuchawce wywnioskowałam, że nie kłamie - na temat gry w bilard.

Wciąż jednak wydawało mi się dyskusyjne, czy jest ona ważniejsza od mojego zadania domowego.

-Gdzie jesteś? - zapytałam.

-W Bo's Arcade. Nie czułabyś się tu dobrze.

-To zrobmy ten wywiad przez telefon. Mam tu listę pytań, więc...  
Przerwał połączenie.

Z niedowierzaniem spojrzałam na słuchawkę - i wyrwałam kartkę z notesu. W pierwszej linijce napisałam „Palant”. Poniżej dodałam: „Pali cygara. Umrze na raka płuc. Oby jak najszybciej. Świetna forma fizyczna”.

Natychmiast zabazgrałam ostatnią uwagę, żeby nie dało się jej odczytać. Zegar mikrofalówki wskazał dziewiątą pięć. Uznałam, że zostały mi dwie możliwości. Sfabrykowanie wywiadu z Patchem albo wycieczka autem do Bo's Arcade. Pierwsza byłaby całkiem kusząca, gdybym tylko umiała zagłuszyć w sobie przestrożę McConaughy'ego, że sprawdzi autentyczność wszystkich odpowiedzi. Wiedziałam o Patchu stanowczo za mało, żeby zamydlić trenerowi oczy. A druga? Nie kusila mnie zupełnie.

Z podjęciem decyzji zwlekałam dostatecznie długo, by zadzwonić do mamy. W związku z jej pracą i wiecznymi wyjazdami umówiliśmy się między innymi, że będę zachowywać się odpowiedzialnie, a nie jak córka, która wymaga ciągłego pilnowania. Lubiłam swoją wolność i nie chciałam dawać mamie powodów, żeby obcięła mi kieszonkowe i znalazła sobie pracę na miejscu, by mieć mnie na oku. Po czwartym sygnale odezwała się poczta głosowa.

-To ja - powiedziałam. - Chciałam się tylko zameldować. Mam jeszcze do skończenia zadanie na biologię, a potem idę do łóżka. Jak chcesz, to zadzwoń jutro w porze lunchu. Kocham cię.

Po odłożeniu słuchawki, w szufladzie kredensu znalazłam dwudziestopięciocentówkę. Trudne decyzje najlepiej powierzać losowi.

-Jak wypadniesz ty, to jadę - poinformowałam profil Jerzego Waszyngtona - a jak reszka, zostaję.

Rzuciłam monetę w górę, przycisnęłam ją do wierzchu dłoni i odważyłam się zerknąć... Serce zabiło szybciej i pomyślałam, że nie wiem, co to właściwie znaczy.

-Sprawa wymyka mi się spod kontroli - szepnęłam. Zdecydowana załatwić sprawę jak najprędzej, sięgnęłam po leżącą na lodówce mapę, wzięłam kluczyki i cofnęłam na podjeździe mojego fiata spidera. W 1979 roku pewnie uchodził za piękny, ale ja nie przepadałam za czekoladowym brązem jego karoserii, za rdzą, która prawie całkiem zeżarła tylny błotnik, ani za popękkanymi siedzeniami z białej skóry.

Okazało się, że wtulony w wybrzeże klub Bo's Arcade jest o wiele dalej, niżbym chciała - jakieś trzydzieści pięć minut drogi od domu. Z mapą rozplaszczoną na kierownicy, postawiłam auto na parkingu za sporym budynkiem z pustaków, z rozbłyskującym neonem:

BO`S ARCADE: DZIKI CZARNY PAINTBALL I SALA BILARDOWA OZZA  
Ziemia pod murem zapaćkanym graffiti upstrzona była niedopałkami.  
Stwierdziłam, że na pewno złążą się tam przyszli członkowie Ivy League i

wzorowi obywatele. Staralam się myśleć wzniosie i nonszalancko, ale coś jakby kłuło mnie w żołądku. Sprawdziwszy dwa razy, czy zamknęłam wszystkie drzwi, skierowałam się do środka.

Stanęłam w kolejce, licząc, że uda mi się wejść na krzywy ryj. Gdy grupka przede mną kupowała bilety, przecisnęłam się naprzód i poszłam w kierunku labiryntu wyjących syren i rozmigotanych świateł.

-Myślisz, że to impreza za darmoche? - ryknął za mną ochrypli od dymu głos. Zawróciłam i puściłam oko do mocno wytatuowanego kasjera.

-Nie przyszłam się bawić. Ja tylko kogoś szukam.

-Chcesz wejść, musisz zapłacić - odburknął.

Położył dłonie na kontuarze kasy, do którego przymocowano żyłką cennik, wskazując, że jestem winna piętnaście dolarów. Płatność wyłącznie w gotówce. Nie miałam pieniędzy. A zresztą gdybym miała, wolałabym ich nie marnować na kilka minut pogawędki z Patchem o jego życiu osobistym. Ogarnęła mnie złość na to całe rozsadzanie i na to, że w ogóle się tu znalazłam. Chciałam tylko go odszukać i potem pogadać z nim na zewnątrz. Nie po to przejechałam taki kawał drogi, żeby się stamtąd wynieść z pustymi rękami.

-Jeśli nie wrócę za dwie minuty, zapłacę te piętnaście dolców - powiedziałam. Zanim jednak zdążyłam lepiej rozeznac się w sytuacji albo wykrzesać z siebie odrobinę cierpliwości, zrobiłam coś zupełnie nie w moim stylu i przelazłam pod barierką. Nie zatrzymując się, pognałam w głąb klubu, wypatrując Patcha. Nie mogłam uwierzyć, że to się dzieje, ale byłam jak tocząca się śnieżna kula, która nabiera pędu. Marzyłam tylko o tym, żeby znaleźć faceta i zaraz się stamtąd wymiksować.

Kasjer pognał za mną z wrzaskiem:

-Ej, ty!

Patcha na sto procent nie było na głównym poziomie, więc zbiegłam po schodach na dół, podążając za napisami, które kierowały do Sali Bilardowej Ozza. U podnóża schodów, w przyćmionym świetle halogenowych reflektorków zobaczyłam kilka stolików do pokera. Wszystkie miejsca były pozajmowane. Pod niskim stropem wisiał kłęb dymu z cygar, prawie tak gęsty jak mgła otaczająca mój dom. Między stolikami do pokera i barem ledwie mieścił się rząd stołów do bilardu. Pochylony nad tym stojącym najdalej ode mnie, Patch szykował się do skomplikowanego zagrania po bandzie.

-Patch! - zawołałam.

W tej samej chwili dźgnął kijem, wbijając go w blat stołu. Błyskawicznie podniósł głowę i spojrzał na mnie, zdumiony i zciekawiony.

Kasjer, który zbiegł za mną ciężkim krokiem, ścisnął mi ramię jak w imadle.

-Na górę. Już!

Patch znów wykrzywił usta w ledwie dostrzegalny uśmieszek. Trudno mi było stwierdzić: kpiący czy przyjazny.

-Ona jest ze mną.

Musiało to wyrzucić wrażenie na kasjerze, który rozluźnił uścisk. Zanim zdążył się rozmyślić, strząsnęłam z siebie jego rękę i przemknęłam między stolami w stronę Patcha. Próbowałam stawiać wielkie kroki, ale zbliżając się do niego, stopniowo traciłam pewność siebie.

Natychmiast dotarło do mnie, że zachowuje się inaczej niż w szkole. Nie umiałam określić, na czym polega ta odmienność, ale poczułam ją jak prąd.

Czyżby przyływ złości?

Pewność.

Większa swoboda bycia. I te czarne oczy, wbite we mnie. ściągające każdy mój ruch jak magnes. Dyskretnie przełknęłam ślinę i starałam się zignorować mdlące pląsy żołądka.

Z Patchem coś było nie w porządku, ale co - nie wiedziałam. Miał w sobie coś nienormalnego. Coś... groźnego.

-Sorry, że cię zatrzymali - powiedział, stając przy mnie. - Nie grzeszą tutaj gościnnością. A jakże.

Przechylając głowę, dał współgraczom znak, żeby się oddalili. Zanim ktokolwiek się poruszył, zapadła nieprzyjemna cisza. Facet, który odszedł pierwszy, mocno naparł na mnie barkiem. Aby odzyskać równowagę, zrobiłam krok do tyłu, a kiedy podniosłam wzrok, zauważyłam, że pozostali dwaj gracze poczęstowali mnie na odchodne lodowatymi spojrzeniami.

Pięknie. Przecież to nie moja wina, że trener posadził mnie z tym typem.

-Ósemka? - uniosłam brwi, udając, że jestem w stu procentach pewna siebie i oswojona z klubem. Może Patch miał rację i Bo`s Arcade nie było miejscem w moim stylu. Tak czy siak, nie zamierzałam teraz rzucić się do wyjścia. - Jak duża stawka?

Uśmiechnął się szeroko. Tym razem byłam pewna, że ze mnie kpi.

-Nie gramy o pieniądze. Położyłam torebkę na krawędzi stołu.

-Szkoda. Bo już chciałam postawić przeciwko tobie wszystko, co mam - podsunęłam mu arkusz z zadaniem, z dwiema zapisanymi już linijkami. - Parę szybkich pytań i się stąd wynoszę.

„Palant”? - odczytał głośno Patch, wspierając się na kiju. - „Rak płuc”? Cóż to ma być, przepowiednia?

Powachlowałam się kartką.

-Rozumiem, że przyczyniasz się do stworzenia tutejszej atmosfery, ile cygar na wieczór? Jedno? Dwa?

-Nie palę - zabrzmiało szczerze, ale tego nie kupiłam.

-Akurat - odparłam i umieściłam kartkę między fioletową a czarną bilą. Pisząc w trzeciej linijce: „Zdecydowanie cygara”, przypadkiem potraçałam fioletową.

-Psujesz rozgrywkę - rzekł Patch, nadal uśmiechnięty.

Napotkawszy jego wzrok, nie mogłam powstrzymać przelotnego uśmiechu.

-Oby na twoją niekorzyść. Największe marzenie? Z tego pytania byłam bardzo dumna, bo wiedziałam, że jego z tropu. Wymagało przemyślenia.

-Żeby cię pocałować.

-Nie ma w tym nic śmiesznego - rzuciłam, wciąż wpatrzona w jego oczy, dziękując Bogu, że się nie zająknęłam.

-Owszem, ale się zarumieniłaś.

Przysiadłszy na kancie stołu, próbowałam przybrać obojętną minę. Zakładając nogę na nogę, zaczęłam pisać na kolanie.

-Pracujesz?

-Kelneruję w Granicy. Najlepsza meksykańska knajpa mieście.

-Wyznanie?

-Pytanie chyba go nie zaskoczyło, ale też nie był nim specjalnie ucieszony.

-Miało być parę prostych pytań, a doszłaś już do czwartego.

-Wyznanie? - spytałam bardziej stanowczo. W zadumie przesunął dłonią po podbródku.

-To nie wyznanie... tylko sekta.

-Należysz do sekty? - Zbyt późno dotarło do mnie, że mimo woli spytałam o to z zaskoczeniem.

-Tak się składa, że potrzebuję zdrowej kobiety na ofiarę, Zamierzałem ją uwieść, stopniowo wzbudzając w niej zaufanie, ale skoro jesteś już gotowa...

Resztką uśmiechu zniknęła z moich ust.

-Wcale mi nie imponujesz.

-Jeszcze nie podjąłem takiej próby. Odsunąwszy się od stołu, stanęłam z nim twarzą w twarz. O głowę wyższy.

-Wiem od Vee, że repetujesz. Ile razy w dziesiątej klasie oblewałaś biologię? Raz, czy może dwa?

-Vee nie jest moją rzeczniczką.

-Zaprzeczasz, że oblewałaś?

-Zapewniam cię, że w zeszłym roku nie chodziłem do szkoły.

Drwił ze mnie w żywe oczy, tak że nakręciłam się jeszcze bardziej.

-Wagarowałaś?

Patch odłożył kij w poprzek stołu i pokiwał palcem, dając mi znak, żebym się do niego przybliżyła. Ani drgnęłam.

-Powierzę ci pewien sekret - szepnął poufnym tonem. -Dotąd w ogóle nie chodziłem do szkoły. I jeszcze jeden: nie jest w niej aż tak nudno, jak mi się wydawało.

Kłamał. Do szkoły chodzi każdy, bo takie jest prawo. Kłamał, żeby mnie rozdrażnić.

-Myślisz, że kłamię - dodał z uśmiechem.

-W życiu nie chodziłeś do szkoły? Jeśli to prawda, a bądź pewny, że ci nie wierzę, co cię skłoniło do zapisania się w tym roku?



-Ty.

Ogarnęło mnie przerażenie, ale stwierdziłam, że Patchowi o to właśnie chodzi. Nie ustępując, starałam się udawać poirytowaną, ale i tak głos odzyskałam dopiero po chwili:

-Kłamiesz.

Musiał zbliżyć się o krok, bo nagle nasze ciała przestało dzielić nawet powietrze.

-Te twoje oczy. Noro. Te zimne, bladopopielate oczy mają nieodparty powab. -

Przekrzywił głowę, jakby chciał mi się przyjrzeć pod innym kątem. - I te zabójczo wygięte wargi.

Zdumiona nie tyle jego słowami, ile tym, że właściwie odebrałam je pozytywnie, cofnęłam się.

-Dosyć. Wychodzę.

Już wypowiadając te słowa, wiedziałam, że są fałszywe, i odczułam chęć dodania czegoś jeszcze. Pogrzebałam w plątaninie myśli w nadziei znalezienia czegoś stosownego. Dlaczego tak ze mnie szydzi, no i czemu zachowuje się tak, jakbym sobie na to zasłużyła?

-Jak widać, wiesz o mnie wiele - oznajmiłam, bijąc rekord w dziedzinie

niedomówień. - Więcej, niż powinienes. Doskonale wiesz, jak mnie speszyć.

-W twoim przypadku nie jest to zbyt trudne. Zapłonęła we mnie iskra gniewu.

-Przyznajesz, że robisz to umyślnie?

- Co?

-To, że mnie prowokujesz.

-Powiedz jeszcze raz: „prowokujesz”. Prowokująco układasz przy tym usta.

-Dość. Możesz dokończyć tę swoją rozgrywkę. - Porwałam ze stołu kij i szturchnęłam nim Patcha, który go jednak nie chwycił. - Nie podoba mi się to, że z tobą siedzę -oświadczyłam. - Nie chcę się z tobą zadawać. Nie lubię twojego protekcyjnego uśmiechu. - Zadrżały mi wargi, jak zwykle, kiedy kłamię; ciekawe, czy to też było kłamstwo, a jeśli tak, chętnie bym sobie dokopała. - Nie lubię cię. - Siłąc się na wiarygodność, pchnęłam go kijem w pierś.

-Fajnie, że trener posadził nas razem - odparł Patch. W słowie „trener” wyczulałam leciutką ironię, ale nie umiałam rozgryźć jej ukrytego sensu. Tym razem wziął ode mnie kij.

-Postaram się to zmienić - odparowałam.

Patcha rozbawiło to tak niesłychanie, że w uśmiechu aż odsłonił zęby. Przygarnął mnie ramieniem i nim zdążyłam się odsunąć, wyplątał mi coś z włosów.

-Skrawek papieru - wyjaśnił i cisnął go na ziemię, Gdy wyciągał rękę, na wewnętrznej stronie jego przegubu spostrzegłam jakby plamkę. W pierwszej chwili myślałam, że to zwykły tatuaż, ale zerknąwszy po raz drugi, stwierdziłam, że jest to czerwonawe, nieco wypukłe znamię. W kształcie rozbryźniętej kropli farby.

-Wyjątkowo nieciekawe miejsce na znamię - powiedziałam, niezłe wytrącona z

równowagi, że ma je prawie w tym samym miejscu, gdzie ja bliźnę.

Niedbale, lecz dostrzegalnie nasunął rękaw na nadgarstek.

-Wolałabyś w intymniejszym?

-Nigdzie bym nie wolała. - Niepewna, jak to zabrzmiało, podjęłam kolejną próbę:

- Guzik mnie obchodzi, że w ogóle je masz. - Spróbowałam po raz trzeci: - Nie interesuje mnie twoje znamię i kropka.

-Będzie więcej pytań? - usłyszałam. - Może jakieś uwagi?

- Nie.

- To do zobaczenia na biologii.

Chciałam mu powiedzieć, że nie zobaczymy się już nigdy, ale nie miałam zamiaru odwoływać własnych słów dwa razy w ciągu jednego dnia.

W środku nocy wyrwał mnie ze snu jakiś trzask. Znieruchomiałam z twarzą przyciśniętą do poduszki, w stanie najwyższej czujności. Mama wyjeżdżała w interesach przynajmniej raz na miesiąc, przywykłam więc do spania w pustym domu i dawno już przestałam sobie wyobrażać, że ktoś skrada się po schodach do mojego pokoju. Prawdę powiedziawszy, nigdy nie czułam się samotnie.

Niedługo po tym, jak w Portland zastrzelono tatę, kiedy kupował mamie prezent na urodziny, w moje życie wkroczyła jakaś dziwna istota. Tak jakby ktoś okrążał mój świat, obserwując mnie z pewnego oddalenia. Widmo to z początku napawało mnie przestrachem, ale ponieważ nie krzywdziło mnie w żaden sposób, lęk prawie całkiem osłabi. Zaczęłam się zastanawiać, czy moimi odczuciami steruje coś z kosmosu. Może to duch taty był w pobliżu. Myśl o tym zazwyczaj mnie uspokajała, dziś jednak było inaczej. Tak jakby widmo skuło mi lodem skórę.

Przechyliwszy odrobinę głowę, dostrzegłam na podłodze niewyraźny kształt.

Obróciłam się do okna, gdyż jedynym źródłem światła w pokoju był przejrzysty jak mgiełka blask księżyca. Przyciskając poduszkę do twarzy, stwierdziłam,, że to pewnie chmura mija księżyc. Albo jakiś śmieć, unoszony podmuchami wiatru. Ale nic takiego nie było. W każdym razie następnych kilka minut spędziłam, czekając, aż mi się uspokoi tętno.

Gdy w końcu zdobyłam się na odwagę, by wstać z łóżka, w ogrodzie za oknem panował bezruch i cisza. Jedyny hałas wywoływały ocierające się o dom gałęzie i ciche uderzenia mojego serca.

### ROZDZIAŁ 3

Trener McConaughy stał pod tablicą i przynudzał, ale ja byłam myślami daleko od zawiloci przyrody.

Pochłonięta formułowaniem powodów, dla których powinnam przestać siedzieć z Patchem, robiłam ich listę na odwrocie jakiegoś starego sprawdzianu. Chciałam przedstawić swoje argumenty trenerowi przed samym końcem lekcji. „Nie

pomaga przy odrabianiu zadań - zapisałam. - Wykazuje minimalne zainteresowanie pracą zespołową".

Najbardziej jednak niepokoiły mnie powody nieujęte w spisie. Miejsce, w którym miał znamię, wydawało mi się niesamowite, no i przerażało mnie to, co minionej nocy zaszło pod moim oknem. Wprawdzie nie byłam tak do końca pewna, czy to on mnie szpiegował, ale nie mogłam zignorować zbiegu okoliczności, że prawie na sto procent widziałam, jak ktoś zagląda mi w okno zaledwie parę godzin po spotkaniu z nim.

Na myśl o tym, że Patch mnie szpieguje, sięgnęłam do przedniej kieszeni plecaka, wysypałam z buteleczki dwie tabletki żelaza i połknęłam je bez rozgryzania. Na sekundę utknęły mi w gardle, po czym trafiły tam, gdzie trzeba. Kątem oka spostrzegłam, że Patch uniósł brwi. Zastanawiałam się, czyby mu nie wytłumaczyć, że mam anemię i muszę brać żelazo kilka razy dziennie, zwłaszcza w chwilach stresu, ale uznałam, że lepiej mu nie mówić. Anemia nie zagraża mojemu życiu... pod warunkiem że łykam żelazo regularnie. Nie wpadłam aż w taką paranoję, by sądzić, że Patch chce mi zrobić krzywdę, jednak mój stan zdrowia był słabością, z którą lepiej się nie obnosić.

- Noro?

Trener stał na środku sali z ręką wyciągniętą w geście wskazującym, że czeka tylko na jedno - na moją odpowiedź. Na policzki wolno wystąpiły mi rumieńce.

- Czy mógłby pan powtórzyć pytanie? Klasa prychnęła.

- Jakich cech szukasz u potencjalnego partnera seksualnego?

- Potencjalnego partnera?

- No już, nie mamy całego popołudnia. Zza pleców usłyszałam śmiech Vee.

Najwyraźniej ścisnęło mnie w gardle.

- Mam podać cechy charakterystyczne...?

- Potencjalnego partnera, gdybyś była łaskawa. Bezwiednie zerknęłam na Patcha. Niedbale rozsiadł się na krześle i obserwował mnie z satysfakcją. Z tym swoim uśmiechem pirata szepnął:

- Czekamy.

Położyłam ręce na stole, z nadzieją, że wyglądam spokojniej, niż się czuję.

- Nigdy o tym nie myślałam.

- Więc teraz szybko pomyśl.

- Czy mógłby pan zapytać przede mną kogoś innego? Zniecierpliwiony trener wskazał na lewo ode mnie.

- Patch, twoja kolej.

W przeciwieństwie do mnie, odpowiadał ze spokojem i pewnością. Ułożył się tak, że jego tułów był lekko przechylony w moją stronę i nasze kolana dzieliło zaledwie kilka centymetrów.

- Inteligencja. Uroda. Wrażliwość.

McConaughy wziął się do spisywania tego na tablicy.

- Wrażliwość - powtórzył. - To znaczy?

Vee powiedziała głośno:

- Czy to ma coś wspólnego z tematem, który omawiamy? Bo ja nie widzę w podręczniku ani słowa o cechach charakterystycznych idealnego partnera seksualnego.

Trener przestał pisać na chwilę, która mu wystarczyła, by spojrzeć na nas przez ramię.

- Każde zwierzę na ziemi wabi partnerów w celu reprodukcji. Żaba się nadyma. Goryl samiec bije się pięściami w klatkę piersiową. Widzieliście, jak samiec kraba podnosi się i kłapie szczypcami, by zwrócić na siebie uwagę samicy? Pociąg fizyczny stanowi podstawowy czynnik w rozmnażaniu tak zwierząt, jak i ludzi. Panno Sky, proszę nam odczytać swoją listę.

Vee wystawiła pięć palców.

- Przystojny, bogaty, pobłażliwy, wściekle opiekuńczy, no i troszkę groźny. - Po każdym przymiotniku zaginała jeden palec.

Patch zaśmiał się pod nosem.

-U ludzi pociąg fizyczny ma to do siebie, że nigdy nie wiadomo, czy druga osoba go odwzajemnia - powiedział.

- Doskonale - pochwalił trener.

- Człowiek jest wrażliwy, bo zna ból i krzywdę. - W tym momencie Patch trącił mnie kolanem.

Odsunęłam się jak oparzona, powstrzymując się od myśli, co chciał mi w ten sposób dać do zrozumienia. Przytaknąwszy, McConaughy dodał:

- Złożoność pociągu fizycznego i rozmnażania u ludzi to jedna z właściwości, które odróżniają nas od innych gatunków.

Patch, słysząc to, chyba parsknął, ale odgłos był cichutki, więc nie wiem, czy na pewno. Trener ciągnął dalej:

- Od zarania dziejów kobietę pociąga u partnera silna zdolność przetrwania, a zatem inteligencja i sprawność fizyczna, bo zapewniają one większe prawdopodobieństwo, że mężczyzna o takich cechach przyniesie jej do domu pożywienie. - Uśmiechnął się, podnosząc w górę kciuki. - Wiedźcie, że kolacja równa się przetrwaniu.

Nikt się nie roześmiał.

- Podobnie - kontynuował - mężczyznę pociąga uroda, bo świadczy ona o zdrowiu i młodości, to znaczy: nie ma sensu łączyć się w parę z chorowitą partnerką, która nie będzie zdolna do wychowywania dzieci.

Nasunąwszy okulary na grzbiet nosa, zachichotał.

- To strasznie seksistowskie - zaoponowała Vee. - Niech nam pan opowie o czymś, co odnosi się do kobiet w dwudziestym pierwszym wieku.

- Panno Sky, proszę podejść do kwestii rozmnażania z punktu widzenia nauki, a zrozumie pani, że dzieci są kluczowe dla przetrwania naszego gatunku. Im

więcej urodzi pani dzieci, tym większy będzie pani wkład w zasoby genetyczne. Niemal usłyszałam, jak Vee wznosi oczy do nieba.

- No, chyba pomału zbliżamy się do dzisiejszego tematu, czyli seksu - powiedziała.

- Niezupełnie - odparł McConaughy, unosząc w górę palec. - Seks musi być poprzedzony pociąganiem erotycznym, który wywołuje jeszcze mowę ciała. Trzeba zakomunikować potencjalnemu partnerowi: „Jestem tobą zainteresowany”, tyle że znacznie bardziej lapidarnie.

Następnie zwrócił się do Patcha:

- No dobrze. Powiedzmy, że jesteś na przyjęciu. W pokoju roi się od przeróżnych dziewcząt. Widzisz blondynki, brunetki, rude, kilka czarnowłosych. Jedne są rozmowne, inne wyglądają na nieśmiałe. Znajdujesz dziewczynę, która odpowiada twoim wymaganiom: atrakcyjną, inteligentną i wrażliwą. Jak dajesz jej do zrozumienia, że jesteś nią zainteresowany?

- Wybieram ją z tłumu i zagaduję.

- Dobrze. Przejdźmy do sedna. Skąd wiesz, czy jest odważna, czy woli, żebyś to ty wykonał kolejny krok?

- Obserwuję ją - odpowiedział. - Staram się rozgryźć, o czym myśli i co czuje. Sama mi tego nie zdradzi, więc muszę się jej uważnie przyglądać. Czy się do mnie przybliży? Czy patrzy mi w oczy, a potem odwraca wzrok? Czy zagryza wargi i bawi się włosami, jak w tej chwili Nora?

Klasa wybuchnęła śmiechem. Opuściłam ręce na kolana.

- Jest odważna - stwierdził Patch i znów trącił mnie nogą.

Jakby tego było mało, spiekłam raka.

- Świetnie! Doskonale! - z uśmiechem zawołał trener, podekscytowany, że bierzemy czynny udział w lekcji.

- Naczynka krwionośne na twarzy Nory rozszerzają się i jej skóra się rozgrzewa

- oznajmił Patch. - Wie, że jest oceniana. Lubi być w centrum uwagi, ale nie do końca potrafi temu sprostać.

-Wcale się nie rumienię.

- Denerwuje się - dodał. - Głaszcze się po ramieniu, żeby odwrócić uwagę od twarzy i skierować ją na sylwetkę, A może na skórę. To jej silne atuty.

Zatkało mnie. Żartuje - pomyślałam. - Nie, jest walnięty. Nie miałam bladego pojęcia, jak się postępuje z wariatami, i było to widać. Poczułam się tak, jakbym nasze dotychczasowe spotkania spędziła wyłącznie na wpatrywaniu się w niego z otwartą buzią. Gdybym miała złudzenia, że dotrzymam mu kroku, musiałabym obchodzić się z nim inaczej.

Oparłam dłonie płasko na stole i uniosłam brodę, próbując w ten sposób pokazać, że mimo wszystko mam swoją godność.

- To śmieszne - powiedziałam.

Wyciągnąwszy rękę z przesadną przebiegłością, Patch zwiesił ją na oparciu

mojego krzesła. Uległam dziwnemu wrażeniu, że groźba ta jest skierowana wyłącznie do mnie i że ani trochę mu nie zależy, jak to odbierze klasa. Rozległy się śmiechy, ale on zdawał się nic nie słyszeć. Siedział ze wzrokiem utkwionym w moich oczach, tak że przez chwilę wydawało mi się, jakby rzeźbił dla nas obojga w powietrzu intymny świat, do którego nikt nie ma dostępu.

-Wrażliwa - rzeki bezgłośnie.

Przy blokowałam kostkami nogi krzesła i gwałtownie wysuwając się do przodu, poczułam, jak jego ręka spada z oparcia. Wcale nie jestem wrażliwa.

- Otóż właśnie! - powiedział trener. - Biologia w ruchu.

- Czy teraz już moglibyśmy pomówić o życiu płciowym? - zapytała Vee.

- Jutro. Przeczytajcie rozdział siódmy i bądźcie gotowi do dyskusji.

Zadzwoił dzwonek i Patch odstawił swoje krzesło na miejsce.

- Fajnie było. Trzeba by to kiedyś powtórzyć.

Zanim zdołałam wymyślić coś bardziej zwięzłego niż „nie, dzięki”, precyzyjnie się za mną i zniknął za drzwiami.

- Piszę petycję o wylanie trenera - oznajmiła Vee, podchodząc do mojego stołu. - Co to miało być? Rozwodnione porno. Niewiele brakowało, a kazałby wam zająć na tym stole pozycję horyzontalną, na golasa, przystąpić do aktu prokreacji i...

Przygwoździłam ją spojrzeniem, które mówiło: „Sądysz, że mam ochotę na powtórkę?”.

- Tak - prowokacyjnie odparła Vee, robiąc krok w tył.

- Muszę pogadać z trenerem. Spotykamy się za dziesięć minut pod twoją szafką.

- Jasne.

Podeszłam do biurka McConaughy'ego, za którym siedział, pochylony nad rozkładem meczów koszykarskich. Wszystkie te iksy i zera sprawiały wrażenie, jakby grał w kółko i krzyżyk.

- Co tam, Noro? - spytał, nie patrząc na mnie. - Słucham, o co chodzi?

- Chciałabym panu powiedzieć, że przez to nowe rozsadzenie i temat lekcji czuję się nieswojo.

Trener oparł się na krześle i założył ręce za głowę.

- A ja jestem z tego rozsadzenia zadowolony, tak jak z obrony „każdy swego”, którą opracowuję na sobotni mecz.

Podsunęłam mu pod nos szkolny kodeks praw i obowiązków ucznia.

- Zgodnie z prawem uczeń nie może czuć się zagrożony na terenie szkoły.

- Czujesz się zagrożona?

- Czuję się nieswojo. I chciałabym panu zaproponować pewne rozwiązanie tego problemu. - Nie przerwał mi, więc śmiało wzięłam wdech. - Udzielę korepetycji z biologii wskazanemu przez pana uczniowi, jeżeli znów posadzi mnie pan z Vee.

- Patchowi przydałby się korepetytor. Udało mi się nie zazgrzytać zębami.

- Ale to wbrew mojej prośbie.

- Widziałaś go dzisiaj? Zaangażował się w dyskusję. Cały rok się nie odzywał, a

kiedy posadziłem go z tobą: bingo! Na pewno poprawi sobie u mnie ocenę.

- A Vee sobie pogorszy.

- Tak bywa, kiedy nie można rozglądać się na boki w poszukiwaniu poprawnej odpowiedzi - odparł sucho.

- Vee jest po prostu niezbyt pilna. Pomogę jej.

- Nic z tego. - Zerknąwszy na zegarek, dodał: - Spóźnię się na spotkanie. Masz do mnie coś jeszcze?

Chciałam wycisnąć z siebie dodatkowy argument, ale najwyraźniej zabrakło mi weny.

- Spróbuj posiedzieć na nowym miejscu jeszcze parę tygodni. Aha, jeśli chodzi o uczenie Patcha, mówiłem poważnie. Wezmę pod uwagę twoją kandydaturę.

Nie czekając na odpowiedź, McConaughy zagwizdał melodię z teleturnieju Va banque i wyszedł z sali.

O siódmej niebo groźnie pociemniało atramentowym błękitem. Zasunęłam zamek płaszczka pod szyję, by nie zmarznąć. Vee i ja wracałyśmy na parking po seansie Ofiary. Recenzowałam filmy dla e-zinu, a że obejrzałam już co drugi z wyświetlanych w tym kinie, stwierdziłyśmy, że pozostaje nam najnowszy wielkomiejski thriller.

- W życiu nie widziałam bardziej pokopanego filmu. Od dziś z założenia nie oglądamy niczego, co może kojarzyć się z horrorem - zarządziła Vee.

Nie miałam nic przeciwko temu. Biorąc pod uwagę, że zeszłej nocy ktoś czaił się pod moim oknem, i dokładając do tego obejrzany właśnie klasyczny dreszczowiec - zaczynała mnie ogarniać lekka paranoja.

- Wyobrażasz sobie? - szepnęła Vee. - Żyjesz, nie mając pojęcia, że utrzymują cię przy życiu tylko po to, żeby cię złożyć w ofierze.

Wzdrygnęłyśmy się.

- I co to za pomysł z tym ołtarzem? - ciągnęła, drażniąco nieświadoma, że zamiast o filmie wolalabym pogadać o cyklu życiowym grzybów. - Dlaczego ten zbir podpalił kamień, nim ją związał? A jak usłyszałam to skwierczenie ciała...

- Okej! - prawie wrzasnęłam. - Gdzie teraz?

-Jeszcze ci tylko powiem, że jak mnie ktoś tak pocałuje, od razu się wyrzygam. I co on miał na tych wargach? Ohydztwo to za słabe słowo. Był umalowany, prawda? Bo przecież nikt naprawdę nie ma takich ust...

- Muszę oddać recenzję przed północą - wciąłam się jej w zdanie.

- Dobra, więc do biblioteki? - Vee otworzyła drzwiczki swojego fioletowego dodgea neona, rocznik dziewięćdziesiąty piąty. - Jesteś strasznie przewrażliwiona, wiesz?

Wśliznęłam się na siedzenie obok kierowcy.

- Wszystko przez ten film - odparłam.

I podglądacza pod moim oknem zeszłej nocy.

- Nie chodzi mi tylko o dziś. Zauważyłam - figlarnie wykrzywiła usta - że wczoraj

też ostatnie pół godziny biologii przesiedziałaś wyjątkowo rozdrażniona.

- Wielkie mi odkrycie. To przez Patcha.

Vee zamrugała rzęsami do lusterka wstecznego. Poprawiła lusterko, żeby się lepiej przyjrzeć swoim zębom. Oblizwała je w wyćwiczonym uśmiechu.

- Muszę przyznać, że kręci mnie ta jego ciemna strona. Nie miałam zamiaru jej zdradzać, że nie jest w tym odosobniona. Patch pociągał mnie jak jeszcze nikt dotąd.

Był między nami mroczny magnetyzm. W jego obecności czułam się jak na skraju kuszącego zagrożenia. Tak jakby w każdej chwili miał mnie z tej krawędzi zepchnąć.

- Jak to słyszę, mam ochotę... - urwałam, niepewna, co właściwie wywołuje we mnie urok Patcha. Coś nieprzyjemnego.

- Jak mi teraz powiesz, że nie jest przystojny - powiedziała Vee - obiecuję nigdy więcej o nim nie wspominać.

Postanowiłam włączyć radio, uznając, że zamiast psuć sobie wieczór - abstrakcyjnym, ale zawsze - towarzystwem Patcha, trzeba zająć się czymś miłszym. Codzienne siedzenie obok niego przez godzinę, pięć dni w tygodniu i tak już przekraczało moje siły. Stwierdziłam, że wieczorów na pewno mu nie oddam.

- No więc? - naciskała Vee.

- Może i jest przystojny. Ale nie mnie o tym decydować. W tej sprawie nie mogę być obiektywna, sorry.

- Co to niby znaczy?

- To znaczy, że nawet gdyby był przepiękny, widziałabym wyłącznie jego osobowość.

- Nie przepiękny. Jest... nieokrzesany. Seksy. Wzniosłam oczy do nieba.

Vee wcisnęła hamulec i zatrzymała na auto, które zatrzymało się przed nami.

- No co? Nie zgadzasz się? Czy drań to nie twój typ?

- Nie mam swojego typu - dodałam. - Nie jestem tak ograniczona.

- Gorzej, kochanie - odparła Vee ze śmiechem. - Chodzi o to, że właśnie jesteś ograniczona. Pokurczona w sobie. Pole widzenia masz szerokie jak mikroorganizm. Nie ma w szkole chłopaka, w którym byś się zakochała.

- Nieprawda - odpowiedziałam machinalnie, ale zaraz potem zastanowiło mnie, na ile ta odpowiedź jest ścisła. Dotychczas nikim poważnie się nie interesowałam. Czy to coś dziwnego? - Nie chodzi o chłopaka, tylko... o miłość. Jeszcze jej nie spotkałam.

- Nie chodzi o miłość - rzekła Vee. - Tylko o frajdę. Niepewna, uniosłam brwi.

- Co może być fajnego w całowaniu się z chłopakiem, którego nie znam... na którym mi nie zależy?

- Chyba nie uważasz na biologii. To polega na czymś ważniejszym niż całowanie.

- Aha - odparłam mądrym tonem. - Zasoby genetyczne są już tak wypaczone, że



nie ma sensu, abym się jeszcze do nich dokładała.

- Chcesz wiedzieć, kto według mnie byłby dobry?

- Dobry?

- Dobry - powtórzyła z uśmiechem niewiniątka.

- Niespecjalnie.

- Twój kolega z ławki.

- Nie nazywaj go tak - upomniałam. - Kolega ma pozytywną konotację.

Vee wcisnęła się na miejsce parkingowe tuż obok wejścia do biblioteki i wyłączyła silnik.

- Nie zdarza ci się fantazjować, że go całujesz? Ani razu nie zerkałaś w bok z pragnieniem, żeby paść mu w ramiona i wpić się w niego ustami?

Rzuciłam jej spojrzenie mające wyrażać odrazę. -A ty?

Vee uśmiechnęła się szeroko.

Usiłowałam sobie wyobrazić, jak zachowałby się Patch, gdyby się o tym dowiedział. Mimo że znałam go słabo, jego awersję do Vee poczułam niemal fizycznie.

- Zaslugujesz na kogoś lepszego - oznajmiłam.

- Uważaj - odparła z jękiem - bo zaraz zacznę go pożądać jeszcze bardziej.

Zajęłyśmy stół na środkowym piętrze biblioteki, obok działu „literatura erotyczna”.

Uruchomiłam laptop i napisałam: „Ofiara, dwie i pół gwiazdki”. Chyba trochę się zagalopowałam z krytycyzmem, ale pochłonięta masą spraw, nie byłam w stanie ocenić filmu sprawiedliwie.

Vee otworzyła torebkę jabłkowych chrupek.

- Masz ochotę?

- Nie, dzięki. Zajrzała do torebki.

-Jak nie, będę musiała zjeść je sama. A naprawdę nie chcę.

Vee była na diecie owocowej według schematu: w jednym dniu trzy czerwone, dwa granatowe, garść zielonych... Wyjęła kolejną chrupkę i przyjrzała się jej z uwagą.

- Jaki to właściwie kolor? - zapytałam.

- Wymiotna zieleń Granny Smith. Zdaje się.

W tej samej chwili na krawędzi naszego stołu przysiadła Marcie Millar, która jako jedyna w historii naszej szkoły już w drugiej klasie należała do zespołu cheerleaderek na uniwersytecie. Jasnorude włosy miała nisko zaplecione w warkoczyki, a twarz - jak zwykle - ukryła pod toną podkładu. Musiała zużyć pół buteleczki, bo na jej skórze nie było znać nawet śladu piegów. Piegów Marcie nie widziałam od siódmej klasy, czyli od roku, w którym odkryła Mary Kay. Brzeg jej spódniczki i skraj bielizny dzieliły może dwa centymetry... o ile w ogóle założyła majtki.

- Heja, grubasie - powiedziała do Vee.

- Heja, straszyciło.

- Moja mama szuka modelki na ten weekend. Płacą dziewięć dolarów za godzinę. Pomyślałam, że cię to zainteresuje.

Mama Marcie jest kierowniczką miejscowego JCPenney i w każdy weekend zatrudnia Marcie i inne cheerleaderki do demonstrowania bikini w oknach wystawowych sklepu od strony jezdni.

- Strasznie trudno jej znaleźć modelki do dużych rozmiarów bielizny - dorzuciła Marcie.

- Masz coś między zębami - odcięła się Vee. - W szparze z przodu. Chyba czekoladkę na przeczyszczenie.

Marcie oblizła zęby i podniosła się z miejsca. Kiedy odchodziła, kołysząc biodrami, Vee wsadziła sobie palec w usta na znak, że zbiera jej się na wymioty.

- Niech się cieszy, że spotkała nas tutaj - szepnęła do mnie. - Niech się cieszy, że nie natknęła się na nas w ciemnej ulicy... Częstuj się, to ostatnia szansa.

- Nie, dziękuję.

Vee wyszła, żeby wyrzucić resztę chrupek. Po kilku minutach wróciła z jakimś romansem w ręku. Usiadła przy mnie i pokazując mi okładkę książki, powiedziała:

- Kiedyś to będziemy my. Porwą nas półnaczy kowboje. Ciekawe, jak się całuje wargi spalone słońcem, zaskorupiałe od biota?

- Sprośnie - odmruknęłam, pisząc.

- Skoro o tym mowa - niespodziewanie podniosła głos. - Otóż i nasz facet.

Przerwałam pisanie, by zerknąć ponad ekranem - i zamarło mi serce. W kolejce po drugiej stronie sali stał Patch. Odwrócił się, jakby wyczuwając, że go obserwuję. Nasze oczy spotkały się na jedną, dwie, aż trzy sekundy. Podałam się, ale przedtem zdążyłam spostrzec jego leniwy uśmiech.

Serce biło mi nierówno i postanowiłam wziąć się w garść. Tą drogą nie pójdę. Absolutnie. Nie z nim. Chyba żebym postradała zmysły.

- Chodźmy - poprosiłam Vee.

Zamknęłam laptop, włożyłam go do torby i zasunęłam zamek. Upychając książki w plecaku, upuściłam kilka na podłogę.

- Nie mogę się zorientować, jaki tytuł trzyma... Zaraz... Jak podejść ofiarę.

- Na pewno by nie pożyczył czegoś takiego - odparłam bez przekonania.

- Albo to, albo Jak bez wysiłku emanować seksem.

- Ciii! - syknęłam.

- Uspokój się, nie słyszy. Rozmawia z bibliotekarką. Podaje jej książkę.

Sprawdziwszy to szybkim spojrzeniem, stwierdziłam, że jeśli wyjdziemy teraz, na pewno spotkamy go przy drzwiach wyjściowych. A wtedy będę musiała się do niego odezwać. Usiadłam więc na krześle, niby szukając czegoś pilnie po kieszeniach, kiedy on kończył dopełniać formalności.

- Nie sądzisz, że to upiorne, że jest tu w tym samym czasie co my? - zapytała Vee.

-A ty?

- Myślę, że cię śledzi.

- Według mnie to zbieg okoliczności.

Choć nie tak do końca. Gdybym miała zrobić spis dziesięciu miejsc, w których zawsze pod wieczór spodziewałabym się spotkać Patcha, biblioteka publiczna by się w nim nie znalazła. Biblioteka nie trafiłaby nawet do pierwszej setki. Więc po co przyszedł?

- Patch! - powiedziała Vee scenicznym szeptem. - Polujesz na Norę?

Zamknęłam jej usta ręką.

- Przestań. Serio. - Przybrałam surową minę.

- Mogę się założyć, że cię śledzi - odparła Vee, odpychając moją rękę. - Mogę się założyć, robi to nie pierwszy raz. Mogę się założyć, że przydzielili mu kuratora. Powinnyśmy się zakraść do sekretariatu. Na pewno wszystko ma w kartotece ucznia.

- Nie będziemy się zakradać do żadnego sekretariatu!

- Mogłabym odwracać uwagę ludzi od drzwi. Znam się na tym. Nikt nie zauważy, że wchodzisz. Pospiegowaliśmy sobie.

- Nie jesteśmy szpiegami.

- Znasz jego nazwisko? - spytała Vee. -Nie.

- Wiesz coś o nim?

- Nie. I wolę, żeby tak zostało.

- No co ty? Uwielbiasz tajemnice, a lepsza się nam już nie trafi.

- Najlepsze są historie z trupem w roli głównej. My trupa nie mamy.

- Na razie! - pisnęła Vee.

Wyjęłam z plecaka buteleczkę, wysypałam z niej dwie tabletki żelaza i połknęłam je bez rozgryzania.

Vee gwałtownie przyhamowała dodge'a na podjeździe swojego domu. Wyłączyła silnik i pomachała mi przed nosem kluczami.

- Nie odwieziesz mnie? - spytałam. Trochę bez sensu, bo z góry wiedziałam, co odpowie.

- Jest mgła.

- Łaciata.

- No, proszę - uśmiechnęła się. - Bez przerwy o nim myślisz. Zresztą wcale ci się nie dziwię. Sama mam nadzieję, że mi się dziś przyśni.

Fuj.

- No a pod twoim domem mgła zawsze jest gęstsza -ciągnęła Vee. - Po zmroku to coś potwornego.

- Bardzo ci dziękuję - odparłam, zabierając jej kluczyki.

- Czy to moja wina? Poproś mamę, żebyście się przenieśli trochę bliżej.

Powiedz, że otworzyli nowy klub o nazwie „cywilizacja" i najwyższy czas, żebyście się do niego zapisały.

- Pewnie mam podjechać tu jutro przed szkołą?
- Najlepiej o wpół do ósmej. Stawiam śniadanie.
- Oby było dobre.
- Bądź miła dla mojego maleństwa. - Poklepała deskę rozdzielczą. - Tylko nie za miła. Niech sobie nie pomyśli, że gdzieś może mu być lepiej.

W drodze do domu pozwoliłam myślom powędrować na chwilę w stronę Patcha. Vee ma rację - jest w nim coś niesamowicie ponętnego. I niesamowicie straszego. Im dłużej o nim myślałam, tym bardziej byłam przekonana, że ma w sobie coś... złego. O tym, że lubi się ze mną przekomarzać, wiedziałam od początku, ale czym innym było drażnienie się ze mną w klasie, a zupełnie czymś innym to, że - by mnie wpienić - najwyraźniej specjalnie polazł za mną aż do biblioteki. Zapewne nikt nie zadałby sobie tyle trudu, no chyba że miałby ważny powód.

W połowie drogi do domu z unoszących się w powietrzu mizernych chmur spadł deszcz. Skupiona na przemian na jezdni i kontrolkach przy kierownicy, usiłowałam znaleźć włącznik wycieraczek.

Nad głową zamrugały mi lampy uliczne. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie zbiera się na burzę. Przy tej bliskości oceanu pogoda zmienia się bez przerwy i w każdej chwili zwykła ulewa może przejść w powódź z piorunami. Dodałam gazu.

Oświetlenie ulicy znów zamigotało. Po szyi przeszły mi ciarki i włoski na ramionach stanęły dęba. Mój szósty zmysł znalazł się w stanie najwyższej czujności. Przez głowę przemknęła mi myśl, że może ktoś mnie śledzi. W lusterku wstecznym nie widziałam żadnych świateł. Przede mną też nikt nie jechał. Byłam zupełnie sama, co nie napawało mnie zbytnim optymizmem. Przyspieszyłam do siedemdziesięciu pięciu.

Gdy w końcu włączyłam wycieraczki, okazało się, że przy największej prędkości nie radzą sobie z wałącym w szybę deszczem. Na skrzyżowaniu zapaliło się żółte światło. Hamując, sprawdziłam, czy droga jest wolna, i ruszyłam naprzód. Zanim do mnie dotarło, że na maskę wpada jakiś ciemny kształt, usłyszałam uderzenie.

Krzyknęłam, wciskając hamulec. Sylwetka grzmotnęła o szybę z przeraźliwym hukiem.

Odruchowo z całych sił skręciłam kierownicę w prawo. Autem zarzuciło tak mocno, że wpadło w ruch wirowy. Postać sturlała się i zniknęła pod maską. Wstrzymując oddech, ścisnęłam rękami kierownicę, aż mi pobielały kostki. Zdjęłam nogi z pedałów. Samochód szarpnęła i zamarł.

Kilka metrów dalej siedział skulony facet i obserwował mnie. Wcale nie wyglądał... na rannego.

Był cały ubrany na czarno i zlewał się z ciemnością, więc niewiele mogłam dojrzeć. Starając się rozróżnić jego rysy, dopiero po chwili spostrzegłam, że miał

na twarzy kominiarkę.

Wstał z ziemi i zbliżył się do samochodu. Naparł rękami na okno od strony kierowcy. Nasz wzrok połączył się przez otwory w kominiarce. Jego oczy zabłyśły złowrogo.

Znowu walnął w okno, aż zadrżała szyba między nami.

Włączyłam stacyjkę, próbując równocześnie wrzucić pierwszy bieg, wcisnąć pedał gazu i zwolnić sprzęgło. Roz ruszałam silnik, ale auto znów szarpnęło i padło.

Kiedy ponownie uruchamiałam silnik, usłyszałam okropny metaliczny trzask. Przerażona zobaczyłam, jak drzwiczki pomału się wyginają. Facet... wyrwał je z zawiasów.

Wrzuciłam jedynkę. Stopy ześlizgiwały się z pedałów. Pilnik zaryczał, a wskaźnik obrotów na minutę przesunął się na czerwone pole.

W eksplozji szkła nieznajomy przebił okno pięścią na wylot. Na oślepie wymacał moje ramię i wpił się w nie palcami. Wrzasnęłam ochryple, wcisnęłam pedał gazu i zwolniłam sprzęgło. Dodge ruszył z piskiem opon. Trzymając mnie za ramię, facet zaczął biec przy aucie, ale szybko się poddał.

Pędzona adrenaliną, pomknęłam naprzód. Sprawdziłam w lusterku, czy tamten mnie nie goni i przekręciłam je na bok. Musiałam zacisnąć wargi, żeby się nie rozryczeć.

## ROZDZIAŁ 4

Pędząc Hawthorne Lane, minęłam dom, zawróciłam, na skrótory wjechałam w Beech i skierowałam się do śródmieścia. Wystukałam numer Vee.

-Coś się wydarzyło... ja... on... no i... znikąd. Auto...

- Przerywa. Co?

Wytańłam nos grzbietem dłoni. Cała się trzęsłam.

- Pojawił się znikąd. -Kto?

- On... - starałam się ogarnąć myśli i zmienić je w słowa. - Wskoczył mi na maskę!!!

-O kurde. Kurdekurdekurde. Potrąciłaś jelenia? Nic się nie stało? Może to był Bambi? - Vee naraz jęknęła i zawyła. - A co z dodge'em?

Otworzyłam usta, ale mi się wcięła.

- Nieważne. Mam ubezpieczenie. Tylko powiedz, że moje maleństwo nie jest upačkane szczątkami jelenia.. Tak czy nie?

Cokolwiek chciałam jej zdradzić, zlewało się z nocą. Mylił wyprzedzały sensy o dwa kroki. Jeleń... Może jednak udałoby mi się wcisnąć Vee, że potrąciłam jelenia. Chciałam się jej zwierzyć, ale z drugiej strony nie miałam zamiaru wyjść na rąbniętą. Bo jak mogłabym wytłumaczyć, że widziałam, jak potrącony przeze mnie facet wstaje z ziemi i bierze się do wrywania drzwi auta? Rozluźniłam kołnierz bluzki i obnażyłam bark, by sprawdzić, czy w miejscu, gdzie mnie

ściskał, nie mam czerwonych śladów, ale nic takiego wpostrzegłam...

Raptem oprzytomniałam. Po co w ogóle zaprzeczać, że to się zdarzyło? Przecież widziałam wszystko na własne oczy. Nie ubzdurzałam sobie tego.

- Do jasnej ciasnej! - odezwała się Vee. - Nie chcesz odpowiedzieć. Jeleń pewnie utkwiał między reflektorami. Jeździsz z nim na przodzie jak z pługiem śnieżnym, tak?

- Mogę się przespać u ciebie?

Zaprzagnęłam wyrwać się i z tego auta, i z ciemności. Gdy nagle natchnęła mnie myśl, że aby się dostać do domu Vee, będę musiała wracać przez skrzyżowanie, na którym potrąciłam gościa.

- Siedzę w swoim pokoju - odparła Vee. - Wpuścisz się sama. To na razie.

Kurczowo ściskając kierownicę, brnęłam poprzez strugi deszczu z nadzieją, że przy Hawthorne Lane zapali się zielone światło. Los mi sprzyjał. Śmignęłam przez skrzyżowanie, cały czas patrząc naprzód i równocześnie zerkając na pobocze. W mroku nie spostrzegłam nawet śladu faceta w kominiarce.

Dziesięć minut później zaparkowałam dodge'a na podjeździe Vee. Drzwi auta były poważnie uszkodzone, więc żeby wysiąść, musiałam mocno naprzeć na nie nogą.

Podbiegłam do frontowych drzwi, otworzyłam je i pognałam schodami do sutereny.

Vee siedziała na łóżku ze skrzyżowanymi nogami, z notatnikiem na kolanach, słuchawkami w uszach i z iPodem podkręconym na full.

- Mam obejrzeć uszkodzenia teraz, czy najpierw przespać się co najmniej siedem godzin? - wrzasnęła, zagłuszając muzykę.

- Wolę drugą opcję.

Vee zamknęła notatnik i wyjęła słuchawki z uszu.

- Miejmy to już z głowy.

Kiedy wyszliśmy przed dom, wpatrywałam się w auto dłuższą chwilę. Panował chłód, ale to nie pogoda przyprawiła mnie o gęsią skórę na ramionach. Okno od strony kierowcy nie było rozwalone. Drzwi nie miały wgnieceń.

- Coś tu nie gra - powiedziałam, ale Vee nie słuchała, oglądając, jak pod lupą, każdy centymetr kwadratowy karoserii.

Wystąpiłam naprzód i szturchnęłam boczne okno. Nie było nawet rysy na szkle. Zamknęłam oczy. Gdy je odtworzyłam, okno wciąż było nienaruszone.

Obeszłam dodge'a w koło. Prawie - bo w pewnej chwili stanęłam jak wryta.

Przednią szybę dzieliła na pół cieniuteńka rysa.

Vee zauważyła ją w tym samym momencie.

- Nie była to przez przypadek wiewiórka? - zapytała. Przypomniały mi się złowieszcze oczy za kominiarką.

Były tak czarne, że nie mogłam odróżnić źrenic od tęczy wek. Czarne jak... oczy Patcha.

- Zobacz, płaczę z radości - rzekła Vee, czule obejmując maskę auta. - Maleńka rysa i nic więcej!

Udałam, że się uśmiecham, chociaż ścisnęło mnie w żołądku. Jeszcze pięć minut temu okno było roztrzaskane, a drzwiczki wgniecione. Sądząc po obecnym stanie auta, do niczego nie doszło. Nie: to jakiś obłąd! Przecież widziałam, jak przebija szybę pięścią, i czułam, jak wpija mi się paznokciami w ramię. Czy nie? Staralam się z całych sił, ale nie mogłam sobie nic przypomnieć. Przez głowę przemykały strzępy obrazów. Coraz bardziej niewyraźne. Czy facet był wysoki? Niski? Szczupły? Przypakowany? Czy coś mówił?...

Nic nie pamiętałam. I to właśnie było najstraszniejsze.

Vee i ja wyszliśmy z jej domu piętnaście po siódmej rano i pojechaliśmy do bistra Enzo na szybkie śniadanie w postaci gorącego mleka. Byłam wciąż zlodowaciała ze strachu, więc objęłam porcelanową filiżankę, próbując się ogrzać. Przed wyjściem wzięłam prysznic, założyłam pożyczone z szafy Vee koszulkę i kardigan, umalowałam się szybko, ale prawie żadna z tych czynności nie została mi w pamięci.

- Nie patrz teraz - szepnęła Vee - ale w naszą stronę filuje Zielony Sweter i ocenia twoje nogi przez dżinsy... O! Zasalutował do mnie. Nie żartuję. Dwoma palcami, jak wojskowy. Urocze.

Nie słuchałam jej. Wczorajsze zajście tłukło mi się w głowie całą noc, odganiając możliwość zaśnięcia. Miałam poplątane myśli, suche i ciężkie powieki i nie mogłam się na niczym skupić.

- Zielony Sweter wygląda normalnie, ale facet koło niego to najwyraźniej ostra sztuka - oznajmiła Vee. - Wysyła sygnał: „Lepiej ze mną nie zadzierać”. No, zobacz, czy nie wygląda jak pomiot Drakuli. Powiedz, że mi się zdaje.

Podniósłszy lekko wzrok, by niepostrzeżenie zerknąć, zobaczyłam subtelną, piękną twarz. Blond włosy do ramion.

Oczy koloru chromu. Nieogolony. Chłopak miał na sobie marynarkę uszytą na miarę, zielony sweter i designerskie dżinsy.

- Zdaje ci się - powiedziałam.

- Nie zauważyłaś tych głęboko osadzonych oczu? Trójkącika włosów nad czołem? Ani że to chudy dryblas? Chyba odpowiadałby mi pod względem wzrostu...

Vee, która mierzy sto osiemdziesiąt trzy centymetry, ma odpał na punkcie obcasów. Wysokich. Poza tym, z zasady nie umawia się z niższymi facetami.

- Okej, co jest? - zapytała. - Wyizolowałaś się jak nigdy. Chyba nie przez tę rysę na szybie, prawda? Co z tego, że potrafiłaś zwierzę? Każdemu może się zdarzyć. Oczywiście w twoim przypadku szanse na coś takiego byłyby sto razy mniejsze, gdybyście się z mamą wyniosły z tej głuszy.

Zamierzałam wyznać Vee całą prawdę o nocnym zajściu. Wkrótce.

Potrzebowałam tylko trochę czasu, żeby sobie wszystko dobrze poukładać.

Problem w tym, że nie miałam pojęcia, w jaki sposób. Szczegóły, które mi zostały w głowie, i tak były już dość fragmentaryczne. Tak jakby moją pamięć starannie wymazano gumką. Ale też nie da się ukryć, że okna dodge'a zalewała kaskada deszczu i świat zupełnie stracił kontury... A może naprawdę potrafiłam jelenia?

- Mmm, zobacz - odezwała się Vee. - Zielony Sweter wstaje. Na pewno regularnie chodzi na siłownię. A teraz z całą pewnością zmierza w naszą stronę, w pogoni za towarem, to znaczy za tobą.

Pół sekundy później usłyszaliśmy miły niski głos:

- Witam.

Spojrzałyśmy na niego równocześnie. Zielony Sweter stał o krok od naszego stolika, z rękami wsuniętymi w kieszenie dżinsów, tak że wystawały kciuki. Miał niebieskie oczy i stylowo zmierzwił jasne włosy, niedbale opadające na czoło.

- Witamy - odpowiedziała Vee. - Ja jestem Vee, a to Nora Grey.

Popatrzyłam na nią krzywo. Denerwowało mnie, gdy mi przypinała etykietkę w postaci nazwiska - czułam, że przy spotkaniu z nieznajomym chłopcem burzy to niepisaną umowę między dziewczynami, a co dopiero najlepszymi przyjaciółkami. Kiwnęłam do niego bez entuzjazmu i uniósłszy filiżankę do ust, momentalnie sparzyłam sobie język.

Chłopak przywlokł krzesło od stolika obok, ustawił je na odwrót i siedł okrakiem, wspierając ramiona tam, gdzie normalnie powinny się znajdować plecy.

- Jestem Elliot Saunders - przedstawił się i wyciągnął do mnie rękę. Uścisnęłam ją stanowczo za bardzo oficjalnie. - A to Jules - dodał, wskazując podbródkiem kolegę, który wbrew ocenie Vee okazał się nie „wysoki”, tylko wprost gigantyczny. Jules rozsiadł się koło Vee; był tak wielki, że krzesło pod nim nagle jakby się skurczyło.

-W życiu nie widziałam tak wysokiego faceta - zwróciła się do niego Vee. - Serio, ile masz wzrostu?

-Dwieście osiem centymetrów - odburknął Jules, po czym rozwalił się na krześle z założonymi rękami.

-Może macie na coś ochotę? - odchrząknawszy, zaproponował Elliot.

-Dzięki - odparłam, podnosząc filiżankę. - Już zamówiłam.

Vee kopnęła mnie pod stołem.

- Zje pączka z kremem waniliowym. I ja też poproszę.

-To już nie jesteś na diecie? - spytałam. Odczep się. Laska wanilii to owoc. Brązowy owoc. Warzywo. --Masz pewność? Nie miałam.

Jules przymknął oczy i ścisnął grzbiet nosa. Najwidoczniej był zachwycony naszym towarzystwem tak, jak ja ich obecnością.

Kiedy Elliot szedł w stronę baru, nieśmiało podążyłam za nim wzrokiem. Na pewno uczył się w ogólniaku, ale chyba nie w naszym, bobym go zapamiętała.

Był otwarty, towarzyski, ani krzty przeciętności. Gdybym nie była taka roztrzęsiona, pewnie bym się nim zainteresowała. Tak po przyjacielsku, a może i



bardziej.

- Mieszkasz w okolicy? - zagadnęła Julesa Vee.

- Mhm.

- Uczysz się?

- W ogólniaku Kinghorn - powiedział to z lekką wyższością.

- Nie słyszałam o nim.

- To szkoła prywatna. W Portland. Zajęcia zaczynamy o dziewiątej. - Odchylił rękaw i spojrzał na zegarek. Vee zanurzyła palec w pianie mleka i oblizała go.

- Droga?

Po raz pierwszy Jules popatrzył na nią. Rozwarł oczy tak szeroko, że zajaśniały mu białka.

- Pewno jesteś bogaty? - dodała Vee.

Jules omiótł ją takim spojrzeniem, jakby przed chwilą zabiła mu na czole muchę. Odsunął się od nas z krzesłem o kilkanaście centymetrów.

Elliot wrócił do stolika z sześcioma pączkami.

- Dwa z kremem waniliowym dla pań - powiedział, podsuwając mi pudełko - i cztery z lukrem dla mnie. Muszę się teraz najeść, bo nie wiem, co dają w stołówce w Cold-water.

Vee o mało nie wypluła mleka.

- Uczysz się w Coldwater?!

- Od dziś. Właśnie się przeniósłem z Kinghorn.

- Ja z Norą też tam chodzimy - oznajmiła Vee. - Patrz, jak to się świetnie składa. Jak chcesz się czegoś dowiedzieć, pytaj śmiało; nawet o to, kogo masz zaprosić do Spring Fling. My nie mamy chłopaków... jeszcze.

Stwierdziłam, że czas się pożegnać. Jules był najwyraźniej znudzony i rozdrażniony - z kolei jego towarzystwo źle działało na mój, dość już niespokojny nastrój. Demonstracyjnie zerkając na zegar w komórce, powiedziałam:

- Vee, jedźmy już do szkoły. Trzeba się pouczyć do testu z biologii. Miło było was poznać - rzuciłam do Julesa i Elliota.

- Przecież test z biologii jest dopiero w piątek - upomniała mnie Vee.

Szeszona uśmiechnęłam się przez zęby.

- Racja. To znaczy, ja mam test, z angielskiego. Z twórczości... Geoffreya Chaucera.

Dla wszystkich było jasne, że to nieprawda.

Miałam sobie trochę za złe, że jestem niegrzeczna, zwłaszcza że Elliot wcale sobie na to nie zasłużył. Ale odechciało mi się z nimi siedzieć. Chciałam już iść dalej, zdystansować się od zeszłej nocy. A może ten zanik pamięci nie był znów taki zły. Im szybciej zapomnę o wypadku, tym prędzej moje życie wróci do normalnego rytmu.

- Życzę ci, żebyś ten pierwszy dzień miał jak najfajniejszy i może spotkamy się na lunchu - powiedziałam do Elliota.

Szarpnęłam Vee za łokieć i wyprowadziłam z bistra.

Lekcje dobiegały końca, została jeszcze tylko biologia. W biegu wymieniałam książki w swojej szafce i skierowałam się do klasy. Vee i ja przyszliśmy przed Patchem. Siadając na jego miejscu, Vee pogrzebała w plecaku i wyciągnęła pudełko hot tamales.k.

- Lunchu też nie jadłaś - Vee zmarszczyła czoło.

- Nie jestem głodna.

- Ty kłamczucho. Zawsze jesteś głodna. Chodzi o Patcha? Chyba się nie przejęłaś, że cię śledzi? Bo wczoraj, no wiesz, w bibliotece, to ja żartowałam. Rozmasowałam sobie skronie. Tępy ból, który zamieszkał mi w czaszce, wybuchał na samo wspomnienie o nim.

- Akurat Patchem przejmuję się najmniej - odpowiedziałam, nie do końca zgodnie z prawdą.

- Mogłabyś mi ustąpić?

Na dźwięk głosu Patcha w jednej chwili uniosłyśmy głowy.

Odezwał się nawet całkiem miło, ale kiedy Vee wstawiała i zarzucała plecak na ramię, ani na moment nie spuścił z niej oka. Tak jakby się za bardzo ociągała, wskazał jej ręką przejście między stołami, chcąc, żeby zeszła mu z drogi.

- Jak zwykle świetnie wyglądasz - powiedział do mnie, biorąc swoje krzesło.

Rozsiadł się wygodnie i wyciągnął nogi. Od początku wiedziałam, że jest wysoki, ale nie zastanawiałam się, ile może mieć wzrostu. Patrząc na jego długie nogi, stwierdziłam, że co najmniej sto osiemdziesiąt trzy centymetry. A może nawet sto osiemdziesiąt pięć.

- Dziękuję - odparłam bezmyślnie. I natychmiast zapragnęłam to odwołać.

Dziękuję. Z wszystkiego, co mogłabym mu odpowiedzieć, „dziękuję” było najgorsze. Nie chciałam, żeby uznał, że lubię jego komplementy. Bo ich nie lubiłam... zasadniczo. Nie trzeba było specjalnej wnikliwości, by zrozumieć, że wpadł w kłopoty, a ja i tak już miałam kłopotów pod dostatkiem. Nie miałam zamiaru pakować się w większe. Może gdybym zaczęła go ignorować, w końcu przestałby mnie wciągać do rozmowy. I moglibyśmy siedzieć obok siebie w milczącej harmonii, jak co druga para w klasie.

- I cudownie pachniesz - dodał Patch.

- To się nazywa prysznic - odparłam, zapatrzona w przestrzeń, a gdy nie zareagował, odwróciłam się do niego. -Mydło. Szampon. Ciepła woda.

- Nagość. Czuję sprawę.

Otworzyłam usta, żeby zmienić temat, ale przerwał mi dzwonek.

- Odłóżcie podręczniki - zarządził zza biurka trener. -Rozdam wam próbny test, na rozgrzewkę przed prawdziwym w piątek. - Zatrzymał się przede mną i oblizał palec, by rozdzielić arkusze. - Na odpowiedzi macie piętnaście minut. Nie wolno rozmawiać. A później omówimy rozdział siódmy. Powodzenia.

Na pierwszych kilka pytań odpowiedziałam machinalnie, ze spokojem

przywołując zapamiętane fakty. Test pochłonął mnie na tyle, że wczorajszy wypadek i zwątpienie, czy aby nie jestem chora na umyśle, zeszły na drugi plan. Gdy przerwałam pisanie, żeby się pozbyć kurczu z dłoni, poczułam, że Patch pochyła się w moim kierunku.

- Jesteś zmęczona. Ciężka noc, tak? - szepnął.

- Widziałam cię w bibliotece. - Staralam się udawać, że wodzę ołówkiem po arkuszu, ciężko zapracowana.

- Mój najlepszy moment tego wieczoru.

- Śledziłeś mnie?

Odsunął głowę i zaśmiał się cicho. Spróbowałam z innej strony:

- Po co tam polazłeś?

- Wypożyczyć książkę.

Poczułam na sobie wzrok trenera i znów zagłębiłam się w teście.

Odpowiedziałam na kolejnych kilka pytań i zerknęłam na lewo. Zdumiałam się, że uśmiechnięty Patch już mnie obserwuje.

Moje serce wykonało niespodziewane salto, urzeczony dziwnie atrakcyjnym uśmiechem. Potworność: z wrażenia aż upuściłam ołówek, który podskoczył na blacie parę razy i sturlał się na podłogę. Patch schylił się, by go podnieść. Podał mi ołówek na dłoni, w taki sposób, że musiałam się skupić, żeby przypadkiem nie dotknąć jego skóry.

- A po bibliotece - wyszeptalam - gdzie poszedłeś?

- Bo co?

- Śledziłeś mnie? - spytałam półgłosem.

- Jesteś jakaś rozdrażniona. Nora, co się stało?

Z troską unióś brwi. Oczywiście na pokaz, bo jego czarne oczy skrzyły drwiną.

- Śledzisz mnie?

- Niby po co miałbym cię śledzić?

- Odpowiadaj.

- Noro! - Słyszac ostrzegawczy głos trenera, prędko wróciłam do testu, ale nie oparłam się domysłom, co odpowiedziałby Patch i zapragnęłam czym prędzej uciec od niego, przefrunąć salę. Cały kosmos.

Trener zagwizdał.

- Koniec. Oddajcie arkusze. W piątek pytania będą zbliżone do dzisiejszych. A teraz... - zatarł ręce tak sucho, że przeszły mnie ciarki - panno Sky, co będziemy omawiali?

- Seks - oznajmiła Vee.

Ledwie to powiedziała, wyłączyłam się zupełnie. Czy Patch mnie śledzi? Czy to jego twarz kryła się pod kominiarką - jeśli w ogóle coś pod nią było? Czego chce? Zrobiło mi się tak zimno, że aż się skuliłam. Zapragnęłam, by moje życie znów wyglądało tak, jak przed wtargnięciem w nie Patcha.

Gdy lekcja się skończyła, zatrzymałam go.

- Możemy porozmawiać?

Wstał już, więc znowu przysiadł na krawędzi krzesła.

- O co chodzi?

- Wiem, że nie chcesz ze mną siedzieć, tak jak ja nie chcę siedzieć z tobą.

Sądzę, że trener mógłby nas rozsadzić, gdybyś z nim pogadał. Gdybyś wyjaśnił sytuację...

- Jaką sytuację?

- Nie... pasujemy do siebie.

Potał dłońią podbródek z wyrachowaniem, do którego zdążyłam przywyknąć przez tych parę dni naszej znajomości.

- Naprawdę?

- Chyba nie odkrywam tu Ameryki.

- Gdy trener poprosił mnie o listę najbardziej pożądanых cech u partnerki, opisałem cię.

- Odwołaj to!

- Inteligentna. Atrakcyjna. Wrażliwa. Masz coś przeciwko?

Zachowywał się tak tylko po to, żeby mnie rozżłościć, co zdenerwowało mnie jeszcze bardziej.

- Poprosisz go, żeby nas rozsadził, czy nie?

- Nic z tego. Już się do mnie przyzwyczajasz.

I co mu miałam odpowiedzieć? Najwyraźniej myślał, że mnie sprowokuje.

Okazało się to nietrudne wobec faktu, że nigdy nie mogłam się połapać, czy jest poważny, czy żartuje.

Wysiliłam się na opanowany ton:

- Sądzę, że lepiej by ci było przy kimś innym. I dobrze o tym wiesz. -

Uśmiechnęłam się, w napięciu, ale grzecznie.

- Myślę, że mogę wylądować obok Vee. - Jego uśmiech też sprawiał wrażenie uprzejmego. - Wolałbym nie kusić losu.

Nagle zjawiła się Vee, zerkając to na mnie, to na Patcha.

- Przeszkadzam?

- Nie - odparłam i gwałtownie zapięłam plecak. - Pytałam Patcha, co mamy na jutro przeczytać. Zapomniałam, które strony zadał trener.

- Zadanie jest na tablicy, jak zwykle - powiedziała Vee. - Co? Niby go nie widzisz? Patch roześmiał się, chyba sam do siebie.

Nie pierwszy raz zapragnęłam dowiedzieć się, o czym myśli, bo nie pierwszy raz czułam, że te jego sekretne żarciki dotyczą właśnie mnie.

- Coś jeszcze, Noro? - zapytał.

- Nie. Do jutra.

- Nie mogę się doczekać - mrugnął. Naprawdę mrugnął. Kiedy, odchodząc, nie mógł już nic dosłyszeć, Vee chwyciła mnie za rękę.

-Dobra wiadomość! Cipriano. Tak się nazywa. Widziałam w harmonogramie

zajęć trenera.

- I to tak cię cieszy, bo...?

- Wiadomo, że każdy uczeń musi zgłosić u pielęgniarki, jakie lekarstwa zażywa na receptę. - Znacząco poklepała przednią kieszeń plecaka, w której nosiłam żelazo. - Podobnie wiadomo, że gabinet lekarski jest dogodnie zlokalizowany w obrębie sekretariatu, gdzie, tak się akurat składa, przechowują kartoteki uczniów. - Z płonącymi oczami Vee objęła mnie mocno i pchnęła w stronę drzwi. - Czas na prawdziwe śledztwo!

## ROZDZIAŁ 5

- Słucham?

Wysiliłam się na uśmiech do sekretarki, licząc, że wygląda bardziej szczerze, niż w moim odczuciu.

- Codziennie biorę w szkole lekarstwo na receptę, a przyjaciółka... - utknęłam na słowie „przyjaciółka” z myślą, czy po tym dniu jeszcze kiedykolwiek nazwę tak Vee. - Wiem od przyjaciółki, że powinnam zgłosić to pielęgniarce. Chciałabym spytać, czy na pewno?

Nie mogłam uwierzyć, że stoję tam z zamiarem popełnienia przestępstwa.

Ostatnio często zachowywałam się nietypowo. Najpierw późnym wieczorem poszłam za Patchem do podejrzonej spelunki. Teraz właśnie miałam węszyć w jego kartotece ucznia. Co było ze mną nie tak? Albo inaczej - co takiego miał w sobie Patch, że ilekroć pojawiał się w moich myślach, wyraźnie nie mogłam się oprzeć, żeby go ocenić negatywnie?

- Tak - odpowiedziała poważnie sekretarka. – Należy zgłaszać wszelkie leki.

Gabinet lekarski jest tam, trzecie drzwi na lewo, naprzeciwko rejestru uczniów. – Wskazała hol za sobą. - Gdyby pielęgniarki nie było, możesz usiąść na leżance w gabinecie. Powinna lada chwila wrócić.

Znów sfabrykowałam uśmiech. Szczerze mówiąc, wołałabym, żeby nie poszło mi tak łatwo.

Idąc przez korytarz, kilka razy przystanąłam, aby się obejrzeć. Nikogo za mną nie było. W sekretariacie dzwonił telefon. Jego dźwięk w ciemnym przejściu brzmiał jak zza grobu. Byłam zupełnie sama i mogłam robić, co zechcę.

Zatrzymałam się przed trzecimi drzwiami po lewej. Wzięłam wdech i zapukałam, ale mrok za okienkiem wskazywał, że pokój jest pusty. Popchnęłam drzwi.

Otworzyły się opornie, ze skrzypnięciem, ukazując mały pokój z odra partymi białymi kafelkami. Chwilę stałam w progu, w nadziei, że zjawi się pielęgniarka i nie mając wyboru, będę zmuszona zgłosić tabletki z żelazem i wyjść. Po drugiej stro nie korytarza zobaczyłam okienko z napisem KARTOTEKI UCZNIÓW. Za nim też panowała ciemność.

Skupiłam się na zabłąkanej w głowie dokuczliwej myśli. Patch stwierdził, że w zeszłym roku nie chodził do szkoły. Byłam prawie na sto procent pewna, że to

kłamstwo, jeśli jednak nie kłamał, to czy w ogóle miał uczniowską kartotekę? Doszłam do wniosku, że musi tam być przynajmniej jego adres. No i wykaz szczepień plus oceny z poprzedniego semestru. W każdym razie ewentualne zawieszenie wydało mi się stanowczo za wielką karą, jaka mi groziła za to, że postanowiłam zerknąć w jego papiery.

Oparłam się ramieniem o ścianę i spojrzałam na zegarek. Vee kazała mi czekać na sygnał. Powiedziała, że będzie oczywisty.

Super.

Ponownie zadzwonił telefon i sekretarka odebrała. Zagryzając wargi, znów prędko obejrzałam się na drzwi z napisem KARTOTEKI UCZNIÓW. Uznałam, że pewnie są zamknięte na klucz. W końcu dokumenty uczniów uważa się za ściśle tajne. Stwierdziłam, że nieważne, jaki Vee obmyśliła sposób na odwrócenie uwagi, bo jeśli będą zamknięte, i tak nie wejdę do środka.

Przerzuciłam plecak na drugie ramię. Minęła kolejna minuta. Pomyślałam, że może lepiej się ewakuować...

A jeśli Vee się nie myli i Patch faktycznie za mną łązi? Siedzieliśmy razem na biologii, a kontaktując się z nim regularnie, mogłam być narażona na niebezpieczeństwo. Więc miałam obowiązek się bronić... Prawda?

Gdyby drzwi były otwarte, a papiery ułożone według alfabetu, bez trudu odszukałabym jego kartotekę. Szybko, w parę sekund sprawdziłabym, które rubryki ma od fajkowane na czerwono, i cały pobyt w pokoju zająłby mi nie więcej niż minutę. Tak krótko, że nawet bym nie poczuła, że tam w ogóle weszłam.

W sekretariacie zrobiło się jakoś dziwnie cicho. Wtem zza rogu wyłoniła się Vee. Skradała się w moją stronę, kucając z rękami przywartymi do ściany i rzucając przez ramię ukradkowe spojrzenia. Poruszała się jak szpiedzy w starych filmach.

- Wszystko pod kontrolą - wyszeptała.

- Co się stało z sekretarką?

- Musiała na moment wyjść. - Musiała? Chyba jej nie uszkodziłaś?

- Tym razem jeszcze nie. Łaska boska!

- Zadzwoniłam z budki, że w szkole jest bomba - dodała Vee. - Sekretarka zawiadomiła policję i poleciała szukać dyrektora.

- Vee!

Klepnęła się w nadgarstek.

- Czas leci. Lepiej żeby nas tu nie było, jak przyjadą gliny.

Coś podobnego.

Zmierzyłyśmy wzrokiem drzwi pokoju z kartotekami. Nasunęła sobie rękaw na pięść i łupnęła w okienko. Na nic.

- To dopiero rozgrzewka - oznajmiła i znów się zamachnęła, ale złapałam ją za rękę.

- Może nie są zamknięte. - Przekręciłam gałkę i drzwi się otworzyły.

- Żadna frajda - westchnęła Vee. Cóż, rzecz gustu.

- Właż - poinstruowała Vee. - Ja idę chatować. Jak wszystko się uda, spotkamy się za godzinę. Czekał w meksykańskiej restauracji na rogu Drake i Beech.

I w kucki wycofała się z korytarza.

Przystanęłam w pół kroku do wąskiego pomieszczenia, które wypełniały rzędy szafek na akta. Zanim sumienie zdażyło mi to wyperswadować, weszłam do środka i opierając się o drzwi plecami, zatrzasnęłam je za sobą.

Biorąc głęboki wdech, ściągnęłam plecak i w pośpiechu zaczęłam wodzić palcami po przednich ściankach szafek. Znalazłam szufladę oznaczoną: CAR-CUV. Otworzyłam ją jednym ruchem, aż zastukotała. Karty były wypisane ręcznie i zaczęłam się zastanawiać, czy ogólniak w Coldwater jest jedyną nieskomputeryzowaną szkołą w całych Stanach.

Wreszcie natknęłam się na nazwisko „Cipriano”.

Wyszarpnęłam kartę z zapchanej szuflady. Chwilę trzymałam ją w rękach, usiłując sobie wmówić, że to, co zamierzałam zrobić, jest w sumie całkiem białe. Nawet gdyby wewnątrz kryły się dane osobiste Patcha, to jako jego koleżanka z lekcji biologii miałam prawo je znać.

W korytarzu za drzwiami rozległy się głosy.

Spojrzałam w kartę i aż się wzdrygnęłam. Nie wynikało z niej nic.

Głosy były coraz bliżej. Byle jak wetknęłam kartę i pchnięciem zamknęłam szufladę. Odwróciwszy się, zamarłam. Za okienkiem właśnie zatrzymał się dyrektor i pochwycił moje spojrzenie.

Cokolwiek mówił do grupki składającej się przypuszczalnie z najważniejszych wykładowców szkoły, przytłumiła to szyba.

- Proszę mi wybaczyć na moment - dotarło do mnie nagle.

Hałaśliwa grupa poszła dalej, ale bez dyrektora, który otworzył drzwi.

- Uczniom nie wolno tu przebywać - pouczył. Próbowałam przybrać bezradną minę.

- Bardzo przepraszam. Szukam gabinetu lekarskiego. Pani sekretarka powiedziała, że to trzecie drzwi po lewej, ale chyba coś mi się pomieszało... - Rozłożyłam ręce. - No i się zgubiłam.

Nim dyrektor zareagował, szarpnęłam zamek plecaka.

- Muszę je zgłosić... tabletki z żelazem - wyjaśniłam. - Mam anemię.

Przyglądał mi się chwilę, marszcząc brwi. Niemal zobaczyłam, jak się zastanawia, czy zostać i policzyć się ze mną, czy zająć się bombą. Ruchem brody wskazał mi korytarz.

- Masz natychmiast opuścić budynek. Przytrzymał mi drzwi. Prześliznęłam się pod jego ręką ze słabnącym uśmiechem.

Godzinę później przysiadłam w narożnym boksie meksykańskiej restauracji przy skrzyżowaniu Drake i Beech. Do ściany nade mną były przymocowane kaktus z ceramiki i wypchany kojot. Po sali leniwie przechadzał się facet w sombrero większym od niego samego. Brzdąkając na gitarze, śpiewał serenadę.

Tymczasem hostessa rozłożyła przede mną na stole menu. Skrzywiłam się na widok napisu na pierwszej stronie: „Granica”. Nigdy wcześniej tu nie jadłam, a jednak ta nazwa wydała mi się dziwnie znajoma.

Nadeszła Vee i padła na krzesło naprzeciwko. Tuż po niej zjawił się nasz kelner.

- Cztery razy chimi z podwójną porcją kwaśnej śmietany, po pół porcji nachos i czarnej fasoli - zamówiła Vee, nie zglądając do karty.

- Raz czerwone burrito - poprosiłam.

- Płacą panie osobno? - spytał kelner.

- Nie płacę za nią - odparłyśmy równocześnie. Gdy kelner odszedł, powiedziałam:

- Cztery razy chimi. Ciekawe, jak to się ma do owoców.

- Odwal się. Umieram z głodu. Nic nie jadłam od lunchu... - Vee przerwała. - Bo hot tamales się nie liczą.

Vee ma bujne kształty, jasną, skandynawską karnację -i w niekonwencjonalny sposób jest bardzo seksowna. Bywały dni, kiedy nie zazdrościłam jej tego wyłącznie w imię przyjaźni. Jedyny mój atut przy niej to nogi. I może przemiana materii. Z pewnością jednak nie włosy.

- Mógłby mi już przynieść chipsy - zniecierpliwiła się -Skręci mnie, jak w ciągu czterdziestu pięciu sekund nie zjem czegoś słonego. Poza tym, już pierwsze cztery litery terminu „szlachetna dieta” sugerują, że życzę jej, by wiadomo co ją trafiło.

- Salsę robi się z pomidorów - podsunęłam. - Które są czerwone. I jeśli się nie mylę, awokado to też owoc.

Vee rozpromieniła się:

- A do tego weźmiemy sobie po jednym daiquiri ze świeżymi truskawkami.

Miała rację. Dieta nie wymagała zachodu. -Zaraz wracam - oznajmiła, gramoląc się z boksu. Wiesz, okres. Jak załatwię sprawę, czekam na sensacje!

Kiedy odeszła, zagapiłam się na pomocnika kelnera kilka stolików od nas.

Mozolnie zmywał blat szmatą. W jego ruchach i zmarszczeniu koszuli na pięknie ukształtowanych plecach było coś dziwnie znajomego. Jakby czując, że jest obserwowany, wyprostował się i odwrócił. Utkwił we mnie wzrok dokładnie w momencie, gdy sobie uprzytomniłam, czemu wydał mi się znajomy.

To był Patch.

Myślałam, że padnę. O mało nie walnęłam się w czoło, kiedy mi się przypomniało, że przecież pracuje w Granicy.

Wytarł ręce w fartuch i podszedł do naszego boksu, najwyraźniej ubawiony, że rozglądniejszy się za jakąś drogą ucieczki, zakłopotana przywarłam do ściany.

- Proszę, proszę - powiedział. - Pięć dni w tygodniu ze mną już ci nie wystarcza? Musiałaś mi poświęcić jeszcze wieczór?

- Wybacz tak niefortunny zbieg okoliczności. Patch wśliznął się na miejsce Vee i położył ręce na blacie.



Były długachne, sięgały daleko poza granicę połowy stolika. Wziął moją szklanke i zaczął ją obracać w dłoniach.

- Tu wszystko zajęte - poinformowałam, a kiedy nie zareagował, wyrwałam mu szklanke i upiłam trochę wody, przypadkiem połykając kostkę lodu, która w drodze do żołądka poraziła mnie jak prąd. - Zamiast się bratać z klientami, weź się lepiej do roboty - wykrztusiłam.

- Co robisz w niedzielny wieczór? - zapytał z uśmiechem.

Prychnęłam. Niechcący.

- Zapraszasz na kolację?

- Hardziejiesz. Podoba mi się to, Aniele.

- Nie interesuje mnie, co ci się podoba. Nigdzie z tobą nie pójde. Na żadną randkę. - Chciałam się grzotnąć za podniecającą spekulację pod tytułem: „Czym by się mógł skończyć wieczór sam na sam z Patchem?”. Uznałam, że nie mówi serio, tylko z niejasnych powodów po prostu się ze mną drażni. - Zaraz, zaraz, nazwałś mnie Aniołem?

-Bo co?

- Bo mi się to nie podoba. Uśmiechnął się.

- Trudno, tak zostanie.

Pochylił się nad stołem, uniósł dłoń do mojej twarzy i przesunął mi kciukiem po wargach. Cofnęłam się, ale za późno.

Roztarł błyszczący kciukiem i palcem wskazującym.

- Ładniej ci bez tego.

Starając się trzymać tematu naszej rozmowy, z całych sił udawałam, że jego dotyk w ogóle nie zrobił na mnie wrażenia. Odrzuciłam włosy do tyłu i podjęłam poprzedni wątek:

- Zresztą i tak nie wolno mi wychodzić z domu, kiedy na drugi dzień jest szkoła.

- Fatalnie. Na plaży jest impreza. Liczyłem, że pójdziemy razem.

Zabrzmiało to szczerze.

Nie umiałam go rozgryźć. Zupełnie. Wciąż podniecona tą myślą, wzięłam spory łyk przez słomkę, próbując ochłodzić uczucia zastrzykiem lodowatej wody.

Samotne chwile z Patchem byłyby intrygujące, no i ryzykowne. Lekko skołowana, postanowiłam powierzyć tę kwestię intuicji.

Ziewnęłam teatralnie.

- Jak słyszysz, potem rano jest szkoła. - Z nadzieją, że utwierdzą w tym raczej siebie niż jego, dodałam: - Skoro ta impreza odpowiada tobie, to jestem prawie pewna, że mnie nie zainteresuje.

Dobra - pomyślałam. - Sprawa załatwiona. I nagle, bez uprzedzenia, zapytałam:

- Właściwie dlaczego chcesz się ze mną umówić?

Do tej chwili wmawiałam sobie, że mam w nosie, co Patch o mnie myśli. Teraz jednak poczułam, że to kłamstwo. I nawet gdybym później miała za to słono zapłacić, rozpierała mnie tak wielka ciekawość jego osoby, że byłam gotowa

pójść z nim wszędzie.

- Chcę pobyć z tobą sam na sam - odpowiedział i w okamgnieniu moja linia obrony wzięła w łeb.

- Posłuchaj, nie chcę być niegrzeczna, ale...

- Właśnie widzę.

- Sam się dopraszasz! - krzyknęłam pięknie i bardzo dojrzałe. - Koniec dyskusji! Nie idę na imprezę.

- Bo rano jest szkoła, czy może boisz się zostać ze mną sam na sam?

- I jedno, i drugie - tak jakoś mi się to wymknęło.

- Boisz się facetów czy... tylko mnie?

Wzniosłam oczy do nieba na znak, że na takie głupie pytania nie mam zamiaru odpowiadać.

- Czujesz się przy mnie niepewnie? - Nie wykrzywił ust, ale i tak było widać, że jest rozbawiony taką hipotezą.

Szczerze mówiąc, tak właśnie na mnie działał. Poza tym uwielbiał pozbawiać mnie zdolności logicznego myślenia.

- Przepraszam - powiedziałam. - O czym mówiliśmy?

- O tobie.

- O mnie?

- O twojej intymności.

Roześmiałam się, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

-Jeśli chodzi ci o mnie... i płęć przeciwną... to Vee już mi zrobiła taki wykład. Nie chce mi się go słuchać ponownie.

- A co ci powiedziała roztropna i poczciwa Vee? Zaczęłam bawić się rękami, więc prędko je schowałam.

- A czemu cię to tak ciekawi? Lekko pokręcił głową.

- Ciekawi? Rozmawiamy o tobie. Wręcz frapuje - odparł z bajecznym uśmiechem. Serce mi stanęło.

- Zajmij się lepiej pracą - upomniałam.

- Wierz albo nie, ale cieszę się, że w szkole nie ma faceta, który by spełniał twoje oczekiwania.

- Zapomniałam, że jesteś autorytetem w dziedzinie moich tak zwanych oczekiwań - odpowiedziałam z drwiną.

Spojrzał na mnie tak, że poczułam się przezroczyta.

- Nie jesteś wycofana, Noro. Nieśmiała też nie. Po prostu musisz mieć naprawdę silną motywację, żeby sobie zadać trud poznania drugiej osoby.

- Nie rozmawiajmy już o mnie.

- Wydaje ci się, że potrafisz każdego rozpracować.

- Nic podobnego - odparłam. - Bo przykładowo... bo na przykład nie wiem nic... o tobie.

- Nie jesteś gotowa na znajomość ze mną.

Nie zabrzmiało to nonszalancko. Miał śmiertelnie poważny wyraz twarzy.

- Zajrzałam do twojej kartoteki.

Moje słowa zawisły w powietrzu sekundę przed spotkaniem naszych spojrzeń.

- Z pewnością jest to nielegalne - szepnął.

- Ale nic w niej nie ma. Żeby choć wykaz szczepień.

Nawet nie udając zaskoczenia, rozsiadł się wygodnie. Oczy zabłyśły mu jak obsydian.

- I mówisz mi o tym, bo się boisz, że wywołam epidemię? Odry czy świnki?

- Mówię ci, żebyś wiedział, że czuję, iż coś jest z tobą nie w porządku. Nie wszystkich udało ci się okpić. Dowiem się, co kombinujesz. I wszystko obnażę.

- Nie mogę się doczekać.

Zarumieniłam się, za późno łapiąc aluzję. Nad głową Patcha zobaczyłam, jak między stołami przemyka w naszą stronę Vee.

- Idzie Vee - ostrzegłam. - Odejdź!

Nie ruszył się z miejsca, wpatrzony we mnie i zadumany.

- No co się tak gapisz? Zaczął się zbierać.

- Bo jesteś zupełnie inna, niż sądziłem.

- Ty też - skontrowałam. - Jesteś gorszy.

## ROZDZIAŁ 6

Następnego dnia rano, kiedy zadzwonił dzwonek, stwierdziłam zdumiona, że na pierwszej lekcji - wuefie - pojawił się Elliot. Miał na sobie baseballowe spodenki do kolan i białą bluzę Nike. Był w nowych, drogich tenisówkach. Zauważył mnie, podając pani Sully jakąś karteczkę. Pomachał mi i przysiadł się do mnie na trybunie.

- Byłem ciekaw, kiedy znów na siebie wpadniemy - powiedział. - W sekretariacie odkryli, że dwa lata nie chodziłem na wuef. W szkołach prywatnych nie jest obowiązkowy. Teraz debatują, jak w mój dwuletni program wcisnąć jeszcze dwa zaległe lata. No więc jestem. Wuef mam na pierwszej i czwartej lekcji.

- Nadal nie wiem, dlaczego się przeniosłeś. - Straciłem stypendium, a rodziców nie było stać na moją naukę.

Pani Sully zagwizdała.

- Rozumiem, że ten gwizdek coś oznacza? - spytał Elliot.

- Dziesięć okrążeń sali, bez obcinania rogów. - Podniosłam się z miejsca. - Jesteś wysportowany?

Elliot poderwał się i zatańczył na poduszeczkach dużych palców. Wykonał kilka wymachów nogami w powietrzu. Zakończył występ wykopem, o mało nie wybijając mi zębów, po czym odparł z uśmiechem:

- Wysportowany? Do szpiku kości.

Dziesięć razy obiegliśmy salę w kółko i wyszliśmy na zewnątrz. Zebrała się paskudna mgła, zatykająca płuca tak, że nie mogłam oddychać. Z nieba spadło

kilka kropel w usilnej próbie uraczenia Coldwater burzą. Zerknęłam w stronę drzwi budynku, lecz na próżno: pani Sully była jak z kamienia.

- Potrzebuję dwóch kapitanów do softballu! - krzyknęła. - Żwawo, proszę mi tu nie spać! Ręce w górę, czekam! Jak się ktoś nie zgłosi, to wybiorę sama, a ja nie zawsze gram fair!

Elliot podniósł rękę.

- Świetnie - powiedziała do niego pani Sully. - Podejdź tu, do bazy domowej. A na kapitana czerwonych poproszę... Marcie Millar.

- Czemu nie. - Marcie omiotła wzrokiem Elliota.

- Elliot, nie ociągaj się, wybieraj - zachęciła pani Sully.

Elliot podrapał się po brodzie i obejrzał całą klasę, oceniając wyłącznie po wyglądzie, kto z nas będzie najlepszy do ataku, a kto do obrony.

- Nora - powiedział.

Marcie dotknęła dłonią karku i się roześmiała.

- Dzięki - zwróciła się do Elliota, posyłając mu zjadliwy uśmiech, który z nieznanym mi przyczyn hipnotyzował pleć przeciwną.

- Za co? - spytał Elliot.

- Za wystawienie nam zwierzyny. - Wskazała palcem na mnie. - Istnieje sto powodów, dla których ja jestem cheerleaderką, a Nora nie. Najważniejszy z nich to koordynacja ruchów.

Popatrzyłam na nią krzywo i podchodząc do Elliota, wciągnęłam przez głowę niebieską koszulkę.

- Przyjaźnię się z Norą - spokojnie, niemal chłodno oznajmił Marcie Elliot.

Przesadził, ale nie miałam ochoty go poprawiać. Marcie zrobiła taką minę, jakby ją oblano kubłem lodowatej wody, co bardzo mnie ucieszyło.

- Bo nie poznałeś nikogo lepszego. Na przykład mnie. Owinęła włosy wokół palca. - Jestem Marcie Millar. Wkrótce o mnie usłyszysz.

Albo miała tik, albo do niego mrugnęła.

Elliot zupełnie nie zareagował i jego notowania u mnie od razu poszły w górę.

Byle koleś natychmiast padłby na kolana i błagał Marcie, by mu łaskawie poświęciła swą uwagę.

- Chcecie tak stać do południa i czekać, aż się rozleje, czy wreszcie weźmiecie się do roboty? - zapytała pani Sully.

Po wybraniu drużyn Elliot wziął nas do boksu i ustalił porządek pałkowania.

Nasunął mi kask na głowę i wręczył kij.

- Grey, zaczynasz. Wystarczy nam tylko bezpieczne zagranie.

Biorąc zamach dla wprawy, o mały włos nie zwałam go z nóg.

- A ja już liczyłam na home run.

- Doczekasz się z tego. - Skierował mnie do bazy domowej - Stań na stanowisku miotania i z całej siły się zamachnij.

Oparłam kij na barku, z myślą, że przy oglądaniu World Series powinnam

bardziej uważać. Okej, może powinnam to oglądać. Kask spadł mi na oczy, więc go uniosłam, próbując mierzyć wzrokiem kwadrat, który całkiem zastłoniły upiorne smugi mgły.

Marcie Millar zajęła pozycję miotacza. Kiedy wyciągała piłkę przed siebie, spostrzegłam, że celuje we mnie serdecznym palcem. Częstując towarzystwo kolejnym jadowitym uśmiechem, zalobowała piłkę we mnie.

Trafiła mnie i piłka zaryła w piachu po niewłaściwej stronie linii faulu.

- To się nazywa uderzenie! - wykrzyknęła pani Sully z pozycji między pierwszą i drugą bazą.

Elliot wrzasnął z boksu:

- Przesadziłaś ze spinem! Poślij jej czysty rzut! Dopiero po chwili uzmysłowiłam sobie, że nie mówi do mnie, tylko do Marcie.

Marcie znów cisnęła piłkę, która przemknęła łukiem przez ponure niebo.

Wykonałam zamach i znowu chybiłam.

- Druga nieudana - spod maski łapacza odezwał się Anthony Arnowitz.

Spojrzałam na niego surowo.

Odsuwając się od bazy domowej, zrobiłam jeszcze kilka zamachów dla wprawy.

Elliot, który podszedł od tyłu, o mało nie dostał w głowę. Otoczywszy mnie ramionami, położył dłonie na kiju równo z moimi.

- Pokażę ci - szepnął mi do ucha. - O tak. Czujesz? Wy-luzuj. A teraz skręć biodra, wszystko polega na ruchu wokół osi bioder.

Zaczerwieniłam się, widząc, że jesteśmy pod obserwacją całej klasy.

- Chyba rozumiem, dzięki.

- Znajdźcie sobie ustronniejsze miejsce! - zawołała do nas Marcie.

Zawodnicy stojący w kwadracie wybuchnęli śmiechem.

- Gdybyś rzuciła przyzwicie - odkrzyknął Elliot - Nora trafiłaby w piłkę.

- Jestem gotowa.

- Nora też. - Elliot ściszył głos, mówiąc już tylko do mnie: - Opuść kontakt wzrokowy, gdy tylko ciśnie piłkę. Jej rzuty są nieczyste, więc musisz się postarać.

- Wstrzymujecie rozgrywkę! - ryknęła pani Sully.

W tej samej chwili rozproszył mnie odgłos z parkingu za boksem. Tak jakby ktoś wolał mnie po imieniu. Odwracając się, poczułam, że to jednak nie wołanie.

Wypowiedziano je bezgłośnie - w mojej głowie.

- Noro

Patch miał na sobie wypłowiałą czapkę baseballową. Wczepiony palcami w siatkę ogrodzenia, opierał się o nią. Mimo zimna był bez płaszcza. Od stóp do głów na czarno. Przyglądał mi się nieprzeniknionym wzrokiem, ale stwierdziłam, że to pozory.

W głowę wkradły się kolejne słowa:

-Lekcja wywijania kijem? Niezłe... wyczucie.

By jakoś się uspokoić, wzięłam wdech i powiedziałam sobie, że to tylko wyobraźnia. W przeciwnym razie musiałabym uznać, że Patch posiada moc przelewania we mnie myśli, co byłoby niedorzeczne. Po prostu niemożliwe. Chyba że miałam majaki - co przeraziło mnie jeszcze bardziej niż myśl, że Patch przekracza granice normalnej komunikacji i zależnie od swojego widzimisię potrafi przemawiać do mnie, nawet nie otwierając ust.

- Grey! Skup się wreszcie!

Zamrugałam oczami, ożywając dokładnie w chwili, gdy piłka ruszyła przez mgłę w moim kierunku. Już miałam wziąć zamach, kiedy usłyszałam:

-Jeszcze... nie.

Wstrzymałam się, czekając na piłkę. Kiedy się zniżyła, wystąpiłam naprzód, do brzegu bazy domowej. Zamachnęłam się ze wszystkich sił.

Rozległ się potworny trzask i kij zadrżał mi w rękach. Piłka trafiła w Marcie, która przewróciła się na plecy. Przemykając między drugim bazowym i drugą bazą, piłka wpadła w podskokach na trawę najdalszej części boiska.

- Nora, biegnij! - wydarli się z boksu moi zawodnicy. -Biegnij!!!

Pognałam.

- Rzuć kij! - wrzasnęli. Cisnęłam go na bok.

- Zostań w pierwszej bazie! Nie zostałam.

Wbiegłszy na narożnik pierwszej bazy, okrążyłam go i popędziłam w stronę drugiego. Piłkę miał teraz lewy połowy, przygotowany, żeby mnie wyrzucić. Z pochyloną głową napięłam ramiona, starając się sobie przypomnieć, jak wchodzi na bazę zawodowcy w ESPN. Do przodu stopami czy głową? Przystanąć, paść i potoczyć się po ziemi?

Piłka poześlowała do drugiego bazowego, wirując mi biało przed oczyma. W boksie rozległo się radosne skandowanie: „Wchodź!”, ale wciąż nie byłam pewna, czy na ziemi mają się najpierw znaleźć moje buty, czy ręce.

Drugi bazowy złapał piłkę w locie. Z rozpostartymi ramionami dałam nura naprzód. Nagle znikąd pojawiła się rękawica i spikowała na mnie. Zderzyła się z moją twarzą. Poczułam ostry zapach skóry... Zwinęłam się na ziemi, z ustami pełnymi żwiru i piaskiem pod językiem.

- Faul! - zawołała pani Sully.

Powlokłam się na bok, sprawdzając, co mam uszkodzone. Biodra przeszywał dziwny, jednocześnie palący i zimny ból. Podwinąwszy spodenki, stwierdziłam, że nogi wyglądają, jak po ataku pięciu kotów. Pokuśtykałam do boksu i padłam na ławkę.

- Słodkie - odezwał się Elliot.

- Chodzi ci o moje przedstawienie czy rozdarcie na nodze? - odparłam i podkulając kolano, delikatnie otarłam je z piasku.

Elliot pochylił się i podmuchał mi kolano. Co większe kawałki żwiru pospadały na ziemię. Na chwilę zapadła krępująca cisza.

- Dasz radę chodzić? - spytał.

Wstając, pokazałam mu, że choć noga jest zadrapana i cała utyłana, to nadal mi służy.

- Jak chcesz, pójdziemy do gabinetu lekarskiego. Zabandażują cię - powiedział.

- Nie trzeba, nic mi nie jest. - Zerknęłam na siatkę, za którą stał Patch, ale zdążył się już ulotnić.

- Tamten przy ogrodzeniu to twój chłopak? - zapytał Elliot.

Zdziwiłam się, że go zauważył. Bo przecież był odwrócony plecami.

- Nie - odpowiedziałam. - Kolega. W sumie nawet nic kolega. Siedzimy razem na biologii.

- Czerwienisz się.

- To pewnie rumieńce od wiatru.

W głowie wciąż rozbrzmiewał mi głos Patcha. Serce biło szybciej, co dziwne jednak, nie byłam rozpalona. Czyżby przemawiał wprost do moich myśli? Czy umożliwiała mu to jakaś niewytłumaczalna więź pomiędzy nami? A może zwariowałam?

Elliot najwyraźniej mi nie dowierzał.

- Jesteś pewna, że nic was nie łączy? Nie chciałbym się uganiać za zajętą dziewczyną.

- Nic - odparłam. A już na pewno nic takiego, nad czym nie miałabym kontroli.

Zaraz! Co Elliot powiedział?

- Słucham?

Uśmiechnął się.

- W sobotę wieczór na nowo otwierają Delphic Sea-port i chciałbym się tam wybrać z Julesem. Zapowiada się ładna pogoda. Może wpadłybyście z Vee, co ty na to?

Musiałam chwilę pomyśleć nad tą propozycją. Byłam pewna, że jeśli mu odmówię, Vee mnie zamorduje. Poza tym randka z Elliotem mogłaby mi pomóc uporać się z niewygodnym pociągiem do Patcha.

- Z chęcią - odpowiedziałam.

## ROZDZIAŁ 7

W sobotni wieczór urzędowałam w kuchni z Dorotheą, która wsunąwszy zapiekankę do piekarnika, po raz kolejny odczytała sobie przymocowaną, do lodówki magnesem listę poleceń od mamy.

- Dzwoniła mama. Przyjedzie dopiero w poniedziałek, późno w nocy - powiedziała, szorując ajaksem zlewozmywak tak energicznie, że aż zabolął mnie łokieć. - Zostawiła wiadomość na sekretarce. Prosi cię o telefon. Dzwonisz codziennie przed snem, tak?

Siedziałam na taborecie i jadłam bajgla z masłem. Dorothea spojrzała na mnie, domagając się odpowiedzi, akurat gdy ugryzłam potężny kęs.

- Mhm - odparłam i skinęłam głową.  
- Przyszedł dzisiaj list ze szkoły. - Wskazała brodą stos poczty na blacie. - Może wiesz, w jakiej sprawie?

- Nie mam pojęcia. - Wzruszyłam ramionami najniewinniej jak się dało, choć doskonale wiedziałam, o co chodzi. Pewnego dnia rok temu do drzwi zapukali policjanci. „Mam złe wieści”, usłyszałam. Tydzień później pochowałyśmy tatę. Odtąd w każdy poniedziałek po południu o ściśle określonej porze meldowałam się u doktora Hendricksona. Opuściłam dwie ostatnie sesje, więc gdybym nie usprawiedliwiła się tym tygodniu, miałabym kłopoty. List prawdopodobnie zawierał ostrzeżenie.

- Co porabiasz dziś wieczór? Macie z Vee coś w zanadru? Może jakiś film tu w domu?

- Może. Dorth, daj spokój, mogę ten zlew umyć później. Usiądź i... zjedz sobie pół mojego precla.

W miarę szorowania zlewu siwy kok Dorothei zaczął się rozsypywać.

-Jutro wyjeżdżam na konferencję - oznajmiła. - Do fort land. Doktor Melissa Sanchez będzie miała wykład, twierdzi, że człowiek wmyśla w siebie bardziej seksowne „ja”. Hormony to silny narkotyk. Jeśli im nie powiemy o swoich potrzebach, ich działanie ma odwrotny skutek. Działają przeciwko nam. - Odwróciła się i dla większego nacisku wymierzyła we mnie butelką ajaksu. - Teraz budzę się rano i siadam przed lustrem z czerwoną szminką. „Jestem seksowna - piszę. - Mężczyźni mnie pragną. Dzisiaj sześćdziesiąt pięć lat to tak jak dawniej dwadzieścia pięć”.

- Myślisz, że to działa? - zapytałam, bardzo starając się nie uśmiechnąć.

-Działa - odrzekła z powagą Dorothea. Oblizwała palce z masła, szykując się do stosownej odpowiedzi.

- A więc spędzisz weekend na ponownym odkrywaniu twojej seksualności...?

- Każda kobieta powinna odkrywać ją od nowa, podoba mi się to. Moja córka zrobiła sobie implanty. Mówi, że zrobiła to dla siebie, ale która kobieta poprawia cycki dla niebie? Przecież to jest ciężar. Zrobiła to dla mężczyzny.

-Mam nadzieję, że ty dla chłopca nie robisz takich głupstw Noro. - Pogroziła mi palcem.

- Dorth, wierz mi: w moim życiu nie ma żadnych chłopców.

No dobra, wprowadzie obchodząc mnie z daleka, przyczało się na mnie aż dwóch, ale że nie znałam ich za dobrze, a jeden wręcz mnie przerażał, najbezpieczniej było przymknąć oczy i udawać, że nie istnieją.

- To i dobrze, i źle - powiedziała gderliwie Dororhea Jak spotkasz niedobrego chłopca, napytasz sobie biedy, a jak będzie dobry, wtedy znajdziesz miłość - jej głos nostalgicznie złagodniał. - Gdy byłam małą dziewczynko w Niemczech, musiałam wybierać między dwoma chłopca mi. Jeden był bardzo niegodziwy. Drugim był mój Urnry. Jesteśmy szczęśliwym małżeństwem od czterdziestu



jeden lat.

Nadszedł czas, aby zmienić temat:

- A co u, mmm, twojego wnuka... Lionela? Wybałuszyła oczy.

- Masz słabość do Lionelka?

- Niiieeee.

-Ja mogę coś wymyślić...

- Nie, Dorotheo, daj spokój. Dziękuję, ale... w tej chwili jestem skupiona głównie na ocenach. Marzę o prestiżowym college'u.

- Gdybyś w przyszłości...

- Dam ci znać.

Dokończyłam precel przy wtórze monotonnej paplaniny Dorothei, wrzucając „mhm” za każdym razem, gdy milkła, czekając na reakcję. Bez reszty pochłaniała mnie kwestia wieczornego spotkania z Elliotem. Z jednej strony zapowiadało się fantastycznie. Im dłużej się jednak nad tym zastanawiałam, tym większe ogarniały mnie wątpliwości.

I choćby dlatego że znałam go zaledwie parę dni. Poza m nie byłam pewna, jak odniesie się do tego mama. Czas płynął nieubłaganie, a Delphic Seaport był oddalony o co najmniej pół godziny drogi. Nie mówiąc o tym, że słynął mocno odjechanych weekendowych imprez... Zadzwoił telefon. Na ekraniku wyświetlił się numer Vee.

- Robimy coś dzisiaj? - zapytała.

Otworzyłam usta, starannie ważąc odpowiedź. Gdybym jej powiedziała o Elliotcie, nie miałabym odwrotu.

- Kurde! - zapiszczała Vee. - Kurdekurdekurde! Rozlałam lakier do paznokci na kanapę. Moment, wezmę jakiś papierowy ręcznik. Czy woda rozpuszcza lakier? - Wróciła po chwili. - Chyba zniszczyłam kanapę. Musimy się gdzieś wybrać. Wolę, żeby mnie tu nie było, gdy odkryją moje najnowsze dzieło sztuki przypadkowej. Dorothea przeniosła się do łazienki. Nie miałam ochoty trwonić wieczoru na słuchanie, jak zrzędzi, myjąc wannę i umywalkę, więc podjęłam decyzję.

- Co powiesz na Delphic Seaport? Będzie Elliot z Julesem. Chcą się z nami spotkać.

- I ty się tajniczysz? Wreszcie coś konkretnego! Przyjadę za piętnaście minut. - Vee odłożyła słuchawkę.

Poszłam na górę i założyłam dopasowany kaszmirowy sweter, ciemne džinsy i granatowe mokasyny do jazdy dudem. Przeciągnęłam palcami po włosach wokół twarzy, tak jak się nauczyłam podkreślać ich naturalne skręty ... voila! W miarę przyzwoite spiralki. Obróciwszy się dwa razy przed lustrem, stwierdziłam, że wyglądam beztrosko i prawie seksownie.

Równo kwadrans później Vee żwawo zahamowała na podjeździe i zatrąbiła ostro. Ja pokonywałam odległość między naszymi domami w dziesięć minut, tyle że zawsze przestrzegałam ograniczenia prędkości. Vee wprawdzie znała słowo

„prędkość”, ale już „dozwolona” nie mieściło się w jej słowniku.

- Jadę z Vee do Delphic Seaport - zawołałam do Dorothei. - Mogłabyś przekazać coś mamie, jak zadzwoni?

Dorothea przyczłapała z łazienki.

- Aż do Delphic? Tak późno?

- Baw się dobrze na konferencji! - odkrzyknęłam, wybiegając z domu, nim zdążyła zaproponować albo zadzwonić do mamy.

Grube jasne loki Vee były związane wysoko w koński ogon. Z uszu zwisały jej złote obręcze. Usta umalowała na wiśniowo, a rzęsy - czarnym, wydłużającym tuszem

-Jak ty to robisz? - zapytałam. - Na przygotowanie miałaś tylko pięć minut.

- Mnie nic nie zaskoczy - uśmiechnęła się figlarnie. - Jestem chodzącym marzeniem skautów.

Spojrzała na mnie krytycznie.

- No co?

- Jedziemy się spotkać z chłopakami.

- Owszem i co z tego?

-Chłopcy lubią dziewczyny, które wyglądają jak...dziewczyny.

- A ja jak wyglądam? - spytałam, unosząc brwi.

- Jakbyś wyszła spod prysznic i stwierdziła, że samotność widoczna na twojej twarzy wystarczy, żebyś się jako tako prezentowała. Nie zrozum mnie źle. Te ciuchy są niezłe, fryzura też w porządku, ale reszta... Masz. - Sięgnęła do torebki. - Jako prawdziwa przyjaciółka pożyczę ci szminkę. I maskarę, jeśli dasz słowo, że nie masz zaraźliwej choroby oczu.

- Nie mam choroby oczu!

- Musiałam się upewnić.

- Nie chcę, dzięki.

Vee rozdziawiła buzię, zarazem filuternie i poważnie.

- Bez niej będziesz się czuła naga!

- To by ci się chyba podobało - odparłam. Szczerze mówiąc, miałam mieszanie uczucia co do wyjścia bez makijażu. Nie dlatego że faktycznie czułam się troszeczkę goła, tylko dlatego że według Patcha bez make-upu wyglądałam korzystniej. Aby się lepiej poczuć, powiedziałam sobie, że w końcu nie idzie tu o moją godność. Ani też o dumę. Coś mi zasugerował i - jako osoba otwarta - spokojnie mogłam to teraz wypróbować. Nie przyznałabym się jednak nawet w duchu, że przeprowadzam test specjalnie tego wieczoru, wiedząc, że nie spotkam Patcha.

Pół godziny później Vee podjechała pod bramę Delphic Seaport. Na otwarcie przyjechało tyle ludzi, że musiałyśmy postawić samochód na samym końcu parkingu. Wtulony w brzeg, Delphic jest znany z chłodnej aury. Kiedy szliśmy w stronę kasy, zerwał się wiatr i omiół nasze łydki torebkami po popcornie i

papierkami po cukierkach. Drzewa wciąż jeszcze nie miały liści i gałęzie poruszały się nad nami złowieszczo jak pozbawione stawów palce. Przez całe lato Delphic Seaport ścigał tłumy spragnionych rozrywek, maskarad, wróżb, cygańskiej muzyki i widoku rozmaitych dziwolągów. Nigdy nie udało mi się dociec, czy pokazywane tam deformacje ciała były autentyczne czy podrabiane.

-Jeden dla dorosłych - poprosiłam kobietę za kontuarem.

Wzięła pieniądze i podała mi przez okienko opaskę na rękę, po czym uśmiechnęła się, odsłaniając plastikowe białe kły wampira, umazane na czerwono szminką.

- Dobrej zabawy - powiedziała zadyszana. - Polecam naszą świeżo przebudowaną kolejkę. - Stuknęła w szybę, wskazując stosik map parku i ulotki. Przechodząc przez obrotowe drzwi, wzięłam jedną z ulotek. Widniał na niej napis:

NAJNOWSZA SENSACJA PARK LI ROZRYWKI DELPHIC! ARCHANIOŁ PO PRZEBUDOWIE ( RENOWACJI) PRZEŻYJ WIELKI UPADEK Z WYSOKOŚCI TRZYDZIESTU PIĘCIU METRÓW!

Zerkając mi przez ramię, Vee przeczytała ulotkę. O mało nie przebiła mi paznokciami skóry na barku.

- Musimy się przejechać! - zapiszczała.

- Na końcu - przyrzekłam w nadziei, że jeśli najpierw przeżyjemy wszystkie inne atrakcje, Vee o tej zapomni. Od lat myślałam, że nie boję się wysokości, przypuszczalnie dlatego, że zawsze sprytnie unikałam tego typu wyzwań. Nie byłam do końca gotowa sprawdzić, czy czas osłabił we mnie strach.

Po diabelskim młynie, samochodzikach, przejażdżce na latającym dywanie, strzelnicy i paru innych grach stwierdziłyśmy, że nadeszła pora, by poszukać Julesa i Elliota.

- Hm - mruknęła Vee, rozglądając się po krętej ścieżce wokół parku.

Przez chwilę milczałyśmy w zadumie.

- Może salon gier? - zasugerowałam w końcu.

- Racja.

Ledwie minęłyśmy drzwi salonu - spostrzegłam go. Ale nie Elliota. Ani Julesa. Patcha.

Uniósł głowę znad gry wideo. Twarz przysłaniała mu ta sama baseballowa czapka, w której widziałam go na wuefie, ale z całą pewnością ujrzałam cień uśmiechu... Na pierwszy rzut oka wyglądał przyjaźnie, ale zaraz mi się przypomniało, jak przeniknął moje myśli, i aż mnie zmroziło.

Liczyłam, że Vee go nie zauważy. Prędko pchnęłam ją naprzód, aby nie zdążyła go dostrzec. Brakowało mi jeszcze tylko tego, abyśmy zagadnęły Patcha.

- Są tam! - wykrzyknęła, wymachując w górze ręką. - Jules! Elliot! Chodźcie!

-Dobry wieczór paniom - przywitał nas Elliot, przecinka jąc się przez tłum. Jules szedł w ślad za nim, z miną tak entuzjastyczną jak trzydniowy klops. - Mogę wam

postawić colę?

- Super - odparła Vee, wgapiona w Julesa. - Poproszę dietetyczną.

Jules bąknął pod nosem, że musi skorzystać z toalety i znowu znikł w tłumie.

Po pięciu minutach Elliot wrócił z colą. Wręczył nam po puszcze, zatarł ręce i na moment się zamyślił.

- Od czego zaczniemy? - spytał.

- No a Jules? - zaniepokoiła się Vee.

- Znajdzie nas, spokojnie.

- Air hockey - powiedziałam bez namysłu.

Stół do gry w air hockey a mieścił się po drugiej stronie salonu. Całe szczęście - im dalej od Patcha, tym lepiej. Wmawiałam sobie, że znalazł się tam przez przypadek, ale moja intuicja przeczyła temu.

-Patrzcie! - zawołała Vee. - Futbol stołowy! - I już biegła zygzakiem w stronę otwartego stołu. - Ja z Julesem przeciwko wam. Przegrani stawiają pizzę.

- Okej - odpowiedział Elliot.

Nie miałabym nic przeciwko futbolowi, gdyby stół był nieco dalej od miejsca, w którym grał Patch. Postanowiłam go ignorować. Gdybym ustawiła się plecami do niego, prawie bym go nie widziała. I może nie znalazłby się też w polu widzenia Vee.

- Ej, Nora, to chyba Patch? - odezwała się Vee.

- Hm? - spytałam niewinnie. Pokazała go palcem.

- O, tam. To on, prawda?

- Nie sądzę. Czyli Elliot i ja to drużyna białych?

- Patch siedzi z Norą na biologii - wyjaśniła Vee Elliotowi. Mrugnęła do mnie chytrze, ale gdy tylko Elliot skierował uwagę na nią, zrobiła minę niewiniątka.

Pokręciłam głową lekko, lecz stanowczo, przekazując jej niemy komunikat:

„Przestań”. - Popatruje w naszą stronę - wyszeptwała. Oparła się o stół, próbując nadać naszej rozmowie pozór prywatności, ale powiedziała to na tyle głośno, że Elliot po prostu musiał ją usłyszeć. - Na pewno kombinuje, co tu robisz z... -

Wskazała głową Elliota.

Przymknęłam oczy i wyobraziłam sobie, że walę głową w ścianę.

- Patch nie kryje się z tym, że chciałby być dla Nory kimś więcej niż kolegą z biologii - ciągnęła Vee. - Zresztą trudno mu się dziwić.

- Naprawdę? - odparł Elliot, ogarniając mnie spojrzeniem wskazującym, że wcale nie jest zdziwiony. Już przedtem to podejrzewał. Spostrzegłam, że podszedł do mnie o krok bliżej.

Vee uraczyła mnie uśmiechem zwycięstwa, zatytułowanym: „Później mi podziękujesz”.

- To nie tak - poprawiłam. - Jest...

- Dwa razy gorzej - dokończyła Vee. - Nora podejrzewa, że Patch ją śledzi.

Pewnie niedługo zainteresuje się nim policja.

- Gramy czy nie? - zapytałam głośno.

Położyłam piłkę na środku stołu. Nikt tego nie zauważył.

- Chcesz, żebym z nim pogadał? - zwrócił się do mnie Elliot. - Powiem mu, że nie chcemy mieć nieprzyjemności. Że jesteś tu ze mną, więc jak ma jakiś problem, może go załatwić ze mną.

Nie chciałam, aby rozmowa potoczyła się w tym kierunku. Ani trochę.

- Co się dzieje z Julesem? - zapytałam. - Długo go nie ma.

- Właśnie, może się przewrócił w kłopot - zasugerowała Vee.

- Jak chcesz, to z nim pogadam - powtórzył Elliot.

Doceniając jego troskę, nie byłam zachwycona pomysłem konfrontacji z Patchem. On był jak czynnik X: nieuchwytny, obcy i przerażający. Kto wie, do czego mógł być zdolny. Elliot był stanowczo zbyt miły, żeby go wysyłać przeciw Patchowi.

- Nie boję się go - oświadczył Elliot, jakby dla obalenia moich wątpliwości.

W tym jednym raczej nie mogłam się z nim zgodzić.

- To zły pomysł - powiedziałam.

- Właśnie, że wspaniały - rzekła Vee. - Inaczej Patch może... stać się agresywny. Pamiętasz, co było ostatnim razem?

- Ostatnim razem? - spytałam ją bezgłośnie.

Nie miałam pojęcia, czemu służyło to jej przedstawienie. Zawsze miała silną skłonność do przesady. To, co Vee uważała za niesłychanie dramatyczne, dla mnie było zwykłym upokorzeniem.

- Bez urazy, ale facet wygląda dosyć nieciekawie - stwierdził Elliot. - Wracam za dwie minuty. - I ruszył w stronę Patcha.

- Nie! - zaproponowałam, szarpiąc go za rękaw. - Bo... może znowu wpaść w agresję. Sama się tym zajmę. - Wściekle zmrużyłam oczy, patrząc na Vee.

- Na pewno? - spytał Elliot. - Bo chętnie bym to zrobił.

- Chyba będzie lepiej, jak to wyjdzie ode mnie. Wytarłam dłonie o džinsy, w miarę spokojnie wzięłam wdech i pomaszerowałam w kierunku Patcha, który stał zaledwie kilka konsoli dalej. Nie miałam bladego pojęcia, co mu powiem.

Liczyłam, że załatwię sprawę krótkim „cześć” a potem wrócę do Elliota i Vee, aby ich zapewnić, że wszystko jest pod kontrolą.

Patch ubrał się jak zwykle: miał na sobie czarną koszulę, czarne džinsy i cieniutki srebrny naszyjnik, który połyskiwał na tle jego ciemnej karnacji. Rękawy podwinął tak wysoko, że za każdym naciśnięciem guzika było widać, jak pracują mięśnie.

Był wysoki, smukły i hardy, i wcale bym się nie zdziwiła, gdyby pod ubraniem miał kilka blizn, pamiątek po walkach ulicznych czy jeszcze innych wybrykach. Nie żebym mu chciała zaglądać pod ubranie.

Zbliżywszy się do jego konsoli, poklepałam jej bok ręką by zwrócić na siebie uwagę. Najspokojniejszym tonem, na jaki było mnie stać, zapytałam:

- Pacman? Czy może Donkey Kong?

Prawdę mówiąc, gra wyglądała na bardziej agresywną i chyba wojskową.  
Na twarzy Patcha powoli pojawił się uśmiech.

- Baseball. Zechciałabyś stanąć za mną i dać mi parę wskazówek?

Na ekranie eksplodowały ogniem bomby i raz po raz ktoś wylatywał w powietrze.  
Oczywiście nie grał w żaden baseball.

- Jak ma na imię? - spytał, prawie niedostrzegalnie kiwając głową w stronę  
mojego towarzystwa.

- Elliot. Słuchaj, muszę się streszczać. Czekają na mnie.

- Znam go?

- Jest nowy. Właśnie się do nas przepisał.

- Pierwszy tydzień w szkole, a już ma przyjaciół. Szczęściarz. - Patch spojrzał na  
mnie. - Być może jest mroczny i groźny, a nam nic o tym nie wiadomo.

- To widać moja specjalność.

Czekałam, że załapie, o co chodzi, ale odparł tylko:

- Zagrasz?

Przechylił głowę w stronę odległego końca salonu. Wśród tłumu ledwie udało mi  
się rozróżnić stoły do bilardu.

- Nora!!! - zawołała Vee. - Chodźże tutaj. Sama nie dam rady Elliotowi!

- Nie mogę - odpowiedziałam Patchowi.

- Jeśli wygram - oświadczył, jakby nie przyjmując do wiadomości odmowy -  
powiesz Elliotowi, że coś ci wypadło. Powiesz, że jesteś zajęta do końca  
wieczoru.

Był tak arogancki, że nie mogłam się opanować:

- A jeżeli ja wygram?

Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów.

- Bez obawy.

Zanim zdążyłam się opanować, walnęłam go w ramię. - Uważaj - szepnął. - Bo  
jeszcze pomyślą, że flirtujemy.

Chętnie bym sobie dokopała, bo właśnie to robiliśmy. Ale cała ta akcja wyszła od  
niego - nie ode innie. W bliskim kontakcie z Patchem doznawałam dziwnej  
polaryzacji pragnień. Bo jakaś częśćka mnie chciała uciekać przed nim z  
wrzaskiem: „Pali się!”. A inną, bardziej lekkomyślną częśćkę nęciła potrzeba  
sprawdzenia, jak bardzo mogę się do niego zbliżyć i... nie spłonąć.

- Jedna partyjka bilardu - kusił.

- Nie jestem tu sama.

- Kieruj się do stołów. Zadbam o twoje towarzystwo. Skrzyżowałam ramiona, co  
miało mi nadać wyrazu bez względu na i lekkiego rozdrażnienia, ale też  
zagryzłam usta, by się nie zorientował, że odbieram go trochę bardziej  
pozytywnie.

- Co zrobisz? Pobijesz Elliota?

- Jeśli to będzie konieczne...

Byłam prawie pewna, że to żart. Prawie.

- O, tamten stół się zwoleń. Przytrzymaj go.
- Idź... już... śmiało - usłyszałam w głowie. Zesztywniałam.
- Jak to zrobiłeś?

Nie zaprzeczył i z miejsca ogarnęła mnie panika. Wiec działo się to naprawdę.

Patch doskonale wiedział, co robi spotniały mi dłonie.

- Jak to zrobiłeś? - powtórzyłam. Uśmiechnął się przebiegle.
- Co takiego?
- Przestań - ostrzegłam. - Tylko nie udawaj. Oparł się barkiem o ekran i popatrzył na mnie.
- Co mam niby robić?
- Moje... myśli...
- Co z nimi?
- Patch, przestań! Rozejrzał się teatralnie.
- Sądzisz, że... przenikam twoje myśli? Przecież wiesz, że to niemożliwe, hm?
- Przełknęłam ślinę i odpowiedziałam, siłąc się na spokój.
- Przerażasz mnie i chyba raczej do mnie nie pasujesz.
- Mógłbym zmienić to przekonanie.
- Noooooora! - ryknęła Vee, przebijając się przez gwar ludzi i odgłosy elektroniki.
- Patch zaszedł mnie od tyłu i poczułam lodowate ciarki.
- Będę czekał - szepnął mi do ucha, po czym wymknął się z sali.

## ROZDZIAŁ 8

Oszołomiona wróciłam do Vee i Elliota. Elliot pochylał się nad stołem z wyrazem skupienia w oczach, a jego przeciwniczka w grze śmiała się i piszczała. Julesa wciąż nie było.

- No i? - spytała Vee, podnosząc na mnie wzrok. - Co się stało? Co ci powiedział?
- Nic. Kazałam mu zostawić nas w spokoju i sobie poszedł - zabrzmiało to stanowczo.
- Wychodząc, wyglądał dość spokojnie - stwierdził Elliot. - Nie wiem, co mu powiedziałaś, ale najwyraźniej zadziało.
- Fatalnie - skrzywiła się Vee. - Liczyłam, że się trochę zabawimy.
- Gotowe do gry? - spytał Elliot. - Nie mogę się doczekać tej ciężko okupionej pizzy.
- Aha, tylko niech ten Jules już wróci - odpowiedziała Vee. - Coś mi się wydaje, że niezbyt nas lubi. Ciągłe znika. To pewnie taki niewerbalny przekaz.
- Nie żartuj! Przepada za wami - oświadczył Elliot pewną nadwyżką entuzjazmu.
- Tyle że dość wolno oswaja się z obcymi. Poszukam go. Nie ruszajcie się stąd.
- Gdy tylko zostałyśmy same, powiedziałam do Vee:
- Wiesz, że cię zamorduję, prawda? Vee uniosła dłonie i cofnęła się o krok.

- Chciałam ci zrobić przysługę. Elliot ma fioła na twoim punkcie. Zaraz jak odeszłaś, poinformowałam go, że co wieczór dzwoni do ciebie co najmniej dziesięciu facetów. Żebyś ty widziała jego minę. Ledwie opanował zazdrość. Jęknęłam.

- Takie jest prawo podaży i popytu - oznajmiła Vee. - Km by pomyślał, że ekonomia może być aż tak przydatna?

Spojrzałam na drzwi salonu.

- Mam na coś ochotę.

- Masz ochotę na Elliota.

- Nie, tylko na cukier. Masę cukru. Potrzeba mi waty cukrowej.

Tak naprawdę potrzebowałam wielkiej gumy, którą by można było wymazać z mojego życia wszelkie ślady Patcha. Zwłaszcza przemawianie do umysłu.

Wzdrygnęłam się. Jak on to robi? No i dlaczego mnie? Chyba że... wyobraziłam to sobie. Tak jak potrącenie kogoś dodge'em.

-Mnie też by się przydało trochę cukru – stwierdziła Vee. - Jak tutaj szłyśmy, koło wejścia do parku widziałam sprzedawcę. Zostanę, żeby Elliot z Julesem nie pomyśleli, że zwiąłyśmy, a ty idź po watę.

Opuściwszy salon gier, wycofałam się do wejścia, ale gdy już znalazłam sprzedawcę waty cukrowej, rozproszył mnie widok nieco dalej, w pasażu. Nad wierzchołkami drzew górowała sylweta Archaniola. Po wijących się oświetlonych torach jeździły zygzakiem wagoniki i nurkowały w dół, znikając z pola widzenia. Zatrzymała mnie myśl, po co Patch chciał się ze mną spotkać. Poczułam ukłucie w żołądku i zamiast uznać to za odpowiedź, wbrew swym najlepszym intencjom polazłam przez pasaż w kierunku Archaniola.

Trzymając się chodnika, wbiłam wzrok w zapętlony na niebie w dali tor kolejki. Wiatr przeszedł z chłodnego w lodowaty, ale nie dlatego zaczęłam się czuć coraz bardziej nieswojo. Znałam już to uczucie. Zimne, paraliżujące przeświadczenie, że ktoś mnie obserwuje.

Ukradkiem rozejrzałam się na boki, ale nie zauważyłam nic nienormalnego.

Odwróciłam się o sto osiemdziesiąt stopni. Nieco w tyle za mną, na niewielkim dziedzińcu z drzew mignęła mi i zniknęła w mroku zakapturzona postać.

Z bijącym coraz szybciej sercem minęłam dużą grupę przechodniów, zbliżając się do polanki. Kilkanaście kroków dalej rozejrzałam się znowu. Nic nie wskazywało, aby ktoś mnie śledził.

Ponownie odwróciwszy głowę, wpadłam na kogoś.

- Sorry! - wyrzuciłam z siebie, próbując odzyskać równowagę.

Patch uśmiechnął się szeroko.

- Trudno mi się oprzeć. Zmrużyłam oczy.

- Odczep się ode mnie.

Myślałam, że go obejdę, ale złapał mnie za łokieć.

- Coś nie tak? Wyglądasz, jakby cię zemdlilo.



- Właśnie tak na mnie działasz - odwarknęłam. Roześmiał się. Chętnie kopnęłabym go w kostkę.

- Powinnaś się czegoś napić. - Nie puszczać mojego łokcia, pociągnął mnie w stronę wózka z lemoniadą.

Zapałam się nogami.

- Jak chcesz mi pomóc, to trzymaj się z daleka! Odgarnął mi lok z twarzy.

- Cudne masz te włosy. Uwielbiam, kiedy są w nieładzie. Wtedy jakby pokazujesz tę cząstkę „ja”, która chciałaby być ujawniana częściej.

Z furią przyglądałam włosy. Gdy tylko dotarło do mnie, że wyglądam, jakbym poprawiała się dla niego, powiedziałam:

- Muszę iść. Vee czeka. - I po wymęczonej pauzie: Pewnie zobaczymy się w szkole w poniedziałek.

- Przejeżdż się ze mną Archaniołem. Przekrzywiłam głowę, by spojrzeć na kolejkę. Wokół, z gnających po torach wagoników, rozbrzmiewały echem przeraźliwe piski.

- W każdym jest miejsce dla dwóch osób. - Postanowił mnie ośmielić jeszcze szerszym uśmiechem.

- Nie. Nic z tego.

- Jak będziesz tak przede mną uciekała, nigdy się nie dowiesz, co się tak naprawdę dzieje.

Na te słowa powinnam była szybko wziąć nogi za pas. Ale nie uciekałam. Tak jakby Patch doskonale wiedział, czym mnie zaintrygować, co powinien powiedzieć w najważniejszym momencie.

- A co się dzieje? - zapytałam.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

- Nie mogę. Mam lęk wysokości. Poza tym Vee czeka. Prawdę mówiąc, nagle myśl o znalezieniu się tak wysoko w powietrzu przestała napawać mnie strachem. I choć to nieźle pokręcone, otuchy dodawała mi świadomość, że obok będzie Patch.

- Jeśli nie będziesz krzyczała do samego końca jazdy, poproszę trenera, żeby nas rozsadził.

- Sama już próbowałam, ale jest niewzruszony.

- Może jednak mnie uda się go przekonać. Potraktowałam te słowa jako osobistą zniewagę.

- Nie krzyczę - odparłam. - Nie w lunaparku. A już na pewno nie z twojego powodu!

Ruszyłam razem z nim na koniec kolejki czekających na przejażdżkę Archaniołem. Wysoko, gdzieś pod niebem rozległy się nagle i ucichły krzyki.

- Nie widziałem cię dotąd w Delphic - oznajmił Patch.

- Często tu bywasz? - Postanowiłam już nigdy nie przyjeżdżać do Delphic w weekend.

- Z tym miejscem wiąże mnie pewna historia. Byliśmy coraz bliżej czoła kolejki; raz po raz zwalniano miejsca w wagonikach dla nowych poszukiwaczy silnych doznań.

- Niech zgadnę - powiedziałam. - Pewnie wagarowałaś tu w zeszłym roku, zamiast chodzić do szkoły...?

Pomimo mojej ironii Patch odparł:

- Zdradzając ci to, rzuciłbym światło na swoją przeszłość. A jej wolałbym nie ujawniać.

- Dlaczego? Miałaś jakieś przejścia?

- Sądzę, że to nie najlepsza pora, aby ci o tym opowiadać. Moja przeszłość mogłaby cię przerazić.

Za późno - pomyślałam.

Przysunął się i nasze dłonie się spotkały, od jego musnięcia ścierpła mi skóra na ramieniu.

- Sprawami, które mam do wyznania, nie dzieli się z lekkomyślną koleżanką z biologii - dodał.

Owiał mnie chłodny wiatr, a kiedy go wciągnęłam w płuca, wypełnił mnie zimnem. Ale prawdziwie upiorny chłód przeniknął me ciało wraz z jego słowami.

Patch wskazał brodą podjazd.

- Teraz my.

Konstrukcja kolejki - przebudowanej, czy też nie - nie nastrajała zbyt optymistycznie. Na oko miała ponad sto lat i cała była z drewna, które od Bóg wie kiedy nękały surowe żywoły Maine. Malunki na jej bokach wyglądały jeszcze mniej zachęcająco.

Wybrany przez Patcha wagonik ozdabiały cztery obrazki. Na pierwszym tłum rogatych demonów wyrwał skrzydła wrzeszczącemu aniołowi płci męskiej. Kolejny przedstawiał bezskrzydłego anioła, który przysiadłszy na nagrał) ku, obserwował bawiące się w oddali dzieci. Na trzecim bezskrzydły anioł stał w pobliżu dzieci, grożąc palcem dziewczynce o zielonych oczach. Na ostatnim obrazku po zbawiony skrzydeł anioł unosił się nad ciałem dziewczynki jak duch. Mała miała czarne oczy i twarz bez uśmiechu, a na głowie wyrastały jej rogi przypominające rogi demonów z pierwszego obrazka. Nad każdą wizją unosił się obrzynek księżycy.

Odwracając oczy, próbowałam sobie wmawiać, że nogi drżą mi od chłodu.

Wśliznęłam się do wagonika obok Patcha.

- Twoja przeszłość by mnie nie przeraziła - powiedziałam, zapinając pas bezpieczeństwa. - Za to z całą pewnością byłabym nią zniesmaczana.

- Zniesmaczona - powtórzył.

Po tonie jego głosu uznałam, że się ze mną zgadza. Co dziwne, bo przecież nigdy nie umniejszał swojej wartości.

Wagoniki potoczyły się do tyłu, po czym szarpnęło nimi naprzód. W niemiłym

tempie ruszyliśmy z platformy, powoli pnać się w górę. Powietrze wypełniły przywiane znad morza wonie potu, rdzy i słonej wody. Patch siedział tak blisko, że po chwili poczułam leciuteńki zapach miętowego mydła.

- Zbladłaś - powiedział, przechylając się, by zagłuszyć stukot kolejki.

Tak też mi się wydawało, ale nie przyznałam mu racji.

Na szczycie wzniesienia opanowało mnie wahanie. Ogarniając wzrokiem wiele kilometrów wokół, zobaczyłam miejsca, w których mroczna wiejska okolica stapia się z poblaskiem przedmieść, tworząc istną kartografię świateł Portland. Wiatr jakby wstrzymał dech, by wilgotne powietrze mogło osiąść mi na skórze.

Mimowolnie zerknęłam na Patcha. Świadomość, że miałam go przy boku, działała nawet kojąco. Nagle się uśmiechnął.

- Boisz się, Aniele?

Czując siłę grawitacji, ścisnęłam metalowy pręt umocowany na przedzie wagonika. Roztrzęsiona, wydałam jakiś strzęp chichotu.

Wagonik demonicznie mknął naprzód, a moje włosy łopotały za mną. Gwałtownie skręcając w lewo, to znów w prawo, gnaliśmy po stukoczących torach. Czułam, jak wnętrzności raz po raz mi wlatują i opadają. Spojrzałam w dół, starając się skupić na czymś nieruchomym.

I wtedy zauważyłam, że pas bezpieczeństwa mam rozpięty.

Chciałam krzyknąć do Patcha, ale głos pochłonął pęd powietrza. Ze ssaniem w żołądku zdjęłam jedną rękę z pręta, próbując ściągnąć się w talii pasem bezpieczeństwa. Wagonik szarpnął w lewo. Zderzywszy się ramieniem z Patchem, naparłam na niego tak mocno, że aż zabolalo. Gdy wagonik ruszył pod górę, miałam wrażenie, jakby, źle przymocowany, oderwał się od toru.

Zanurkowaliśmy. Oślepią migoczącymi wzdłuż torów lampami, nie mogłam się zorientować, w którą stronę skręcimy na dole.

Było już za późno. Wagonik gwałtownie skręcił w prawo. Wpadłam w panikę i wtedy to się stało... Uderzyłam w drzwiczki lewym barkiem, tak że się otworzyły.

Wyleciałam z fotela i kolejka pomknęła dalej beze mnie. Potoczyłam się po torach, na oślep szukając jakiegoś zaczepienia. Na próżno. Potknęłam się nad krawędzią i runęłam w czarną otchłań. Ziemia pędziła w moją stronę.

Otworzyłam usta, aby krzyknąć.

Gdy oprzytomniałam, kolejka zahamowała z piskiem na dole na platformie.

Ramiona bolały mnie od uścisku Patcha.

- To się nazywa krzyk - powiedział z uśmiechem.

W oszołomieniu patrzyłam, jak przyciska sobie dłoń do ucha, jakby jeszcze rozbrzmiewał w nim mój wrzask. Niepewna, co się przed chwilą wydarzyło, spojrzałam na jego ramię, gdzie jak wytatuowane pozostały półkoliste ślady moich paznokci. Potem przeniosłam wzrok na pas bezpieczeństwa. Był porządnie zapięty.

- Mój pas... - zaczęłam. - Wydawało mi się...

- Co ci się wydawało? - ze szczerym zaciekawieniem spytał Patch.  
- Myślałam, że... wypadłam z wagonika. Dosłownie myślałam... no, że umrę.  
- I właśnie o to chodzi.  
Drżały mi ręce. Kolana ugięły się lekko pod ciężarem ciała.  
- Wygląda na to, że jesteśmy na siebie skazani - oznajmił.  
Wyczułam cień triumfu w jego głosie. Nie miałam jednak siły się z nim sprzeczać.  
- Archanioł - mruknęłam, spoglądając przez ramię na kolejkę, która właśnie zaczęła nowy kurs.  
~ To znaczy: anioł wyższej rangi - podjął Patch, najwyraźniej zadowolony z siebie. - Im wyższe wzniesienie, tym dotkliwszy upadek.  
Już-już rozchylałam usta, by mu powiedzieć, że jestem przekonana, iż wypadłam na moment z wagonika i za zrzuceniem jakichś niepojętych mocy bezpiecznie wróciłam na swój fotel, ale wydusiłam tylko:  
- Chyba mam anioła stróża.  
Znów uśmiechnął się z wyższością i prowadząc mnie przez pasaż, szepnął:  
- Wrócę z tobą do salonu.

## ROZDZIAŁ 9

Przeciskając się przez tłum wewnątrz, minęłam kontuar i toalety. Ale wśród grających w futbol stołowy nie było ani Vee, ani Elliota i Julesa.  
- Pewnie już poszli - stwierdził Patch. Po jego minie wywnioskowałam, że się świetnie bawi, choć to spojrzenie równie dobrze mogło oznaczać coś innego. - Może cię odwiozę?  
- Vee by mnie nie zostawiła - odparłam, stając na palcach, żeby się rozejrzeć w ścisoku. - Pewno grają w tenisa stołowego.  
Zaczęłam przepychać się przez tłum, a Patch szedł za mną, popijając lemoniadę z puszki, którą kupił po drodze. Mnie też chciał postawić, ale w obecnym stanie nie byłam pewna, czy jej nie zwymiotuję.  
Przy stole do futbolu nie znaleźliśmy ani Vee, ani Elliota  
- Może są przy automatach - zasugerował. Wiedziałam, że kpi sobie ze mnie. Poczułam, że lekko się czerwienię. No gdzie ta Vee? - po myślałam.  
Patch wyciągnął do mnie lemoniadę.  
- Na pewno nie masz ochoty?  
Spojrzałam na puszkę i na niego. Myśl, że gdy tylko przystawię wargi do miejsca, którego on dotykał ustami, zawrze we mnie krew, nie oznaczała jeszcze, że muszę odpowiadać.  
Pogrzebałam w torebce i wyjęłam komórkę. Ekranik telefonu był czarny i nie chciał się włączyć. Zdziwiłam się, że bateria już padła, bo naładowałam ją tuż przed wyjściem z domu. Kilka razy przycisnęłam guzik, ale nic się nie zmieniło.  
- Moja propozycja jest nadal aktualna.  
Stwierdziłam, że bezpieczniej będzie poprosić o podwiezienie obcego. Wciąż

byłam w szoku po tym, co zdarzyło się na Archaniele, i chociaż starałam się otrząsnąć, wspomnienie upadku ciągle wracało. Spadanie... i raptem koniec jazdy. Po prostu. W życiu nie doznałam czegoś tak upiornego. A co jeszcze straszniejsze - nie zauważył tego nikt oprócz mnie. Nawet Patch, który przecież siedział obok.

Walnęłam się dłonią w czoło.

- Przy aucie. Pewnie czeka na mnie na parkingu.

W ciągu pół godziny obeszliliśmy cały park rozrywki. Dodge neon zniknął. Nie mogłam uwierzyć, że Vee odjechała beze mnie. Czyżby zdarzył się wypadek? Nie dało się tego sprawdzić, bo komórka ciągle nie działała. Staralam się trzymać emocje na wodzy, ale gdyby Vee rzeczywiście mnie zostawiła, nie zdołałabym dłużej tłumić wzbierającej furii.

- Wyczerpały ci się opcje? - zapytał Patch. Zagryzłam usta, rozważając inne możliwości, ale ich nie miałam. Co gorsza, bałam się przyjąć jego propozycję. O ile zwykle emanował zagrożeniem, to dziś niestety odbierałam z jego strony grozę pomieszaną z tajemnicą.

W końcu westchnęłam, prosząc Boga, żeby ta decyzja nie okazała się pomyłką.

- Zawieszysz mnie prosto do domu - powiedziałam. Zabrzmiało to bardziej jak pytanie niż nakaz.

- Skoro tego chcesz.

Już miałam go spytać, czy nie zauważył na Archaniele czegoś dziwnego, ale powstrzymałam się ze strachu. A jeśli nie spadłam? A jeśli był to tylko wytwór mojej wyobraźni? A jeśli miałam zwidy? Najpierw ten facet w kominiarce, a teraz wypadek. Co do tego, że Patch przenika moje myśli, nie miałam cienia wątpliwości, ale reszta???

Minąwszy kilka miejsc parkingowych, podszedł do swe jego pojazdu: lśniącego czarnego motocykla. Uruchoił silnik i wskazał mi głową tylne siedzenie.

- Wskakuj.

- Niezły motor! - pochwaliłam.

Obłudnie, bo sprawiał wrażenie połyskliwej śmiertelnej pułapki. Dotąd jeszcze nigdy nie siedziałam na motorze i nie byłam pewna, czy chcę to teraz zmienić.

- Lubię, jak wiatr owiewa mi twarz - ciągnęłam, licząc, że brawura ukryje strach przed jazdą z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę i to bez żadnych zabezpieczeń.

Patch wręczył mi swój jedyny kask, czarny z tęczową osłoną.

Wzięłam go, wsiałam na motocykl i uzmysłowiłam sobie, jak niepewnie się czuję, mając pod sobą tylko wąskie siodło. Nasunęłam kask na głowę i zapięłam pod brodą.

- Ciężko się go prowadzi? - spytałam, co naprawdę znaczyło: „Nic mi się nie stanie?”.

- Nie - odpowiedział Patch na oba moje pytania. - Jesteś spięta, wyluzuj - dodał z

uśmiechem.

Gdy wyjeżdżał z parkingu, przeraziła mnie raptowna eksplozja przyspieszenia; chwilę przytrzymałam się jego koszuli, na tyle tylko, by zachować równowagę, ale zaraz objęłam go ramionami w pasie.

Kiedy skręcając na autostradę, dodał gazu, przywarłam do niego udami w nadziei, że nie wie o tym nikt poza mną.

Gdy dotarliśmy do domu, Patch zwolnił na spowitym mglą podjeździe, wyłączył silnik i zsiadł z motocykla. Zdjąwszy kask, ostrożnie położyłam go na siedzeniu przed sobą i otworzyłam usta, by powiedzieć coś w stylu: „Dzięki za podwiezienie, do zobaczenia w poniedziałek”.

Jednak słowa zamarły we mnie, bo... przebiegł podjazd i wszedł po schodach na werandę.

Nie miałam pojęcia, co chce zrobić. Odprowadzić mnie do drzwi? Mało prawdopodobne. A więc?

Weszłam za nim na werandę i zastałam go pod drzwiami. Zmieszana i coraz bardziej zaniepokojona, patrzyłam, jak wyjmuje z kieszeni znany mi pęk kluczy i wsuwa jeden z nich do zamka.

Zsunęłam z ramienia torebkę i rozpięłam schowek na klucze. Był pusty.

- Oddawaj klucze - zażądałam w przestrachu, że nie wiem, jak się znalazły w jego posiadaniu.

- Upuściłaś je w salonie, szukając komórki - odparł.

- Guzik mnie obchodzi, gdzie je upuściłam. Oddawaj! Patch podniósł ręce na znak, że jest niewinny, i odsunął się od drzwi. Wsparty o ścianę, obserwował, jak zbliżam się do zamka. Spróbowałam przekręcić klucz, ale nawet nie drgnął.

- Zablockowałeś go - powiedziałam, gmerając w zamku. Cofnęłam się o krok. - No proszę, próbuj, ciekawe, czy dasz radę.

Wziął klucz i przekręcił go z ostrym trzaskiem. Ujmując klamkę, uniósł brwi, jakby w pytaniu: „Mogę?”.

Przełknęłam ślinę, kryjąc nagły przypyływ fascynacji i za niepokojenia.

- Proszę. Nikogo nie ma. Jestem sama w domu.

- Do rana?

Natychmiast dotarło do mnie, że nie były to najrozsądniejsze słowa.

- Niedługo wróci Dorothea - skłamałam, bo przecież gosposia wyjechała.

Zbliżała się północ.

- Dorothea?

- Nasza gosposia. Jest stara... ale silna. Bardzo silna. Chciałam wśliznąć się do domu przed nim. Ale bezskutecznie.

- To straszne - stwierdził i wyjąwszy klucz z zamka, podał mi go.

- Umie porządnie wyczyścić ubikację w niecałą minutę. To niewątpliwie straszne.

- Z kluczem w ręku próbowałam go obejść, ale zasłonił sobą drzwi, napierając ramionami na framugę.

- Nie zaprosisz mnie? - spytał.

Zamrugalam oczami. Zaprosić go? Do domu? Gdy nikogo nie ma?

- Późno już - oznajmił, nie spuszczać ze mnie wzroku, w jego oczach rozbłyły przekorne iskierki. - Pewno jesteś. głodna.

- Nie. Tak. To znaczy tak, ale... Raptem znalazł się w środku.

Cofnęłam się trzy kroki. Patch domknął drzwi nogą.

- Lubisz kuchnię meksykańską? - zapytał. -Yyy...

Chciałabym wiedzieć, co robisz w moim domu? – zapytałam w myślach.

- Taco?

- Taco? - powtórzyłam. Rozbawiło go to.

- Pomidory, sałata i ser.

- Wiem, co to jest taco!

Zanim zdążyłam go powstrzymać, minął mnie. Na końcu holu skierował się w lewo. Do kuchni.

Podszedł do zlewu i odkręcając kurek, starannie umył ręce mydłem prawie aż po łokcie. Jak zadomowiony, najpierw zajrzał do spiżarni, potem do lodówki - i powyjmował z nich salsę, ser, pomidora i sałatę. Później pogmerał w szufladzie i wyciągnął nóż.

Na widok Patcha z nożem w ręku byłam bliska ataku paniki, gdy nagle coś zauważyłam. Postąpiwszy parę kroków naprzód, przez zmrużone oczy przejrzałam się w jednej z wiszących na stojaku patelni. Włosy! Moja głowa przypominała stertę amarantowych chwastów. Przytknęłam rękę do ust.

- To naturalnie rudy kolor? - Uśmiechnął się. Przebiłam go wzrokiem.

- Nie mam rudych włosów.

- Przykro mi, ale wiedz, że są rude. Nie byłyby czerwiejsze, nawet gdybym je podpalił.

-Są brązowe. - No dobra, może i miałam lekki, leciutki, leciutenieński brązoworudawy odcień, ale i tak byłam brunetką. - To od światła - powiedziałam.

- Tak, pewnie od żarówek. - W uśmiechu od ucha do ucha na twarzy Patcha pokazały się dołeczki.

- Zaraz wrócę - krzyknęłam, wybiegając z kuchni. Poszłam na górę i jakoś zdołałam upiąć włosy w koński ogon. Uporawszy się z tym, zebrałam myśli.

Niezbyt mi się podobało, że Patch swobodnie kręci się po domu, co gorsza, uzbrojony w nóż. Mama zabiłaby mnie, gdyby się dowiedziała, że wpuściłam go pod nieobecność Dorothei.

-Jak ci idzie? - zapytałam dwie minuty później, widząc, jak dziarsko krząta się po kuchni. Położyłam dłoń na brzuchu na znak, że coś mi dolega. - Mdli mnie - powiedziałam. - Chyba od tej jazdy na motorze.

Na chwilę przerwał krojenie i popatrzył na mnie.

- Prawie już skończyłem.

Zauważyłam, że zmienił nóż na większy - i ostrzejszy. Jakby zaglądając w moje

myśli, uniósł nóż i przyjrzał mu się. Ostrze błysnęło w świetle lampy. Ścisnęło mniew żołądku.

- Odlóż go - nakazałam cicho.

Patch spojrział na mnie, na nóż i znów na mnie. Po minucie położył go przed sobą.

- Noro, nie zrobię ci krzywdy.

- To... pocieszające - wydukałam, choć całkiem zaschło mi gardle.

Zakręcił nożem na blacie tak, że rękojeść wycelowali we mnie.

- Chodź tu. Nauczę cię przyrządzać taco.

Ani drgnęłam. Błysk w jego oczach przypomniał mi, że powinnam się go bać i... poczułam lęk. Ale równocześnie byłam nim urzeczona. Obcowanie z nim miało w sobie coś potwornie niepokojącego. W jego towarzystwie nie mogłam sobie ufać.

- Co powiesz na pewien... układ? - Z pochyloną głową i twarzą w półcieniu spojrział na mnie spod rzęs, komunikując, że jest godny zaufania. - Ty mi pomożesz robić taco, a ja w zamian odpowiem na kilka twoich pytań.

- Pytań?

- Chyba wiesz, o co mi chodzi.

Wiedziałam aż nadto dobrze. Uznał, że pozwoli mi na moment zajrzeć w swój prywatny świat. Świat, z którego potrafił przemawiać do moich myśli. Znów doskonale wiedział, co i kiedy ma powiedzieć.

Bez słowa zbliżyłam się do niego. Podsunął mi deskę do krojenia.

- Po pierwsze - poinstruował, stając za mną i kładąc dłonie na blacie tuż przy moich - wybierz pomidora. - Schylił głowę tak, że jego usta znalazły się tuż przy moim uchu. Ciepły oddech łaskotał mi skórę. - Świetnie. Teraz wybierz sobie nóż.

- Czy szef kuchni zawsze stoi tak blisko...? - zapytałam, niepewna, czy cieszyć się, czy lękać wewnętrznego rozedrgania, w które wprawiała mnie jego bliskość.

- Gdy zdradza sekrety kulinarne, to tak. Mocno ujmij nóż.

- Okej.

- Dobrze. - Odstępując do tyłu, przyjrzał mi się badawczo z każdej strony, by sprawdzić, czy robię coś nie tak. Na moment wytrącona z równowagi, spostrzegłam, że po kryjomu uśmiecha się z aprobatą. - Pichcenie to nic trudnego - oznajmił. - Rzecz wrodzona. Albo się to ma, albo nie. Jak chemia.

Jesteś gotowa na chemię?

Prześcisnęłam nóż przez pomidora; rozpadł się na dwie połówki, które zakotływały się lekko na desce.

- Ty mi powiedz: jestem gotowa na chemię?

Patch wydał niski nieodgadniony dźwięk i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Po kolacji powkładał talerze do zlewu.

- Ja zmywam, ty wycierasz.

Poszperał w szufladach kredensu obok zlewu, znalazł ścierkę do naczyń i rzucił mi ją figlarnie.



- Chętnie zadam ci te pytania - powiedziałam. - Zaczniemy od wieczoru w bibliotece. Śledziłeś mnie...

Urwałam. Patch opierał się leniwie o blat. Ciemne włosy wysunęły mu się spod czapeczki. Na ustach igrał uśmiech. Moje myśli przysły, rozwiały się i raptem zaświtał w głowie nowy pomysł - ot tak, po prostu.

Zaprzagnęłam go pocałować. Natychmiast.

Patch uniósł brwi.

-Co?

- Yyy, nic. Zupełnie nic. Ty zmywasz, ja wycieram. Naczyń było niewiele i uwinąwszy się z nimi bardzo szybko, znaleźliśmy się razem w ciasnej przestrzeni kolo zlewu. Patch podszedł do mnie, by wziąć ścierkę, i nasze ciała się dotknęły. Stanęliśmy w bezruchu, połączeni nagle jakaś krucha więzią. Cofnęłam się pierwsza.

- Strach cię obleciał? - mruknął Patch.

- Nie.

- Kłamczucha. Serce zabiło mocniej.

- Nie boję się ciebie.

- Ciekawe.

Palnęłam bez zastanowienia:

- Może się boję... - Przekląłam się, że w ogóle zaczęłam to zdanie. Co miałam mu teraz powiedzieć? Bo z pewnością nie to, że przeraża mnie wszystko, co się z nim wiąże. To tak, jakbym się zgodziła, żeby mnie dalej prowokował... Może boję się, yyy...

- Że mnie polubisz?

Z ulgą, że nie muszę dokończyć sama, odparłam automatycznie:

- Tak. - Zbyt późno dotarło do mnie, co wyznałam. - To znaczy: nie! Skądże! Nie to chciałam powiedzieć!

Patch zaśmiał się łagodnie.

- Szczerze mówiąc, w twoim towarzystwie czuję się trochę nieswojo.

-Ale?

Na wszelki wypadek chwyciłam się blatu.

- Ale równocześnie niepokojąco mnie pociągasz. -Uśmiechnął się. - Jesteś stanowczo za bardzo pewny siebie - oznajmiłam, próbując go odepchnąć. Schwycił moją rękę na swej piersi, szarpnięciem nasunął mi rękaw na dłoń. Równie szybko zrobił to samo z drugim rękawem. Złapał mnie za mankiety tak, że nie mogłam poruszyć rękami. W proteście otworzyłam usta.

Przysunął mnie do siebie tak blisko, że niemal stykaliśmy się ciałami. Nagle wylądowałam na blacie. Nasze twarze znalazły się na równej wysokości. Mrocznie, kusząco uśmiechnięty, utkwiał we mnie oczy. I wtedy zrozumiałam, że podświadomie czekam na tę chwilę już od kilku dni.

- Zdejmij czapkę - powiedziałam, nie mogąc się powstrzymać.

Zsunął ją na tył głowy.

Przesunęłam się na kraj blatu tak, że nogi zadyndały ponad jego pasem.

Wewnętrzny głos nakazywał mi przestać, ale czym prędzej wymiotłam go w najdalsze rejony mózgu.

Rozłożył ręce na blacie, tuż przy moich biodrach. Z głową przechyloną na bok przybliżył się do mnie. Obezwładnił mnie jego zapach - silna woń mokrej, czarnej ziemi.

Dwa razy mocno wciągnęłam powietrze. Nie. Nie powinnam w to brnąć. A już na pewno nie z Patchem. Był przerażający. Przyjemnie, ale też złowieszczo.

Upiornie złowieszczo.

- Idź już - wyszeptałam. - Masz stąd odejść.

- Tutaj? - Przywarł ustami do mojego barku. - Czy tu? -Przeniósł się na szyję.

Mój umysł nic był zdolny do wygenerowania choć jednej logicznej myśli. Wargi Patcha powędrowały nad brodę, lekko przysysając się do skóry...

- Nogi mi drętwieją - wyrzuciłam z siebie. Nie było to do końca kłamstwo. Czułam łaskotanie w całym ciele, łącznie z nogami.

- Znajdę na to radę. - Jego dłonie zamknęły się na moich biodrach.

Nagle zadzwoniła moja komórka. Zerwałam się i wydobyłam ją z kieszeni.

- Cześć, kochanie - przywitała się wesoło mama.

- Oddzwonię później, dobrze?

- Jasne. Co się dzieje? Wyłączyłam telefon.

- Powinieneś już iść - upomniałam Patcha. - W tej chwili Z powrotem nasunął

czapkę na twarz; widać było spod niej tylko usta, wygięte w figlarnym uśmiešku.

- Jesteś nieumalowana.

- Pewnie zapomniałam.

- Spij słodko.

- Okej, dobra. - Co powiedział?

- Co z jutrzejszą imprezą? - powtórzył.

- Pomyślę - zdołałam wybąkać.

Gdy wsuwał mi do kieszeni skrawek papieru, nogi objęła fala gorąca.

- Zapisałem ci adres. Będę czekał. Przyjdź sama.

Po chwili usłyszałam, jak zatraskuje za sobą frontowe drzwi. Na twarz wystąpiły mi rumieńce. Za blisko - pomyślałam. - W ogniu nie ma nic złego... o ile się

człowiek do niego za bardzo nie przybliży. Warto o tym pamiętać.

Z trudem łapiąc oddech, oparłam się o kredens.

## ROZDZIAŁ 10

Ze snu wyrwał mnie dzwonek telefonu. Na wpół uśpiona, zakryłam głowę

poduszką, żeby stłumić hałas. Ale telefon dzwonił. Dzwonił nieprzerwanie.

Wreszcie włączyła się poczta głosowa. Po pięciu sekundach znów rozległ się

dzwonek.

Macając ręką koło łóżka, w końcu znalazłam dzinsy i wygrzebałam z nich komórkę.

-Tak? - powiedziałam z szerokim ziewnięciem, nie otwierając oczu.

W słuchawce ktoś dyszał z furją.

- Co się z tobą dzieje? Miałaś tylko przynieść watę cukrową!!! powiedz mi, gdzie jesteś, to przyjadę i uduszę cię gołymi rękami!

Kilka razy przesunęłam nadgarstkiem po czole.

-Myślałam, że cię ktoś porwał! - wrzeszczała Vee. - Myślałam, że cię uprowadzili! Myślałam, że zostałam zamordowana!

Po ciemku usiłowałam znaleźć zegar. Przypadkiem przewróciłam obrazek na nocnej szafce, a inne runęły za nim jak kostki domina.

- Miałam pewne... opóźnienie - odpowiedziałam. - I kiedy wróciłam do salonu, już was nie było.

- „Opóźnienie”? Co to w ogóle za wymówka?!

W mroku odzyskałam wzrok: czerwone cyfry na zegarze wskazywały parę minut po drugiej nad ranem.

- Godzinę jeździłam wokół parku - oznajmiła Vee. A Elliot łąził i pokazywał ludziom jedyne twoje zdjęcie, które mam w komórce. Dzwoniłam chyba z milion razy Czeka! Jesteś w domu? Jak wróciłaś?

Roztarłam kąciki oczu.

- Z Patchem.

- Z tym bandziorem?

- A miałam inny wybór? - odparłam lakonicznie. Odjechałaś beze mnie.

- Wydajesz się zdenerwowana. I to bardzo. Nie, nie. Jakaś poruszona...

wzburzona... podniecona. - Fizycznie poczułam, jak rozszerzają się jej oczy. -

Pocałował cię, tak?

Zero odpowiedzi.

- No pewnie! Wiedziała! Widziałam, jak na ciebie patrzy. Wiedziała, że tak będzie. Wyczułam pismo nosem.

Nie miałam ochoty o tym myśleć.

- Jak się całowaliście? - naciskała Vee. - Na brzask winkę? Na śliwkę? A może na lu-cer-nę?

- Co?!

- No musnął cię wargami, mieliście otwarte usta czy z języczkiem? Zresztą nie musisz opowiadać. Patch jest z wielu, co od razu przechodzą do rzeczy. Na pewno było z językiem. Mogę się założyć.

Schowałam twarz w dłoniach. Patch niewątpliwie stwierdził, że nie mam grama samokontroli. Rozkleiłam się w jego ramionach. Stopniałam jak masło. A wypraszając go z domu, na sto procent wydałam coś pomiędzy westchnieniem rozkoszy a ekstatycznym jękiem.

To by wyjaśniało jego arogancki uśmiech.

- Pogadamy o tym później, dobra? - zapytałam, szczypiąc się w grzbiet nosa.
- Nie ma mowy. Westchnęłam.
- Jestem wykończona.
- Nie wierzę, że chcesz mnie dalej trzymać w niepewności.
- Liczę, że zapomnisz.
- W życiu!

By ubiec zbliżającą się migrenę, próbowałam zwizualizować sobie rozluźnienie mięśni karku.

- A co z zakupami?
- Przyjadę po ciebie o czwartej.
- Myślałam, że umówiliśmy się na piątą.
- Sytuacja się zmieniła. Będę jeszcze wcześniej, jak tylko da mi się wymknąć z domu. Mama przechodzi załamanie nerwowe, na które lekarstwem jest niby przebywanie ze mną. Trzymaj za mnie kciuki.

Odłożyłam komórkę i zakopałam się w pościeli. Przywołałam w pamięci nieprzyzwoity uśmiech i błyszczące czarne oczy Patcha. Po kilku minutach rzucając się na łóżku zrezygnowałam z szukania wygodnej pozycji. Prawdę mówiąc, wszelka myśl o Patchu wykluczała komfort.

Raz, kiedy byłam mała, wnuczek Dorothei Lionel rozbił u nas w kuchni szklanekę. Starannie pozamiatął szkło, a jeden kawałek zostawił i dał mi do polizania. Pomyślałam, że zakochanie się w Patchu trochę przypomina lizanie szklanego odłamka. Wtedy przecież tak samo wiedziałam, że to głupota. Wiedziałam, że się zranię. Mimo upływu lat jedno się we mnie nie zmieniło: wciąż uwielbiałam ryzyko.

Wyprostowałam się na łóżku i sięgnęłam po komórkę. Włączyłam lampkę nocną. Bateria telefonu była wyładowana.

Poczułam złowróżbny dreszcz na krzyżu. Telefon nie powinien działać. Więc jakim cudem mama i Vee się do mnie dodzwoniły?

Deszcz tłukł się o kolorowe markizy sklepów wzdłuż mola i zalewał chodnik. Zapłonęły ustawione naprzemiennie po obu stronach ulicy „antyczne” lampy gazowe. Objając się parasolkami, Vee i ja wbiegłyśmy pod różowo-białą markizę Victoria's Secret. Zgodnie otrząsnąwszy parasolki, oparłyśmy je o ścianę przy wejściu.

Gnane potwornym grzmotem, wleciałyśmy do środka. Zatupałam parę razy, wzdrygając się z zimna. Na podeście wewnątrz sklepu paliło się kilka lampek zapachowych, otaczając nas egzotyczną, zmysłową wonią. W naszą stronę ruszyła kobieta w czarnych spodniach i obcisłej czarnej koszulce. Wokół szyi miała owinięty centymetr krawiecki i chciała po niego sięgnąć.

- Może was zmierzę, dziewczynki, gratis...
- Niech pani odłoży tę cholerną taśmę - nakazała Vee. Już znam swój rozmiar. Nie trzeba mi go przypominać.

Rzuciłam kobiecie przepaszający uśmiech, równocześnie podążając za Vee, która poszła w głąb sklepu, do koszy z przeceną.

- Miseczka D to żaden wstyd - pocieszyłam ją. Podniosłam stanik z błękitnej satyny, by sprawdzić, ile kosztuje.

- Kto tu mówi o wstydzie? - odparła Vee. - Wcale się nic wstydzę. Niby dlaczego miałabym się wstydzić? Co druga szesnastolatka z biustem tak dużym jak mój jest napompowana silikonem i wszyscy o tym wiedzą. Więc czego ja miałabym się wstydzić? - spytała, grzebiąc w koszu. - Myślisz, że mają jakiś stanik, który by spłaszczyl moje maleństwa?

- Jest coś takiego: nazywa się biustonosz sportowy, ale ma paskudne działanie uboczne: piersi zlewają się w jedną - odpowiedziałam, wyławiając oczami ze sterty koronkowy czarny stanik.

Nie powinnam interesować się bielizną. Od razu zaczęłam myśleć o podniecających sprawach. Jak choćby całowanie. Albo Patch.

Przymknawszy oczy, odegrałam w wyobraźni nasz wspólny wieczór. Dotyk jego dłoni na moim biodrze, usta smakujące moją szyję...

Vee wyrwała mnie z zamyślenia, rzucając we mnie turkusowymi majtkami z lamparcim nadrukiem.

- Byłoby ci w nich do twarzy - oznajmiła. - Gdybyś tylko miała taki tłusty tyłek jak ja.

Pogięło mnie czy co? O mały włos nie pocałowałam Patcha. Tego samego Patcha, który może w tej chwili przenikał moje myśli. Patcha, który ocalił mnie przed śmiertelnym Upadkiem z Archaniola - bo co do tego nie miałam cienia Wątpliwości, choć żadną miarą nie umiałabym go logicznie wytłumaczyć. Ciekawe, czy jakimś cudem zatrzymał czas z złapał mnie, gdy spadałam. A skoro jest zdolny przemawiać do moich myśli, to kto wie, może potrafi też inne rzeczy. A może - pomyślałam z lękiem - przestaję już sobie ufać...

Wciąż miałam przy sobie kartkę, którą Patch wsunął mi do kieszeni, ale absolutnie nie wybierałam się na dzisiejszą imprezę. W skrytości ducha byłam zachwycona, że się wzajemnie pociągamy, ale w ogólnym rozrachunku przeważały tajemnica i groza. Postanowiłam czym prędzej wypłukać Patcha z organizmu - tym razem z całą stanowczością. Jak w diecie oczyszczającej. Tyle że jedyna dieta, jaką dotąd zastosowałam, odniosła odwrotny skutek. Parę lat temu chciałam przeżyć miesiąc bez grama czekolady. Niestety, po dwóch tygodniach złamałam się i pożarłam więcej czekolady, niż normalnie zjadłabym w trzy miesiące.

Oby tylko moje unikanie Patcha nie skończyło się tak jak dieta bezczekoladowa...

- Co robisz? - zapytałam, skupiając się na Vee.

- A jak ci się wydaje? Przeklejam ceny z przecenionych staników na najnowsze. W ten sposób kupię seksowne za cenę tandety.

- Nie rób tego. Laska zeskanuje kody kreskowe przy płaceniu. Od razu się

zorientuje, co wykombinowałaś.

- Kody kreskowe? Nie skanują kodów - odparła Vee bez przekonania.

- Skanują. Przysięgam. Słowo daję - uznałam, że lepiej skłamać, niż patrzeć, jak ją aresztują.

- No, ale fajnie by było...

- Koniecznie weź to - zachęciłam, rzucając w nią jedwabnymi majtkami.

Obejrzała je. Były wyszywane w czerwone krabiki.

-W życiu nie widziałam większego paskudztwa! Ale za to podoba mi się ten czarny stanik, który trzymasz. Powinnaś go kupić. Zapłać, a ja sobie coś jeszcze pooglądam.

Zapłaciłam i - z myślą, że łatwiej mi będzie zapomnieć o Patchu, kiedy popatrzę na coś przyzwoitszego - powędrowałam do półek z tonikami. Wąchając butelkę Sennych Aniołów, doznałam znajomego już uczucia... Tak jakby ktoś wrzucił mi za bluzkę gałkę lodów. Identyczny dreszcz przenikał mnie zawsze, gdy w pobliżu pojawiał się Patch.

Vee i ja byłyśmy jedynymi klientkami w sklepie, ale przez szybę wystawową spostrzegłam kryjącą się w cieniu markizy po drugiej stronie ulicy zakapturzoną postać. Pełna niepokoju, stałam nieruchomo przez całą minutę. W końcu wzięłam się w garść i zaczęłam szukać Vee.

- Zbierajmy się - szepnęłam. Gmerała w szlafrokach na stojaku.

- Kurczę, zobacz, flanelowa piżama za pół ceny. Przydałoby mi się coś takiego.

Jednym okiem cały czas spoglądałam przez wystawę.

- Chyba ktoś mnie śledzi. Vee uniosła głowę.

- Patch?

- Nie. Spójrz tam, po drugiej stronie. Zmrużyła oczy.

- Nikogo nie widzę.

Ja też już nie widziałam. Pole widzenia zakłóciło mi przejeżdżające auto.

- Pewnie wszedł do sklepu.

- Skąd wiesz, że cię śledzi?

- Czuję.

-A wygląda znajomo? Na przykład... skrzyżowanie Fizi Pończoszanki i Złej Czarownicy z Zachodu niechybnie dałoby nam Marcie Millar.

- To nie Marcie - odparłam, zapatrzona w tamtą stronę. -Jak wczoraj wychodziłam z salonu, żeby kupić watę, zauważyłam, że ktoś mnie obserwuje. I teraz to chyba ta sama osoba.

- Serio? I mówisz mi dopiero teraz? Kto to?

Nie miałam pojęcia. I to przerażało mnie najbardziej.

- Czy w sklepie jest tylne wyjście? - zwróciłam się do ekspedientki.

-Tylko dla pracowników - odparła, nie przerywając porządkowania szuflady.

- Mężczyzna czy kobieta? - chciała się dowiedzieć Vee.

- Nie wiem.

- Jak myślisz, czemu cię śledzi? Czego chce?
- Chce mnie nastraszyć - zabrzmiało to dość rozsądnie.
- A po co miałyby cię straszyć?

Na to pytanie również nie znałam odpowiedzi.

- Musimy zrobić unik - poinformowałam Vee.
- Też sobie tak pomyślałam - odrzekła. - A jak wiadomo jestem w tym rewelacyjna. Daj mi swoją kurtkę.

Spojrzałam na nią.

- Nie ma mowy. Nic o tym kimś nie wiemy. Nie pozwolę, żebyś wyszła przebrana za mnie. A jeżeli ma broń?

- Twoja wyobraźnia czasami mnie przeraża - oświadczyła Vee.

Trzeba przyznać, że argument o uzbrojeniu był mocno naciągnięty. Ale wzięwszy pod uwagę upiorne rzeczy, które mi się ostatnio przytrafiały, ani trochę nie miałam sobie za złe wiecznego napięcia i nadmiernej podejrzliwości.

- Wyjdę pierwsza - powiedziała Vee. - Jak zaczniesz mnie śledzić, pójdiesz za nim. Skieruję się wzgórzem do cmentarza. Weźmiemy go w dwa ognie i w końcu czegoś się dowiemy.

Sześćdziesiąt sekund później Vee wyszła ze sklepu w mojej dżinsowej kurtce.

Wzięła też moją czerwoną parasolkę, zasłaniając sobie głowę. Poza tym, że była o kilka centymetrów za wysoka i o parę kilo zbyt bujna, ale spokojnie można było ją pomylić ze mną. Przykucnąwszy za szlafrokami, patrzyłam, jak zakapturzona postać wychodzi ze sklepu po drugiej stronie ulicy i rusza w ślad za Vee. Pod kradłam się do wystawy. Wbrew androgenicznemu w zamierzeniu strojowi - wyciągniętej bluzie i dżinsom tajemnicza sylwetka miała zdecydowanie kobiecy chód.

Gdy Vee i dziewczyna skręciły za rogiem i zniknęły, odwróciłam się do drzwi. Na zewnątrz deszcz zdążył już przeje w ulewę.

Rozłożyłam parasolkę Vee i przyspieszyłam kroku, kryjąc się pod markizami. Nogawki dżinsów zmokły mi od dołu. Pożałowałam, że nie mam na nogach solidniejszych butów.

Za moimi plecami molo wcinąło się daleko w betonowoszary ocean. Widoczny przede mną ciąg sklepów kończył się u stóp stromego, obrosniętego trawą wzgórza. Na jego szczycie majaczyło w strugach wody wysokie żeliwne ogrodzenie miejscowego cmentarza.

Otworzyłam drzwiczki dodge'a, odkręciłam nadmuch do końca i nastawiłam wycieraczki na pełną moc. Ruszyłam z pobocza i skręciłam w lewo, dodając gazu na krętej drodze pod górę. Zza ściany deszczu wyłoniły się cmentarne drzewa, których gałęzie raz po raz ożywały zwodniczo w szalonym pędzie wycieraczek. Białe marmurowe nagrobki zdawały się napierać na auto wśród ciemności - a szare jak gdyby roztopiały się powietrzu...

Raptem na przednią szybę wpadło coś czerwonego, minęło w nią na linii mojego

wzroku, po czym się odbiło, przelatując nad autem. Przyhamowałam tak gwałtownie, że dodge'a aż zarzuciło na skraj drogi.

Otworzyłam drzwiczki i wysiadłam. Podbiegłam do tyłu samochodu, by sprawdzić, co w niego uderzyło.

Zbita z tropu, przez chwilę trawiłam w myśli to, co zobaczyłam. Wśród chwastów leżała moja czerwona parasolka. Jej połamana płachta zwisała z jednej strony, jakby ktoś grzmotnął nią z całej siły w coś dużo większego i mocniejszego.

Wśród szumu zacinającego deszczu usłyszałam zdławione łkanie.

- Vee? - zawołałam.

Przebiegłam drogę, równocześnie osłaniając oczy przed deszczem i ogarniając wzrokiem krajobraz. Kilkanaście metrów przede mną ktoś leżał zwinięty w trawie. Przyspieszyłam kroku.

- Vee! - padłam przy niej na kolana. Leżała na boku z nogami podkulonymi pod klatką piersiową. Jęczała.

- Co się stało? Nic ci nie jest? Dasz radę się poruszać? Odrzucając głowę do tyłu, panicznie zamrugałam w deszczu. Myśl! - nakazałam sobie. Komórka. W samochodzie. Wystukać dziewięćset jednaście.

- Sprowadzę pomoc - chciałam dodać Vee otuchy. Jęknęła i kurczowo ścisnęła mnie za rękę. Pochyliłam się i mocną ją objęłam. W oczach wezbrały łzy.

- Co się stało? To ten, co cię śledził? To ta osoba cię skrzywdziła? Co ci zrobiła, powiedz?

Vee od mruknęła coś niezrozumiale. Zabrzmiało to trochę jak „torebka”. No jasne, zgubiła torebkę.

- Wszystko będzie dobrze - starałam się zachować spokojny ton głosu.

Ogarnięta mrocznym przecuciem, próbowałam je w sobie ujarzmić. Byłam pewna, że to sprawka osoby, która obserwowała mnie w Delphic i śledziła przy dzisiejszych zakupach, i nie mogłam sobie wybaczyć, że tak naraziłam Vee.

Biegiem wróciłam do auta i wystukałam w komórce dziewięćset jednaście.

Z tłumioną histerią powiedziałam:

- Przyślijcie ambulans. Moja przyjaciółka została napadnięta i okradziona.

## ROZDZIAŁ 11

Poniedziałek mijał mi w oszołomieniu. Chodziłam z jednej lekcji na drugą, czekając na ostatni w tym dniu dzwonek. Rano zatelefonowałam do szpitala i dowiedziałam się, że kierują Vee na chirurgię. Podczas napaści złamano jej lewe ramię, a ponieważ kości nie można było po prostu nastawić, wymagała operacji. Chciałam się z nią zobaczyć, ale było to możliwe dopiero późnym popołudniem, gdy narkoza przestanie działać i przeniosą ją do pokoju. Koniecznie musiałam poznać jej wersję zdarzenia - nim zapomni albo ubarwi szczegóły. Wszystko, co zapamiętała, mogło się okazać kluczowe dla wykrycia złoczyńcy.

Kiedy godziny wlokły się niemiłosiernie, pomału przeniosłam myśli z Vee na



dziewczynę zobaczoną przed Victoria's Secret. Kim była? Czego chciała? Nawet jeśli fakt, że Vee napadnięto kilka minut po tym, jak zobaczyłam, że dziewczyna rusza w ślad za nią, był niejasnym zbiegiem okoliczności - instynkt podpowiadał mi co innego. Że też nie przyjrzałam się jej uważnie! Obszerna kurtka z kapturem i džinsy w połączeniu z deszczem zakamufłowały ją wprost idealnie. I chociaż mogła to być Marcie Millai, to w głębi duszy czułam, że ona jednak nie pasuje do całej sytuacji.

Przed ostatnią lekcją wzięłam z szafki podręcznik do biologii. Krzesło Patcha było puste. Zwykle pojawiał się w ostatniej chwili, równo z dzwonkiem - teraz jednak dzwonek wybrzmiał i trener zajął miejsce pod tablicą, zaczynając wykład o równowadze.

Zadumałam się nad nieobecnością Patcha. Cichy głosik w głowie podsunął mi myśl, że może to być związane z napaścią na Vee. Dziwnym zrządzeniem nie przyszedł do szkoły na drugi dzień po wypadku. No i nie mogłam zapomnieć lodowatego dreszczu, który poczułam w Victoria's Secret, gdy sobie uzmysłowiłam, że jestem śledzona. Na ogół doznawałam tego, gdy obok mnie pojawiał się Patch.

Szybko jednak głos rozsądku wykluczył jego udział w sprawie. Bo może chłopak się przeziębził. Albo w drodze do szkoły skończyła mu się benzyna i utknął Bóg wie jak daleko. A może w Bo's Arcade tego popołudnia grali w bilard o wysoką stawkę i stwierdził, że skorzysta na tym bardziej niż na lekcji o zawiłościach ludzkiego ciała.

Po skończonych zajęciach trener zatrzymał mnie w drodze do drzwi.

- Zaczekaj chwilę, Noro.

Odwrociłam się i podciągnęłam plecak na ramieniu.

- Proszę?

Wręczył mi złożoną kartkę.

- Pani Greene wpadła do mnie przed lekcją i poprosiła, żebym ci to przekazał.

Wzięłam kartkę.

- Pani Greene? - spytałam, bo nikt o tym nazwisku mnie nie uczył.

- Nowy psycholog szkolny. Właśnie zastąpiła doktora Hendricksona.

Rozłożyłam papier i przeczytałam skreślone na nim słowa:

Droga Noro,

przejmuję po doktorze Hendricksonie obowiązki twojego szkolnego psychologa.

Zauważyłam, że opuściłaś ostatnie dwie sesje u niego. Proszę, wstąp do mnie zaraz, żebyśmy się zapoznały. O zmianie powiadomiłam też listownie Twoją Mamę.

Serdecznie pozdrawiam, D. Greene

- Dziękuję - powiedziałam do trenera, składając list kilka razy, żeby zmieścił się w kieszeni.

Na korytarzu włączyłam się w przepływający tłum. Nie mogłam dłużej unikać

spotkań z psychologiem. Minawszy kolejne sale, stanęłam przed zamkniętymi drzwiami gabinetu doktora Hendricksona. Oczywiście była już na nich nowa tabliczka. Na tle bezbarwnych drzwi z drewna dębowego połyskiwał w wypolerowanym mosiądzu napis:

D. GREENE, PSYCHOLOG SZKOLNY

Zapukałam i po chwili drzwi otworzyły się od środka. Pani Greene miała nieskazitelnie bladą skórę, oczy niebieskie jak morze, pełne usta i proste jasne włosy do pasa, z przedziałkiem nad owalną twarzą. Na czubku jej nosa spoczywały turkusowe okulary typu „kocie oczy”. Jej strój do pracy składał się z szarej ołówkowej spódnicy i różowej jedwabnej bluzki. Miała wiotką, ale kobiecą figurę. Mogła być najwyżej o pięć lat starsza ode mnie.

- Nora Grey, prawda? Wyglądasz tak samo jak na zdjęciu w kartotece - powiedziała, mocno ściskając moją rękę. Jej głos zabrzmiał szorstko, ale nie niegrzecznie. Raczej zawodowo.

Cofając się lekko, gestem zaprosiła mnie do środka.

- Napijesz się soku, wody? - zapytała.

- Co się stało z doktorem Hendricksonem?

- Przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Już jakiś czas temu upatrzyłam sobie tę posesję i teraz skorzystałam z okazji. Dotąd pracowałam w stanie Floryda, ale dorastałam w Portland i moi rodzice nadal tu mieszkają. Przyjemnie znowu być blisko nich.

Obejrzałam niewielki gabinet. Zmienił się drastycznie, odkąd byłam w nim ostatnio. Półki od ściany do ścian wypełniały teraz naukowe, ale dość typowo wyglądającej książki w twardych okładkach, wszystkie oprawione w neutralne kolory ze złotym liternictwem. Doktor Hendrickson wystawiał na nich swoje rodzinne zdjęcia, a pani Greene najwyraźniej wołała zachować obrazki z życia prywatnego tylko dla siebie. Przy oknie wisiła ta sama paprotka, która pod opieką doktora była raczej brunatna niż zielona. Pani Greene przywróciła jej wigor w ciągu za ledwie paru dni. Naprzeciw biurka stało wyściełane różowym brokatem krzesło, a w kącie - kilka pojemników na kółkach.

- Zaczęłam pracę w piątek - wyjaśniła, widząc, że za trzymałam wzrok na pojemnikach. - Jeszcze się rozpakowuję. Usiądź.

Zsunęłam plecak z ramienia i usiadłam na brokatowym krześle. Pokój nie miał żadnego rysu osobowości pani Greene. Na biurku leżał - ani zbyt porządnym, ani bezładnym - stos, teczek i stał biały kubek, chyba z wrzątkiem. W powietrzu nie czuło się śladu perfum czy odświeżacza powietrza. Monitor komputera lśnił czernią.

Pani Greene przykucnęła przed stojącą za biurkiem szafką z kartoteką, wyjęła nową szarą teczkę i czarnym flamastrem napisała na etykiecie moje nazwisko. Położyła teczkę na biurku obok mojej starej kartoteki, poplamionej kawą przez doktora Hendricksona.

- Cały weekend wertowałam kartoteki doktora - powiedziała. - Między nami mówiąc, jego charakter pisma przyprawia mnie o migrenę, więc wszystko przepisuję. Dziwne, że do notatek nie używał komputera. Kto w dzisiejszych czasach pisze ręcznie?

Usadowiła się na obrotowym krześle, założyła nogę na nogę i uprzejmie się do mnie uśmiechnęła.

- To co? Może mi trochę opowiesz o swoich sesjach z doktorem Hendricksonem? Niewiele odcyfrowałam z tego, co zapisał. Omawialiście twój stosunek do nowego zajęcia mamy, prawda?

- Nie jest znów takie nowe. Mama pracuje od roku.

- Przedtem zajmowała się domem, tak? A po śmierci taty zatrudniła się na pełny etat. - Pani Greene zerknęła na arkusz papieru w mojej kartotece. - Pracuje w spółce akcyjnej, tak? Koordynuje sprzedaż posiadłości na całym wybrzeżu. - Spojrzała na mnie znad okularów. - Na pewno więc spędza mnóstwo czasu poza domem.

- Chciałyśmy zostać w domu na wsi - odparłam, przyjmując lekko defensywny ton. - Gdyby zatrudniła się na miejscu, nie byłoby nas stać na spłacanie hipoteki. Mimo że niezbyt przepadałam za spotkaniami z doktorem Hendricksonem, to nagle poczułam się urażona, że przeszedł na emeryturę i zostawił mnie pani Greene. Powoli zaczynała mnie drażnić swoją drobiazgowością. Poczułam, że ma ochotę wsadzić nos w najmroczniejsze zakątki mojego życia.

- No tak, ale pewnie doskwiera ci w domu samotność.

- Mamą gosposię, która zostaje ze mną codziennie do dziewiątej, dziesiątej wieczorem.

- Gosposia jednak nie zastąpi ci matki. Popatrzyłam na drzwi z myślą, że powinnam być dyskretniejsza.

- Masz przyjaciółkę od serca? Chłopaka? Osobę, z którą możesz porozmawiać, kiedy gosposia... nie do końca czai. Zamaczała torebkę herbaty w kubku i unosząc go, upiła łyk.

- Mam przyjaciółkę od serca - postanowiłam mówić jak najoszczędniej. Im mniej powiem, tym sesja będzie krótsza. A im krótsza sesja, tym szybciej odwiedzę Vee.

Pani Greene uniosła brwi.

- A chłopaka?

- Nie mam.

- Jesteś atrakcyjna. Z pewnością wzbudzasz zainteresowanie płci przeciwnej.

- Proszę posłuchać - zaczęłam najspokojniej jak umiałam. - Jestem bardzo wdzięczna, że chce mi pani pomóc, ale identyczną rozmowę przeprowadziłam już z doktorem Hendricksonem rok temu, gdy zginął tato. Odgrzewanie jej nic mi nie da. To tak, jakbym cofała się w czasie, aby przebrnąć przez to wszystko na nowo. Owszem, przeżyłam tragedię i koszmar i nadal codziennie próbuję się z

tym uporać, ale tak naprawdę chciałabym wreszcie pójść do przodu.

Ścienny zegar między nami odliczał kolejne sekundy

- Taaak - odezwała się w końcu pani Greene z przyklejonym uśmiechem. -

Ogromnie mi się przyda znajomość twojej perspektywy, Noro. Zresztą od początku dążyłam do tego, by zrozumieć twój punkt widzenia. Twoje odczucia odnotuję w kartotece. Chciałabyś jeszcze o czymś porozmawiać?

- Nie. - Uśmiechnęłam się dla potwierdzenia, że sobie świetnie radzę.

Przerzuciła kilka stron w mojej kartotece. Nie miałam pojęcia, jakie obserwacje uwiecznił tam doktor Hendrickson - i nie chciało mi się czekać na ich ujawnienie.

Podnosząc plecak z podłogi, przesunęłam się na krawędź krzesła.

- Nie żebym panią popędzała, ale o czwartej muszę być w pewnym miejscu.

- Ach tak?

Nie miałam zamiaru wtajemniczać jej w napaść na Vee.

- Muszę czegoś poszukać w bibliotece.

- Z którego przedmiotu? Powiedziała pierwsze, co mi się nasunęło:

- Z biologii.

- A skoro mowa o przedmiotach, jak ci idzie? Masz jakieś problemy?

- Nie.

Znów odwróciła kilka kartek.

- Znakomite stopnie - zauważyła. - Jak widzę, pomagasz w biologii koledze z ławki, Patchowi Cipriano. Popatrzyła na mnie, licząc, że to potwierdzę.

Zdziwiłam się, że pomoc w nauce jest tak ważna, by trzeba ją było wpisywać do kartoteki szkolnego psychologa.

- Jeszcze nie znaleźliśmy czasu, żeby się pouczyć. Trudno nam pogodzić rozkład zajęć. - Wzruszyłam ramionami na znak, że nic na to nie poradzę.

Postukała moimi aktami w biurko, by ułożyć luźne kartki w porządną stosik, po czym wsunęła je do środka nowej, opisanej ręcznie kartoteki.

- Lojalnie ostrzegam cię, że poproszę pana McConau-ghy'ego o ustalenie konkretnych godzin waszej nauki. Powinniście spotykać się w szkole, pod bezpośrednim nadzorem któregoś z nauczycieli albo wykładowców. Wolałabym, żebyś nie uczyła Patcha poza terenem szkoły. Zależy mi zwłaszcza na tym, abyście nie spotykali się sami.

Dreszcz przebiegł mi po ciele.

- Dlaczego? O co chodzi?

- Nie mogę o tym rozmawiać.

Po chwili namysłu stwierdziłam, że nie chce, bym spotykała się z Patchem sama, bo jest niebezpieczny. „Moja przeszłość mogłaby cię przerazić” - powiedział na platformie Archaniola.

- Dziękuję, że poświęciłaś mi czas. Nie będę cię dłużej zatrzymywać - powiedziała pani Greene.

Podeszła do drzwi i uchyliła je przede mną smukłym biodrem. Uśmiechnęła się

na pożegnanie. Kompletnie bez wyrazu.

Po wyjściu z gabinetu pani Greene zadzwoniłam do szpitala. Vee była już po operacji, ale na razie została w pokoju wybudzeń i można ją było odwiedzić dopiero po siódmej. Zerknęłam na zegarek telefonu. Jeszcze trzy godziny. Odszukałam samochód na parkingu dla uczniów i padłam na siedzenie, w nadziei że popołudnie spędzone na odrabianiu lekcji w bibliotece skróci mi czas czekania.

Siedziałam i siedziałam w bibliotece, gdy nagle dotarło do mnie, że zapada zmierzch. Żołądek zaczął mi burczeć tak głośno, że powędrowałam myślami w stronę automatu tuż przy wejściu.

Ostatnie zadanie mogłam odłożyć na później, ale musiałam zrobić jeszcze coś, co wymagało skorzystania z zasobów biblioteki. W domu był tylko wiekowy IBM podłączony do internetu modemem telefonicznym, jak zwykle więc by oszczędzić sobie niepotrzebnych wrzasków i wrywania włosów z głowy, postanowiłam skorzystać z tutejszej sali komputerowej. Moja recenzja Otella miała znaleźć się na biurku redaktora naczelnego e-zinu przed dziewiątą i przyrzekłam sobie, że zjem coś, gdy tylko ją skończę.

Spakowałam rzeczy i poszłam do windy. W środku nacisnęłam guzik, aby zamknąć drzwi, nie od razu wybierając piętro. Wyciągnęłam z plecaka komórkę i znowu zadzwoniłam do szpitala.

- Dobry wieczór - powiedziałam do pielęgniarki, która odebrała. - Moja przyjaciółka była dziś operowana i kiedy telefonowałam wcześniej, powiedziano mi, że wieczorem przewiozą ją z bloku operacyjnego. Nazywa się Vee Sky. Po chwili ciszy w słuchawce rozległo się stukanie w klawiaturę.

- Wygląda na to, że w ciągu godziny przeniosą ją do pojedynczej sali.

- Do której można odwiedzać pacjentów?

- Do ósmej.

- Dziękuję - rozłączyłam się i nacisnęłam guzik trzeciego piętra.

Na trzecim piętrze skierowałam się do zbiorów bibliotecznych, licząc, że lektura kilku recenzji w miejscowej gazecie przyniesie mi natchnienie.

- Przepraszam - powiedziałam do siedzącej za biurkiem bibliotekarki. - Potrzebne mi są numery „Portland Press Herald” z ubiegłego roku. Zwłaszcza z przewodnikiem teatralnym.

- Nie przechowujemy w zbiorach tak świeżych publikacji - odparła. - Ale spróbuj zaglądnąć do internetu, bo wydaje mi się, że „Portland Press Herald” udostępnia archiwum na swojej stronie. Przejdź do końca korytarza i po lewej znajdziesz salę mediów.

W sali mediów zasiadłam przed jednym z komputerów. Już miałam się wziąć do zadania, gdy przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Zdziwiłam się, czemu nie wpadłam na to wcześniej. Upewniwszy się, że nikt nie zagląda mi przez ramię, wpisałam w Google „Patch Cipriano”. Liczyłam, że znajdę jakiś artykuł, który

rzuci światło na jego przeszłość. A może nawet jego blog.

Skrzywiłam się na wyniki przeszukiwania. Nic. Nie było go ani w Facebooku, ani w MySpace. Bloga też nie znalazłam. Tak jakby w ogóle nie istniał.

- Coś ty za jeden, Patch? - mruknęłam. - Kim naprawdę jesteś?

Pół godziny później - po przeczytaniu kilku recenzji Otella - oczy zaczęły mi wychodzić z orbit. Rozszerzyłam zakres poszukiwań online o wszystkie dzienniki wydawane w Maine. Wskoczył link do prywatnej szkoły w Kinghorn. Uplętnęło parę sekund, nim skojarzyłam znajomą nazwę. Elliot przeniósł się do nas z Kinghorn, więc pomyślałam, że co mi szkodzi sprawdzić. Bo jeśli szkoła jest tak elitarna, jak powiedział, to przecież musi mieć przyzwoitą gazetę.

Kliknęłam link i - przeglądając stronę archiwum - na chybił trafił wybrałam 21 marca zeszłego roku. Po chwili ukazał się nagłówek:

#### PRZESŁUCHANIE UCZNIĄ W ZWIĄZKU Z MORDERSTWEM W PRYWATNEJ SZKOLE W KINGHORN

Uwiedziona myślą, że poczytam o czymś dużo bardziej ekscytującym niż teatr, przysunęłam się z krzesłem bliżej ekranu.

Szesnastoletni uczeń prywatnej szkoły średniej Kinghorn, przesłuchiwany przez policję w sprawie nazywanej „powieszeniem w Kinghorn” został zwolniony i oczyszczony z zarzutów.

Po znalezieniu na zalesionym kampusie szkoły powieszzonego ciała osiemnastoletniej Kjirsten Halverson policja przesłuchiwała ucznia drugiej klasy, Elliota Sauniiera, którego widziano z ofiara, w noc jej śmierci.

Powoli trawiłam informacje. Elliota przesłuchiowano w związku ze śledztwem w sprawie zbrodni?

Halverson pracowała jako kelnerka w barze U Ślepego Joe. Policja potwierdziła, że widziano ją z Saundersem w sobotę w godzinach wieczornych. Zwłoki Halverson odkryto w niedzielę rano, a Saunders został zwolniony z aresztu w poniedziałek po południu, po znalezieniu w mieszkaniu Halverson listu samobójczego.

- Trafiłaś na coś ciekawego?

Podskoczyłam na dźwięk głosu Elliota za plecami. Okręciwszy się z krzesłem, zobaczyłam, że stoi oparty o framugę drzwi. Miał przymrużone oczy i zacięte usta. Przeniknęło mnie coś zimnego, tak jakby rumieniec, tylko że na odwrót. Przesuwając się lekko w prawo, starałam się usadowić prosto przed ekranem.

- Yyy... właśnie kończę zadanie. A ty? Co tu robisz? Nie słyszałam, jak wszedłeś. Długo już tam stoisz? - spytałam za bardzo podniesionym głosem.

Elliot wszedł do sali. Zaczęłam na oślep gmerać po monitorze w poszukiwaniu wyłącznika.

- Szukam natchnienia do recenzji teatralnej, którą jeszcze dziś wieczór muszę oddać naczelnemu - ciągnęłam stanowczo za szybko.

Gdzie ten guzik? - zastanawiałam się. Elliot spojrzał mi przez ramię.

- Recenzje teatralne?

Palce musnęły jakiś przycisk i wreszcie monitor poczerniał.

- Sorry, nie dosłyszałam: co tu robisz?

- Przechodząc, zobaczyłem, że tu siedzisz. Coś nie gra! Jesteś jakaś...  
pobudzona.

-To... niski poziom cukru. - Byle jak pozbierałam papiery i książki i upchnęłam je  
do plecaka. - Nie jadłam od lunchu.

Elliot wziął stojące obok krzesło i pchnął je w moją stronę. Usiadł na nim  
okrakiem i przybliżył się, naruszając moją prywatną przestrzeń.

- Może bym ci pomógł z tą recenzją? Odchyliłam głowę.

- Ojej, to strasznie miłe, ale ja na razie kończę. Muszę coś zjeść. Najwyższy czas  
na przerwę.

- Postawię ci kolację - odpowiedział. - Za rogiem jest małe bistro.

- Dzięki, ale mama by się niepokoiła. Wyjechała na tydzień, no i dzisiaj wraca -  
wstałam, próbując go obejść

Wyciągnął komórkę i dźgnął mnie w pępek.

- Zadzwoń.

Popatrując na telefon, panicznie szukałam wymówki

- Nie wolno mi łączyć po mieście, gdy na drugi dzień mam szkołę.

- Oto jak wygląda kłamstwo, Noro. Powiedz, że odrabia nie zadania potrwa  
dłużej niż się spodziewałaś. Powiedz, że jeszcze godzinę musisz posiedzieć w  
bibliotece. Na pewno się nie zorientuje.

Elliot przybrał ton, jakiego dotąd nie słyszałam. Jego niebieskie oczy zrobiły się  
nagle zimne, a usta zwężyły się jeszcze bardziej.

- Mama nie jest zadowolona, kiedy się spotykam z kimś kogo nie zna -  
odpowiedziałam.

Elliot uśmiechnął się, ale bez cienia serdeczności. -Oboje wiemy, że niezbyt się  
przejmujesz zasadami matki. Przecież w sobotę wieczór byłaś ze mną w Delphic.  
Zarzuciwszy plecak na ramię, kurczowo ścisnęłam jego szelkę. Bez słowa  
minęłam Elliota i w pośpiechu wyszłam z sali, uświadamiając sobie raptem, że  
jeśli włączy monitor, zobaczy wzmiankę o przesłuchaniu... Ale teraz już nie  
mogłam nic na to poradzić.

W połowie drogi do kontuaru biblioteki odważyłam się obejrzeć. Przez szklaną  
ścianę zobaczyłam, że sala multimedialna jest pusta. Elliot się ulotnił. Wróciłam  
do komputera, bacznie rozglądając się na boki. Włączyłam monitor. Tekst o  
śledztwie wciąż był na ekranie. Przesłałam kopię do najbliższej drukarki i po  
wydrukowaniu schowałam ją do segregatora, po czym się wylogowałam i  
wybiegłam z sali.

## ROZDZIAŁ 12

Komórka zawibrowała mi w kieszeni. Sprawdziwszy, czy nie rozdrażniło to

bibliotekarki, odebrałam.

- Tak. mamusiu?

- Mam dobre wieści - powiedziała mama. - Aukcja skończyła się wcześniej.

Wyjechałam godzinę przed czasem i niedługo będę w domu. Gdzie jesteś?

- Hej! Myślałam, że wrócisz później. Wychodzę z biblioteki. Jak było pod Nowym Jorkiem?

- Pod Nowym Jorkiem było dość... rozwlekle. - Roześmiała się, ale po głosie poznałam, że jest wykończona. - Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę. Rozejrzałam się za zegarem. Po drodze do domu chciałam wstąpić do szpitala, do Vee.

- Posłuchaj - powiedziałam. - Muszę odwiedzić Vee. Mogę się spóźnić kilka minut. Będę się spieszyła, obiecuję.

- Naturalnie - wyczułam leciutkie zawiedzenie. - Jak się miewa? Rano odebrałam wiadomość o operacji.

- Jest już po. W tej chwili przenoszą, ją do osobnej sali.

- Noro... - mama była mocno poruszona. - Tak się cieszę, że to nie ty. Nie mogłabym żyć, gdyby coś ci się stało. Zwłaszcza że tato... - urwała. - Cieszę się, że nic nam nie zagraża. Pozdrów ode mnie Vee. Do zobaczenia. Ściskam.

- Kocham cię, mamó.

Rejonowe centrum zdrowia w Coldwater to dwupiętrowy budynek z czerwonej cegły, z prowadzącym do głównego wejścia zadaszonym pasażem. Przeszłam przez obrotowe drzwi i zatrzymałam się przy rejestracji, by spytać o Vee.

Okazało się, że przenieśli ją do pokoju pół godziny temu i że pora odwiedzin kończy się za piętnaście minut. Wyjechałam windą piętro wyżej.

Pchnęłam drzwi pokoju dwieście siedem.

- Vee? - zapytałam, chowając za sobą bukiet baloników i minęłam przedpokój.

Zastałam ją w pozycji półleżącej na łóżku, z lewą ręką w gipsie.

- Cześć! - przywitałam się, widząc, że nie śpi. Vee westchnęła jak księżna.

- Uwielbiam prochy. Serio. Coś niesamowitego. Wysiada przy nich nawet cappuccino z bistra Enza. Patrz, zrymowało mi się: z bistra Enza. To znak. Zostanę poetką. Chcesz usłyszeć coś innego? Świetnie improwizuję.

-Yyy...

Raźnym krokiem weszła pielęgniarka i pomajstrowała przy kroplówce Vee.

- No jak, lepiej? - spytała ją.

- Nie będę żadną poetką - ciągnęła Vee. - Jest mi pisana komedia na stojaka.

Puk-puk.

- Co? - nie zrozumiałam.

- Kto tam? - Pielęgniarka wzniosła oczy do nieba.

- Żeberka - odpowiedziała Vee.

- Jaka żeberka?

- Żeberka ubóstwiam, lecz wieprzowe tylko.



- Może by jej ograniczyć środki przeciwbólowe - zasugerowałam pielęgniarce.

- Za późno. Dopiero co dostała nową dawkę. Poczekaj, co pokaże za dziesięć minut - odparła i wyszła.

- No i? - spytałam Vee. - Jak diagnoza?

- Diagnoza?! Mój lekarz to jakiś słoń. Wygląda jak Oompa Loompa. No, nie patrz tak groźnie. Ostatnio, jak tu przylazł, dorwał się do funky chicken. Cały czas żre czekoladę. Głównie w kształcie zwierzątek. Kojarzysz te zające sprzedawane na Wielkanoc? No właśnie coś takiego wtrzyił na kolację. Na lunch kaczkę z czekolady, do tego na przystawkę żółte pianki.

- Miałam na myśli diagnozę... - Wskazałam otaczające ją akcesoria.

-Aha. Złamana ręka, wstrząs mózgu i przeróżne skaleczenia, zadrapania i sińce. Na szczęście mam szybki refleks i zwałam bez większych uszkodzeń. Jak chodzi o refleks, to jestem jak kot. Jestem Kobieta Kotem. Jestem niezniszczalna. Dopadł mnie tylko dlatego, że lało. Jako kot nie znoszę wody, bo osłabia czujność. To taka moja pięta Achillesa.

- Tak mi przykro - powiedziałam szczerze. - To ja powinnam teraz tutaj leżeć.

- I dostawać te wszystkie prochy? Nic z tego.

- Policja ma jakieś poszlaki? - zapytałam.

- Nie, nuli, zero.

- Żadnych świadków?

- Byłyśmy na cmentarzu w samym środku burzy - zauważyła Vee. - Normalni ludzie na ogół siedzą wtedy w domu.

Racja. W taką pogodę nikt normalny nie wyszedłby na dwór. Oczywiście my wyszłyśmy... wraz z tajemniczą dziewczyną, która śledziła Vee po opuszczeniu przez nią Victoria's Secret.

- Jak to się stało?

- Szłam w stronę cmentarza, tak jak się umówiliśmy, i nagle usłyszałam za sobą kroki - wyjaśniła Vee. - Wtedy się obejrzałam i wszystko potoczyło się strasznie szybko. Błysnął rewolwer i gość rzucił się na mnie. Jak powiedziałam glinom, mózg mi się zlasował. „Niech pani odtworzy jego rysy”. Akurat! Ledwie zdążyłam pomyśleć: Jezus, Maria, Józef, zaraz będę mokrą plamą! Gość warknął, ze cztery razy przywalił mi gunem, porwał torebkę i dał dyla.

Poczułam mętlik w głowie.

- Zaraz. To był facet? Widziałaś jego twarz?

- No jasne, że facet. Miał ciemne oczy... grafitowe. Więcej nie zobaczyłam, bo był w kominiarce.

Na wspomnienie kominiarki serce zabiło mi jak w oblędzie. Czyli to na pewno ten sam facet, który wyskoczył mi na maskę. Wcale go nie wymyśliłam - świadczyły o tym słowa Vee. Przypomniałam sobie, jak zniknęły wszelkie dowody wypadku. Więc może i to nie było wytworem mojej wyobraźni... Tajemniczy facet istniał naprawdę. I był tam... Ale skoro nie wymyśliłam sobie uszkodzeń auta, to co się

wtedy wydarzyło? Może... ktoś wpływał na mój wzrok albo na pamięć?

Po chwili nasunęła mi się masa pytań pomocniczych. Czego chciał tym razem? Czy miał coś wspólnego z dziewczyną przed Victoria's Secret? Czy wiedział, że idę tam na zakupy?... Kamuflaż w postaci kominiarki wskazywał, że wszystko zostało drobiazgowo zaplanowane, a więc gość musiał się wcześniej dowiedzieć, gdzie mnie znajdzie. I nie chciał, żebym go rozpoznała.

- Komu mówiłaś, że idziemy na zakupy? - spytałam Vee zniecierpliwiona.

Dla wygody wsunęła sobie poduszkę pod kark.

- Mamie.

- Tylko? Nikomu więcej?

- Może też wspomniałam Elliotowi. Zmroziło mi krew w żyłach.

- Elliotowi?

- I co z tego?

- Posłuchaj - powiedziałam z powagą. - Pamiętasz, jak wracałam dodge'em i potraçałam jelenia?

- No i? - zmarszczyła czoło.

- To nie był jelen, tylko facet. Facet w kominiarce.

- Co ty? - odszepnęła. - Chcesz powiedzieć, że gość nie napadł mnie przypadkowo? Że ma coś do mnie? Nie, chwila. On ma coś do ciebie. Byłam w twojej kurtce. Myślał, że to ty!

Ciało jakby zmieniło mi się w ołów. Po sekundzie ciszy Vee dodała:

- Jesteś pewna, że nie mówiłaś o zakupach Patchowi? Bo jakby się tak zastanowić, to gość był zbudowany jak on. Wysokawy. Szczupławy. Silnawy. I seksy, nie licząc napaści.

- Patch nie ma oczu grafitowych, tylko czarne - zauważyłam, uzmysławiając sobie, że niestety wspomniałam mu o naszych zakupach koło mola.

Vee wzruszyła niepewnie ramionami.

- Może i miał czarne. Nie pamiętam. Stało się to tak okropnie szybko. Ale co do rewolweru nie mam wątpliwości - dodała, jakże pomocnie. - Celował we mnie. No wiesz, nie na boki.

Powoli coś zaczynało mi się składać. Skoro Patch napadł na Vee, to na pewno widział, jak wychodzi ze sklepu w mojej kurtce, i stwierdził, że to ja. Kiedy się zorientował, że śledzi kogoś innego, ze złości pobił Vee rewolwerem i zniknął. Problem w tym, że nie umiałam sobie wyobrazić, jak maltretuje Vee. Taki wariant odpadał. Poza tym Patch rzekomo był wtedy do rana na imprezie na wybrzeżu.

- Czy napastnik chociaż trochę przypominał Elliota? - zapytałam.

Vee przeżuwała to chwilę. Nie wiem, jakie dostała lekarstwo, ale wyraźnie spowolniło ono tok myślenia, bo niemal słyszałam, jak mozolnie uruchamia kolejne trybiki mózgu.

- Był od niego co najmniej dziesięć kilo lżejszy i z dziesięć centymetrów wyższy.

- Wszystko przeze mnie - powiedziałam. - Nie powinnam wypuszczać cię ze

sklepu w swojej kurtce.

- Pewno ci się to nie spodoba - rzekła Vee, najwyraźniej walcząc z wywołanym przez leki ziewnięciem. - Ale im dłużej się nad tym zastanawiam, tym więcej widzę podobieństw między moim napastnikiem i Patchem. Tak samo zbudowani. Takie same długie nogi i identyczny chód. Fatalnie, że w jego kartotece nic nie ma. Przydałby się adres. Musimy obadać jego okolicę. Znaleźć łatwowierną sąsiadkę staruszkę i podstępem namówić ją, żeby zamontowała sobie w oknie kamerę i nakierowała ją na dom Patcha. Bo coś jest z nim nie tak.

- Naprawdę myślisz, że mógłby ci to zrobić? - spytałam, wciąż bez przekonania. Vee zagryzła wargę.

- Według mnie coś ukrywa. Coś wielkiego. Nie miałam zamiaru zaprzeczać. Zakopała się w pościeli.

- Swędzi mnie całe ciało. Cudownie się czuję.

- Nie mamy adresu - powiedziałam. - Ale wiemy, gdzie pracuje.

- Myślisz o tym samym co ja? - spytała Vee; oczy pojaśniały jej na moment w narkotycznym otumanieniu.

- Doświadczenie uczy, że lepiej nie.

- Musimy podszlifować zdolności badawcze - oznajmiła Vee. - Używajcie głowy, bo wam zarzewieje, jak powie dział trener. Musimy dowiedzieć się więcej o przeszłości Patcha. Założę się, że jak przedstawimy materiał dowodowy, to trener jeszcze nas pochwali.

Uznałam, że to wątpliwe, bo przy udziale Vee z pewnością weszłybyśmy w kolizję z prawem. Poza tym nasze „badanie” nijak się miało do biologii.

Uśmiech, który na siłę wywołała Vee, zniknął mi z twarzy. Bo mimo całej niefrasobliwości, ogarnęło mnie przerażenie. Facet w kominiarce jednak istniał i pewnie znów szykował się do ataku. W sumie zgadzałoby się, że to sprawka Patcha... Gość w kominiarce wyskoczył mi na maskę dzień po tym, jak pierwszy raz usiedliśmy razem na biologii. Więc może to nie był zbieg okoliczności.

Akurat wtedy musiała pojawić się w drzwiach pielęgniarka.

- Ósma - poinformowała mnie, stukając w zegarek. - Koniec odwiedzin.

- Już wychodzę - odparłam.

Gdy tylko ucichły jej kroki na korytarzu, zamknęłam drzwi. Nie mogłam opowiadać Vee o śledztwie i Eliocie przy świadkach. Gdy jednak znów zbliżyłam się do łóżka, okazało się, że lekarstwo zaczyna działać.

- Nadchodzi - szepnęła z ekstatyczną miną. - Narkotyczny przyływ... już za chwilę... fala ciepła... żegnaj, bólu...

- Vee...

- Puk-puk.

- Posłuchaj, to bardzo ważne. -Puk-puk.

- Chodzi o Elliota...

- Puk-puuuuuk - powtórzyła śpiewnie. Westchnęłam.

- Kto tam?

- Sara.

- Jaka Sara?

- Sara, bo czerwone wyszły! - wybuchnęła histerycznym śmiechem.

Widząc, że dalszy nacisk byłby pozbawiony sensu, powiedziałam:

- Zadzwon jutro, kiedy wyjdiesz. - Rozpięłam plecak. - Żebym nie zapomniała, przyniosłam twoje zadanie. Gdzie położyć?

Wskazała kosz na śmieci.

- Najlepiej tam.

Postawiłam fiata w garażu, zamknęłam i schowałam kluczyki do kieszeni. Kiedy wracałam do domu, na niebie nie było ani jednej gwiazdy i zaczął siąpić deszcz. Zsunęłam drzwi garażu do ziemi i przekręciłam klucz w zamku. Weszłam do kuchni. Na górze paliło się światło i już po chwili po schodach zbiegła mama i objęła mnie czule.

Mama ma faliste ciemne włosy i zielone oczy. Jest wyższa ode mnie o dwa i pół centymetra, ale figurę mamy identyczną. Zawsze pachnie Love Alpha Laurena.

- Jak dobrze, że nic ci nie grozi. - Przytuliła mnie mocno. Nie byłabym tego taka pewna - pomyślałam.

### ROZDZIAŁ 13

Następnego dnia o siódmej wieczór parking Granicy był kompletnie zapchany. Po blisko godzinie błagań udało mi się z Vee przekonać jej rodziców, że musimy uczcić pierwszy wieczór od jej wyjścia ze szpitala chiles relenos i daiquiri ze świeżymi truskawkami. Tak w każdym razie im powiedziałyśmy. A naprawdę kierowały nami niskie pobudki.

Postawiwszy w końcu dodgea na parkingu, wyłączyłam silnik.

- Bleee - skrzywiła się Vee, gdy oddając jej kluczyki, musnęłam ją dłonią. - Nie mogłabyś się mniej pocić?

- Jestem zdenerwowana.

- Ojej, co ty powiesz. Mimowolnie spojrzałam na drzwi.

- Wiem, co kombinujesz - powiedziała Vee, zaciskając wargi. - Wybij to sobie z głowy. Kategorycznie!

- Nie wiesz, o czym pomyślałam. Ścisnęła mnie za ramię.

- Akurat.

- Nie zwieję - odparłam. - Ja na pewno.

- Kłamczucha.

We wtorki Patch miał wolne i Vee przekonała mnie, że to najlepszy moment, by podpytać jego współpracowników. Wyobrażałam sobie, jak pewnie sunę do baru, nieśmiało -a la Marcie Millar - spoglądam na barmana i jakby nigdy nic zagaduję go o Patcha. Musiałam się dowiedzieć, gdzie mieszka. Musiałam się dowiedzieć, czy już był notowany. Musiałam się dowiedzieć, czy coś, choć w najmniejszym

stopniu, łączy go z facetem w kominiarce. No i - skąd wzięli się w moim życiu facet w kominiarce i dziewczyna.

Zajrzałam do torebki, sprawdzając, czy nie zgubiłam listy pytań. Na jednej stronie miałam zapisane pytania o prywatne życie Patcha, a na odwrocie - podpowiedzi, jak flirtować. Na wszelki wypadek.

- Czekaj, czekaj - powiedziała Vee. - Co to???

- Nic - odparłam, składając kartkę.

Chciała mi ją wyrwać, ale byłam szybsza i wepchnęłam listę na samo dno torebki.

- Zasada numer jeden - pouczyła Vee. - Przy flirtowaniu nie ma mowy o notatkach.

- Od każdej zasady jest wyjątek.

- Ale nie w twoim wypadku! - Wzięła z tylnego siedzenia dwa plastikowe worki 7-Eleven i wygramoliła się z samochodu. Gdy tylko wysiadłam, rzuciła mi je nad dachem.

- Co to? - zapytałam, łapiąc reklamówki.

Miały zawiązane uchwyty, więc nie było widać, co jest w środku, ale na sto procent zauważyłam wypuczenie od obcasa szpilki.

- Rozmiar osiem i pół - oznajmiła Vee. - Ze skóry rekina, żebyś się mogła bardziej wczuć w rolę.

- Nie umiem chodzić na wysokich obcasach.

- No to się ciesz, bo nie są wysokie.

- Ale tak wyglądają - odparłam, zerkając na wystający obcas.

- Prawie trzysta centymetrów. Wysokie mają co najwyżej dziesięć.

Pięknie. Jeśli uwodząc kolegów Patcha, nie złamię sobie karku, to przynajmniej się przed nimi upokorzę.

- Aha - odezwała się Vee, gdy ruszyliśmy chodnikiem do frontowego wejścia. - Zaprosiłam dwie osoby. Im więcej ludzi, tym lepiej, prawda?

- Kogo? - Od złych przeczuć aż zakłuło mnie w żołądku

- Julesa i Elliota.

Nim zdążyłam uświadomić Vee, dlaczego to poroniony pomysł, dodała:

- Chwila prawdy: Tak jakby chodzę z Julesem. Po kryjomu.

- Co???

- Żebyś ty widziała jego chatę. Bruce Wayne może się schować. Jego rodzice to albo narkotykowi magnaci z Arno ryki Południowej, albo odziedziczyli jakiś wielki spadek. Nie wiem, bo ich na razie nie poznałam.

Odjęło mi mowę. Usta otworzyły mi się i zamknęły - bez słów.

- Od kiedy? - wydusiłam wreszcie.

- W sumie to od tego pamiętnego śniadania u Enza.

- Pamiętnego? Vee, nie masz pojęcia...

- Żeby tylko przyszli pierwsi i zajęli stolik. Westchnęli, z wyciągniętą szyją

rozglądając się w coraz większym tłumie przy drzwiach. - Nie chce mi się czekać. Jeszcze dwie minuty i padnę z głodu.

Chwycałam ją za zdrowy łokieć i odciągnęłam na bok.

- Muszę ci powiedzieć coś ważnego...

- Wiem, wiem - odparła. - Podejrzewasz, że to Elliot mnie napadł. Więc chyba pomylił Ci się z Patchem. Ale jak trochę dzisiaj pospieszujesz, przekonasz się, że mam rację.

Słowo daję, tak samo bym chciała wiedzieć, kto na mnie napadł. Może nawet bardziej niż ty, bo teraz dotyczy mnie to osobiście. A skoro już tak sobie doradzamy, to trzymaj się z daleka od Patcha. Na wszelki wypadek.

- Dobrze, że sobie to wszystko przemyślałaś - rzuciłam krótko - a teraz słuchaj: Znalazłam artykuł...

Drzwi Granicy otworzyły się. Uderzyła nas nowa fala gorąca, zapachów limonki i kolendry, a z głośników buchnęły dźwięki zespołu mariachi.

- Zapraszamy do Granicy - powitała nas hostessa. - Dzisiaj tylko we dwie?

Tuż za nią stał w ciemnym foyer Elliot. Zobaczyliśmy się w tej samej chwili.

Uśmiechał się, zupełnie bez wyrazu.

- Dobry wieczór. - Podszedł, zacierając ręce. - Jak zwykle wyglądacie wspaniale. Dostałam gęziej skórki.

- A gdzie twój współnik? - zapytała Vee, ogarniając wzrokiem foyer. Z sufitu zwisały papierowe lampiony, a dwie ściany ozdobiło malowidło meksykańskiego puebla. Na ławkach dla czekających nie było już wolnego miejsca. I... ani śladu Julesa.

- Niestety - odparł Elliot. - Gość jest chory. Będziecie musiały zadowolić się mną.

- Chory? - zdziwiła się Vee. - Jak to chory? Co to w ogóle za wymówka?

- Wychodzi mu i górą, i dołem. Vee zmarszczyła nos.

- Oszczędź sobie szczegółów.

Nie mogłam oswoić się z myślą, że Vee i Julesa coś łączy. Jules sprawiał wrażenie ponurego, zajętego własnym światem i kompletnie niezainteresowanego towarzystwem Vee czy innych ludzi. Wizja mojej przyjaciółki sam na sam z Julesem nie nastrajała zbyt optymistycznie... Nawet nie dlatego, że był nieprzyjemny i właściwie nic o nim nie wiedziałam, ale ze względu na to, co było jasne jak słońce, przyjaźnił się z Elliotem.

Hostessa wyjęła z otwartej szafki trzy karty i zaprowadziła nas do boksu tak blisko kuchni, że przez ścianę czułam żar dobywający się z pieców. Po lewej mieliśmy bar. Z prawej - zaparowane drzwi na patio. Popelinowa bluzka momentalnie przykleiła mi się do pleców, choć potu raczej nie wywołało gorąco, tylko wiadomość o Vee i Julesie.

-Może być? - spytała kelnerka, wskazując nasz boks

- Rewelacja. - Elliot zrzucił kurtkę ze ściągaczem. - Super lokal. Bo jak nie od ciepła, zawsze można się tu spocić od jedzenia.

Twarz hostessy pojaśniała.

- Byłeś już u nas, pamiętam. To może na początek frytki i nowość: salsa jalapeno? Najostrzejsza w karcie.

- Lubię ostre rzeczy - oznajmił Elliot.

W jego głosie wyczułam fałsz. Bez wątpienia był sto razy gorszy od Marcie. Na początku oceniłam go stanowczo za bardzo pozytywnie, kropka. A na dodatek ukrywał, że przesłuchiwali go w sprawie morderstwa. Kto wie, co jeszcze miał w zanadru.

Hostessa spojrzała na niego z aprobatą.

- Już biegnę po frytki i salsę. Zaraz przyjdzie kelnerka i przyjmie zamówienie.

Pierwsza wgramoliła się do boksu Vee. Usiadłam koło niej, a Elliot zajął miejsce naprzeciwko mnie. Gdy popatrzyliśmy na siebie, spostrzegłam w jego oczach coś mrocznego. Urazę, a może nawet wrogość. Ciekawe, czy wiedział, że przeczytałam artykuł...

- Fiolet to twój kolor, Noro - stwierdził, wskazując na chustkę, którą ściągnęłam z szyi, żeby przywiązać do uchwyty torebki. - Rozjaśnia ci oczy.

Vee spojrzała na mnie porozumiewawczo, biorąc to za komplement.

- Może opowiesz nam coś - zagadnęłam ze sztucznym uśmiechem - o szkole w Kinghorn?

- Tak, tak! - przyklasnęła Vee. - Są tam jakieś tajemne stowarzyszenia? Jak w filmach?

- O czym tu gadać? - odparł Elliot. - Świetna szkoła, tyle. - Przebiegł wzrokiem kartę. - Ma ktoś ochotę na przystawkę? Ja zapraszam.

- Skoro taka świetna, to czemu się przeniosłeś? - Nie spuszczać go z oczu, lekko uniosłam brwi.

Zanim uśmiechnął się na siłę, zadrgał mu lekko mięsień twarzy.

- Ze względu na dziewczyny. Słyszałem, że w tej okolicy są dużo ładniejsze. Pogłoska okazała się prawdziwa. - Mrugnął, a mnie od stóp do głów ogarnęło lodowate zimno.

- To czemu Jules też się nie przepisał? - zapytała Vee. - Stworzylibyśmy fantastyczną czwórkę, tylko że z jeszcze większym powerem. Fenomenalną czwórkę.

- Rodzice Julesa mają bzika na punkcie jego wykształcenia. Wariactwo to za mało powiedziane. Gość chce być najlepszy. Nic go nie powstrzyma. Powiem wam, że mnie idzie w szkole całkiem nieźle. Lepiej niż innym. Ale Julesowi nikt nie dorówna. To prawdziwa gwiazda nauki.

W oczach Vee znowu odmalowało się rozmarzenie.

- Nie znam jego rodziców - powiedziała. - Wstąpiłam do niego dwa razy, ale albo gdzieś wyszli, albo byli w pracy.

- Dużo pracują - zgodził się Elliot, znów spuszczać oczy na menu, żeby móc wyczytać z nich jak najmniej.

- Czym się zajmują? - spytałam.

Elliot upił spory łyk wody. Tak jakby chciał zyskać na czasie, wymyślając odpowiedź.

- Diamentami. Spędzili wiele lat w Afryce i Australii.

- Nie wiedziałam, że Australia liczy się w tej branży.-odparłam.

- No, ja też nie - dorzuciła Vee.

Tak naprawdę byłam pewna, że w Australii nie ma diamentów. Kropka.

- To czemu mieszkają w Maine - zdziwiłam się - a nie w Afryce?

Elliot jeszcze bardziej zagłębił się w menu.

- Co bierzecie? Według mnie nieźle wygląda stek fajitas.

- Jeśli rodzice Julesa handlują diamentami, to na pewno wiedzą, jak wybrać idealny pierścionek zaręczynowy - rzekła Vee. - Marzę o pojedynczym i żeby miał szmaragdu wy szlif.

Kopnęłam ją pod stołem. Dźgnęła mnie widelcem.

- Auli!!! - krzyknęłam.

Do stołu podeszła kelnerka i odczekawszy chwilę, za pytała:

- Coś do picia?

Elliot spojrział znad karty najpierw na mnie, a potem na Vee, która odpowiedziała:

- Dietetyczna cola.

-Poproszę o wodę z plastrami limonki - zamówiłam Kelnerka zdumiewająco szybko przyniosła napoje. Jej powrót był dla mnie znakiem, żeby odejść od stołu i przy stąpić do realizacji pierwszego punktu planu - o czym Vee przypomniła mi drugim dźgnięciem widelca.

- Vee - wycodziłam przez zęby - zechcesz towarzyszyć mi do toalety? - Nagle coś mi się odwidziało. Nie miałam ochoty zostawiać Vee samej z Elliotem.

Bardzo chciałam wywlec ja z boksu i opowiedzieć jej o wiadomym śledztwie, a później postarać się o to, by Elliot z Julesem zniknęli z naszego życia.

- Nie możesz iść sama? - zapytała. - Myślę, że byłby to lepszy plan. - Skinęła głową w stronę baru i bezgłośnie mruknęła: „Idźże!”, dyskretnie przeganiając mnie pod stołem ręką.

-Planowałam iść sama, ale byłoby cudownie, gdybyś poszła ze mną.

- Dziewczyny, skąd wam się to wzięło? - odezwał się Elliot, obdzielając nas uśmiechem. - Słowo daję, jeszcze nie spotkałem takiej, która by mogła iść do toalety sama. - Pochylił się do nas i szepnął konspiracyjnie: - Możecie mi to zdradzić? Dam wam po pięć dolców, serio. - Sięgnął do tylnej kieszeni. - A jak mnie tam wpuścicie i załapię, o co biega, dam nawet po dysze.

-Zbok - Vee rzuciła mu przelotny uśmiech. - Nie zapomnij. - Wepchnęła mi torby 7-Eleven. Elliot wyraźnie się zdziwił.

- Śmieci - wyjaśniła mu poufnym tonem. - Mamy pełny śmietnik. Mama kazała mi je wyrzucić po drodze.

Elliot najwyraźniej nie dowierzał, a Vee najwyraźniej miała to w nosie. Wstałam,



obładowana częściami garderoby w reklamówkach i przełknęłam dziką furję. Przepisnęłam się między stolikami i ruszyłam przez sień w stronę toalet. Sień w kolorze terakoty ozdabiały marakasy, słomkowe kapelusze i drewniane lalki. Było tam tak gorąco, że musiałam otrzeć czoło z potu. Zgodnie z obecnym planem miałam się uwinąć jak najprędzej i wracając do stołu, wymyślić pretekst do wyjścia - razem z Vee. Bez względu na jej widzimisię.

Zajrzałam do trzech kabin w damskiej toalecie. Upewniwszy się, że jestem sama, zamknęłam główne drzwi od środka na klucz, po czym wysypałam na blat obok umywalki zawartość reklamówek: platynową perukę, fioletowy stanik typu push-up, obcisły czarny top bez ramiączek, ozdobioną cekinami mini, jaskraworóżowe kabaretki i szpilki ze skóry rekina w rozmiarze osiem i pół.

Stanik, top i kabaretki włożyłam z powrotem do toreb. Zrzuciłam dżinsy i wciągnęłam mini. Schowałam włosy pod perukę, umalowałam usta pomadką i nałożyłam na nie grubą warstwę połyskliwego błyszczyka.

-Dasz radę - powiedziałam do swojego odbicia w lustrze, zakręcając wieczko błyszczyka i dla efektu zaciskając wargi. - Spokojnie możesz robić za Marcie Millar. Uwiedzisz któregoś i wyśpiewa wszystko. Łatwizna!

Zdjęłam mokasyny i razem z dżinsami wsadziłam je do torby, którą schowałam pod umywalką.

- Poza tym - ciągnęłam - poświęcić dumę dla dobra śledztwa to nic złego. Skoro masz takie opory, pamiętaj, że jeśli się czegoś nie dowiesz, możesz nawet zginąć. Bo czy ci się to podoba, czy nie, ktoś próbuje cię skrzywdzić.

Przyjrzałam się szpilkom. W życiu widziałam już o wiele brzydsze rzeczy. Prawdę mówiąc, były całkiem seksy. Coś w stylu „Szczęki w Coldwater”. Wsunęłam w nie stopy i kilka razy przeszłam się po toalecie.

Parę minut później usiadłam na stoiku przy barze.

Barman zmierzył mnie wzrokiem.

- Szesnaście? - zapytał. - Siedemnaście?

Na oko był o dziesięć lat starszy ode mnie i miał ogolone, mocno przerzedzone nad czołem, brązowe włosy. Z prawego ucha zwisało mu srebrne kółko. Do tego - biały T-shirt i lewisy. Nie powalał urodą.

- Nie jestem małoletnia - krzyknęłam, starając się za głośniej muzykę i gwar dookoła. - Czekam na koleżankę, a stąd dobrze widać drzwi.

Wydobyłam z torebki listę pytań i ukradkiem wsunęłam ją pod szklaną solniczkę.

- Co to jest? - spytał barman, wycierając dłonie w ręcznik i wskazując kartkę.

Wsunęłam ją dalej.

- Nic - odparłam z miną niewiniątka. Uniósł brwi.

Postanowiłam nie przesadzać z prawdą:

- To... lista zakupów. Po drodze do domu muszę kupić mamie kilka artykułów spożywczych.

Co z tym flirtowaniem? - pomyślałam. - Gdzie się podziała Marcie Millar?

Spojrzał na mnie taksująco, więc uznałam, że nie jest aż tak źle.

- Po pięciu latach w tej branży świetnie wyczuwam kłamstwo.

- Nie kłamię - odparłam. - No, może przed chwilą, ale tylko trochę. Jedno małe kłamstwo nie czyni mnie nieprawdomówną.

- Wyglądasz na dziennikarkę.

- Pracuję w szkolnym e-zinie - wyznałam, zaraz tego żałując, bo, jak wiadomo, dziennikarze nie wzbudzają zaufania i ludzie na ogół są wobec nich podejrzliwi. -

Ale dziś mam wolne - dodałam szybko. - Jestem tu tylko dla własnej przyjemności. Niczego nie załatwiam. Z niczym się nie kryję. Absolutnie.

Po sekundzie milczenia stwierdziłam, że najwyższa pora zacząć działać.

Odchrząknawszy, zapytałam:

- Czy uczniowie szkół średnich chętnie zatrudniają się w Granicy?

- Tak, owszem. Jako hostessy, do pomocy w kuchni itepe.

- Naprawdę? - udałam zaskoczenie. - To może tu kogoś znam?...

Barman skierował wzrok na sufit i podrapał się po zarośniętej brodzie. Jego obojętne spojrzenie nie nastrojało mnie zbyt optymistycznie. Poza tym, nie miałam tak znów dużo czasu. Może właśnie w tej chwili Elliot wsypywał Vee do coli śmiernie niebezpieczny narkotyk...

- Patch Cipriano? - spytałam. - Pracuje tutaj?

- Patch? Tak, pracuje. Dwa wieczory w tygodniu i w weekendy.

- A w niedziele pracował?

Starłam się zbytnio nie narzucać z pytaniami. Musiałam jednak sprawdzić, czy Patch mógł być w pobliżu mola. Powiedział, że idzie na imprezę na wybrzeżu, ale może zmienił plany. Gdyby ktoś mi potwierdził, że w niedziele był w pracy, wykluczyłabym jego udział w napaści na Vee.

- W niedzielę? - Barman poskrobał się po szyi. - Nie kojarzę. Popytaj hostessy.

Na pewno któraś pamięta. Jak tylko się pojawi, chichoczą i szaleją. - Uśmiechnął się, tak jak bym mu powinna współczuć.

- Nie masz przez przypadek dostępu do jego podania o pracę? - zapytałam. I adresu!

- Niestety.

- A tak z ciekawości: można się tu zatrudnić, jeśli się jest notowanym za przestępstwo?

- Przestępstwo? - Zaśmiał się krótko. - Żartujesz?

- Okej, może nie przestępstwo, ale wykroczenie...? Rozłożył dłonie na kontuarze i pochylił się nade mną.

- Nie - jego ton przeszedł z wesołego w urażony.

- Świetnie. Doskonale.

Aby się przesunąć, musiałam najpierw odkleić się od stołka. Byłam cała spocona. Stwierdziłam, że jeśli regułą flirtowania numer jeden ma być brak ściąg, to reguła numer dwa powinna zabraniać pocenia się.

Zajrzałam do listy.

- Nie wiesz, czy Patch był kiedyś aresztowany? Notowany, bo kogoś prześladował? - Czując, że nie działałam na barmana pozytywnie, postanowiłam zasypać go wszystkimi pytaniami naraz, nim poprosi, bym odeszła od baru, albo co gorsza każe mnie wyrzucić za molestowanie go lub podejrzanę zachowanie. - Ma dziewczynę? - wyrzuciłam.

- Jego spytaj - odparł. Zamrugałam oczami.

- Przecież dziś nie pracuje.

Na jego szeroki uśmiech mój żołądek zaczął się uspokajać.

- Nie ma go dziś w pracy... prawda? - podniosłam głos o oktawę. - Wtorki ma przecież wolne!!!

- Normalnie tak. Ale zastępuje Benjiego. Benji wylądował w szpitalu. Pękł mu wyrostek robaczkowy.

-Chcesz powiedzieć, że Patch tu jest? Teraz? - Zasłaniając pół twarzy sztucznymi włosami, obejrzałam się przez ramię i ogarnęłam wzrokiem salę.

- Parę minut temu wszedł do kuchni. Zerwałam się z miejsca.

-Chyba zostawiłam włączony samochód. Fajnie się z tobą gadało! - Czym prędzej ruszyłam w stronę toalet.

W damskiej zamknęłam się od środka, przywarłszy plecami do drzwi, wzięłam kilka wdechów, po czym podeszłam do umywalki i opryskałam twarz zimną wodą. Patch zaraz się dowie, że go szpiegowałam. Zapewniłam to sobie pamiętnym występem. Z pozoru był on nieciekawym i lekko upokarzającym. Ale musiałam zmierzyć się z faktem, że Patch jest bardzo tajemniczy. Tajemniczy ludzie nie lubią, gdy wścibia się nos w ich sprawy. Jak miałby zareagować na wieść, że oglądam go pod mikroskopem?

Zaczęłam się zastanawiać, po co tu w ogóle przyszłam. Zwłaszcza że w głębi duszy nie wierzyłam, że facet w kominiarce to Patch. Nawet jeśli miał mroczne, niepokojące sekrety, to ganiecie w kominiarce do nich nie należało.

Zakręciłam kran i podnosząc twarz do lustra... ujrzałam w nim odbicie Patcha. Odwróciłam się z piskiem.

Nie był uśmiechnięty i nie wyglądał na rozbawionego.

- Co ty tu robisz? - wykrztusiłam.

- Pracuję.

-W damskiej toalecie? Nie umiesz czytać? Na drzwiach jest na...

- Mam wrażenie, że mnie śledzisz. Pojawiasz się wszędzie tam, gdzie ja.

- Chciałam, żeby Vee się rozerwała - wyjaśniłam. - Była w szpitalu - zabrzmiało to defensywnie, więc postanowiłam przejść do ataku. - Nawet nie marzyłam, że na ciebie wpadnę. Podobno masz dzisiaj wolne, co ty mi wciskasz? To ty pojawiasz się tam, gdzie ja.

Patrzył na mnie przenikliwie, groźnie i natarczywie, oceniając każde słowo, najdrobniejszy ruch.

- To skąd ta tandetna peruka? - zapytał. Zerwałam ją i rzuciłam na blat.

- A może ty mi powiesz, co się z tobą działo? Opuściłeś dwa dni szkoły. Byłam prawie pewna, że mi tego nie zdradzi, ale odpowiedział:

- Grałem w paintball. Co robiłaś przy barze?

- Rozmawiałam z barmanem. Co, nie wolno? Opierając się jedną ręką o blat, uniosłam nogę, żeby rozpiąć pantofel. Kiedy się lekko pochyliłam, lista pytań wypadła mi zza dekoltu na posadzkę.

Przyklęknęłam, by podnieść kartkę, ale Patch był szybszy. Trzymał ją nad głową, a ja, podskakując, starałam się mu ją wyrwać.

- Oddawaj! - zawołałam.

- Czy Patch był aresztowany? - odczytał. - Czy Patch jest przestępcą?

-Daj to! - syknęłam wściekle.

Zaśmiał się cicho; było jasne, że zobaczył następne pytanie.

- Czy Patch ma dziewczynę?

Wsunął kartkę do tylnej kieszeni. Ogarnęła mnie wielka pokusa, by mu ją odebrać bez względu na lokalizację.

Wsparł się o blat umywalki i nasze oczy znalazły się na równej wysokości.

- Jeśli masz zamiar powęszyc, wołałbym, żebyś wypytała mnie.

- Te pytania - pomachałam ręką w stronę listy - to był żart. Vee je napisała - dodałam w przeblysku natchnienia. - To wszystko jej wina.

- Znam twoje pismo, Noro.

-Okej, dobra, super - zaczęłam, próbując wymyślić inteligentną ripostę, ale trwało to zbyt długo i szansa uleciała.

- Nie byłem aresztowany - powiedział. - Nie popełniłem żadnego przestępstwa. Uniosłam brodę.

- A co z dziewczyną?

Powiedziałam sobie, że mam w nosie, co odpowie, że jest mi to zupełnie obojętne.

- To nie twoja sprawa.

-Chciałeś mnie pocałować - przypomniałam. - Więc teraz też moja.

Na jego ustach zaigrał szelmowski uśmiezek. Odniosłam wrażenie, jakby przypominał sobie ten nieskonsumowany pocałunek z najdrobniejszymi szczegółami, w tym również moje westchnienie pomieszane z jękiem.

- Eksdziewczyną - odparł po chwili.

Myśl, która pojawiła się w mojej głowie, poraziła mnie, aż podskoczyło mi w żołądku. A jeśli dziewczyna z Delphic Street i Victoria's Secret to jego eks? Może widziała, jak rozmawiam z nim w salonie gier, i omyłkowo stwierdziła, że łączy nas dużo więcej? Jeżeli Patch nadal jej się podoba, to całkiem możliwe, że łączyła za mną z zazdrości. Kilka elementów układanki zaczęło się dziwnie zgadzać...

Wtem Patch oznajmił:

- Ale jest daleko.  
- Co to znaczy: daleko?  
- Zniknęła. Nigdy nie wróci.  
- Chcesz powiedzieć, że... nie żyje? - spytałam. Nie zaprzeczył.  
Poczułam w sercu nagły i przykry ciężar. Tego się nie spodziewałam. Patch miał dziewczynę, która już nie żyje.  
Ktoś zaczął się dobijać do toalety. Zapomniałam, że zamknęłam drzwi, i teraz przeszło mi przez myśl, jak Patch się tu dostał. Albo miał zapasowy klucz, albo istniało jakieś inne wytłumaczenie. Coś, czego jednak wolałam sobie nie wyobrażać. Na przykład, że wśliznął się pod drzwiami jak powietrze. Albo dym.  
- Muszę wracać do pracy. - Ogarniając mnie spojrzeniem, na chwilę zatrzymał się poniżej bioder. - Super spódnica i zabójcze nogi.  
Zanim zdążyłam sformułować choć jedną spójną myśl, już go nie było.  
Czekająca pod drzwiami starsza kobieta popatrzyła na mnie i obejrzała się za Patchem, który zniknął w sieni.  
- Kochanie - powiedziała - jest śliski jak mydło.  
- Świetny opis - mruknęłam. Poprawiła krótkie, kręcone siwe włosy.  
- Oj, żebyś się tylko nie utopiła w pianie z tego mydła. Przebrałam się, wróciłam do boksu i usiadłam obok Vee.  
Elliot zerknął na zegarek i spojrzał na mnie pytająco.  
- Przepraszam, że tak długo - powiedziałam. - Opuściłam coś?  
- Nie - odparła Vee. - Bez zmian, bez zmian. - Trąciła mnie w kolano na znak: „No i?”.  
Zanim zdążyłam jej oddać, Elliot poinformował:  
- Nie było cię, jak zamawialiśmy, więc wziąłem dla ciebie czerwone burrito. - Uśmiechnął się tak, że ścierpła mi skóra.  
Postanowiłam wykorzystać, że zrobił to bez mojej zgody:  
- Nie dam rady nic zjeść. - Zrobiłam taką minę, jakbym miała mdłości, co nie było do końca udawane. - Zdaje się, że złapałam to samo, co Jules.  
- O kurczę, źle się czujesz? - spytała Vee. Pokiwałam głową.  
- Poszukam kelnerki i powiem, żeby ci zapakowała to burrito - zaproponowała, gmerając w torebce za kluczykami od samochodu.  
- A co ze mną? - odezwał się Elliot, na poły żartobliwie.  
- Na razie nic - odparła Vee. Bingo! - pomyślałam.

## ROZDZIAŁ 14

Wróciłam do domu tuż przed ósmą. Przekręciłam klucz w zamku, chwyciłam klamkę i naparłam biodrem na drzwi. Dzwoniłam do mamy parę godzin przed kolacją, ale jeszcze siedziała w biurze. Musiała dokończyć kilka spraw i nie była pewna, kiedy wróci, więc sądziłam, że w domu będzie cicho, ciemno i zimno. Drzwi poddały się za trzecim pchnięciem. Cisnęłam torebkę na bok i zaczęłam

walczyć z kluczem, który utkwiał w zamku. Od czasu odwiedzin Patcha zamek stał się dziwnie chciwy. Ciekawe, czy zauważyła to też Dorothea.

- Oddawaj ten durny klucz - powiedziałam, gmerając przy nim, aż w końcu klucz wyskoczył.

W mroku rozbrzmiało osiem uderzeń antycznego zegara. Kiedy wchodziłam do salonu, żeby rozpaść w piecu, gdzieś z kąta dobiegł mnie szelest ubrania i skrzypnięcie.

Wrzasnęłam.

- Nora! - zawołała mama i zrzucając koc, zerwała się z sofy. - Co się, na Boga, stało?

Jedną rękę położyłam na sercu, a drugą oparłam się o ścianę.

- Wystraszyłaś mnie!

- Przysnęłam. Gdybym usłyszała, jak wchodzisz, odezwałabym się. - Odgarnęła włosy z twarzy, mrugając jak sowa. - Która godzina?

Opadłam na najbliższy fotel, próbując przywrócić sercu normalny rytm.

Wyobraźnia podsunęła mi obraz bezwzględnych oczu ukrytych za kominiarką.

Teraz, gdy byłam już pewna, że facet nie jest wytworem mojej fantazji, ogarnęła mnie przemożna chęć opowiedzenia mamie o wszystkim. Od chwili, gdy rzucił mi się na maskę, do jego udziału w napaści na Vee. Śledził mnie i był agresywny.

Stwierdziłam, że trzeba zmienić zamki. No i logicznie rzecz biorąc, zawiadomić policję. W nocy czułabym się o wiele bezpieczniej, gdyby postawili nam pod domem policjanta w aucie.

- Chciałam z tym poczekać... - powiedziała mama, przerywając mi tok myśli - ale coś mi się zdaje, że odpowiedni moment nie nadejdzie nigdy.

Zmarszczyłam brwi. Westchnęła, zakłopotana.

- Myślę o sprzedaniu domu.

- Co?! Dlaczego?

- Od roku staram się zaciskać pasa, ale nie zarabiam tyle, na ile liczyłam.

Zastanawiałam się, czy nie wziąć drugiej pracy, ale doba jest na to za krótka. -

Roześmiała się bez cienia wesołości. - Wprawdzie pensja Dorothei jest skromna, ale nie bardzo nas na nią stać. W tej sytuacji musimy się przenieść do mniejszego domu. Albo do mieszkania.

- Przecież to nasz dom.

Byłam z nim związana tyłoma wspomnieniami. I pamięć o tacie... Nie mogłam uwierzyć, że mama tego nie czuje. Zrobiłabym wszystko, byle móc tu zostać.

- Zaczekam jeszcze trzy miesiące - obiecała mama. Ale nie rób sobie wielkich nadziei.

W jednej chwili zrozumiałam, że nie mogę jej opowiedzieć o facecie w kominiarce, bo na drugi dzień złożyłaby wymówienie i zatrudniła się gdzieś na miejscu, a wtedy sprzedaż domu byłaby nieunikniona.

- Pomówmy o czym przyjemniejszym. - Uśmiechnęła się z trudem. - Jak ci się

udała kolacja?

- Okej - odpowiedziałam ponuro.

- A Vee? Co z nią?

- Jutro wraca do szkoły. Mama uśmiechnęła się kpiąco.

- Dobrze, że złamała lewą rękę. Inaczej nie mogłaby pisać w szkole. Już sobie wyobrażam, jakby ją to zmartwiło.

- Ha, ha! Zrobię gorącą czekoladę. - Wstałam, oglądając się w stronę kuchni. - Masz ochotę?

- Świetny pomysł. Nastawię wodę.

Gdy wróciłam do pokoju z kubkami, cukrem i puszką czekolady, mama zdążyła nastawić na piecu czajnik z wodą. Przysiadłam na oparciu sofy i podałam jej kubek.

- Skąd wiedziałaś, że kochasz tatę? - spytałam, starając się, by zabrzmiało to swobodnie.

Zawsze istniało ryzyko, że rozmowa o tacie wywoła morze łez, i chciałam tego uniknąć.

Mama usadowiła się wygodniej i oparła stopy na lawie.

- Nie wiedziałam. Zrozumiałam to dopiero po roku małżeństwa.

Nie na taką odpowiedź liczyłam.

- To... czemu za niego wyszłaś?

- Bo myślałam, że jestem zakochana. A gdy ci się wydaje, że jesteś zakochana, trwasz w tym i starasz się, żeby było jak najlepiej, aż poczujesz, że to miłość.

- Bałaś się?

- Ślubu z tatą? - Roześmiała się. - To były najcudowniejsze chwile. Kupowanie sukni, rezerwowanie kaplicy, noszenie pierścionka z brylantem...

Przed oczami stanął mi figlarnie uśmiechnięty Patch.

- A bałaś się go czasem?

- Ilekroć New England Patriots przegrywali.

Zawsze gdy przegrywali New England Patriots, tato szedł do garażu i uruchamiał pilę mechaniczną. Któregoś dnia dwa lata temu wziął ją do pobliskiego lasu, ściął dziesięć drzew i porąbał je na opał. Do tej pory zużyliśmy lewie połowę zapasu. Mama klepnęła miejsce obok siebie. Usiadłam i przytuliłam się do niej, opierając głowę na jej ramieniu.

- Brak mi go - szepnęłam.

- Mnie też.

- Boję się, że zapomnę, jak wyglądał. Nie na zdjęciach, tylko jak w sobotę krzątał się w kuchni i smażył jajecznicę.

Splotłyśmy nasze palce.

- Zawsze byłaś do niego taka podobna, od samego początku.

- Naprawdę? - Wyprostowałam się. - W czym? - Tata był bystry, dobrze się uczył.

Nie był może błyskotliwy ani zbyt bezpośredni, ale ludzie go szanowali.

- A miał jakieś... tajemnice? Mama zastanowiła się chwilę.
- Skryci ludzie mają mnóstwo sekretów. Tato był bardzo otwarty.
- A miał coś z buntownika? Mama roześmiała się, zaskoczona.
- Nie żartuj! Harrison Grey, najprzystojniejszy księgowy na świecie... zbuntowany?
- Westchnęła teatralnie. - Niech Bóg broni! Dość długo nosił włosy do ramion. Jasne, falujące. Jak surfingowiec. Naturalnie cały urok psuły szylkretowe okulary. A... mogę spytać, skąd ten temat?

Nie miałam pojęcia, jak powiedzieć mamie o moich sprzecznych uczuciach do Patcha. W ogóle nie wiedziałam, od czego zacząć rozmowę. Mama na pewno zaczęłaby wy pytywać o szczegóły: imiona rodziców, średnią ocen, sporty, które uprawiał w szkole, i na jaką uczelnię się wybiera. Tym bardziej nie chciałam jej mówić o swoich podejrzeniach wobec niego.

- Poznałam kogoś - odparłam, nie mogąc na myśl o tchu powstrzymać uśmiechu.
- Spotykamy się trochę. Przeważnie szkolne sprawy.
- Aaa, chłopiec - rzekła tajemniczo mama. - No i? Należy do klubu szachowego? Do rady uczniowskiej? Drużyny tenisa?
- Lubi się pływać w... - zaczęłam z nadzieją, mając na myśli bilardowe rozgrywki.
- Ach, pływak! Taki słodki jak Michaci Phelps? Chociaż, jak chodzi o walory, to ja wolę Ryana Lochte'a.

Po namyśle stwierdziłam, że lepiej będzie nie poprawiać mamy. „Pływać się” i „pływać” brzmi przecież tak podobnie.

Zadzwoił telefon i mama wyciągnęła się, by podnieść słuchawkę. Po dziesięciu sekundach rozmowy znów klapnęła na sofę i uderzyła się ręką w czoło.

- Nie, nie ma sprawy. Podjadę, wezmę to i przyniosę rano.
- Hugo? - zapytałam, gdy się rozłączyła.

Hugo był szefem mamy i - delikatnie mówiąc - wydzwaniał do niej cały czas. Kiedyś nawet wezwał ją do pracy w niedzielę, bo nie mógł sobie poradzić z kserokopiarką.

- Zostawił w biurze jakieś niedokończone dokumenty i chce, żebym przyjechała. Muszę zrobić kopie, ale myślę, że wrócę do godziny. Skończyłaś zadanie?
- Jeszcze nie.
- Więc będę sobie powtarzać, że nawet gdybym została, nie posiedziałybyśmy razem. - Wzdychając, wstała. - Do zobaczenia za godzinę.
- Powiedz Hugonowi, żeby ci więcej płacił. Roześmiała się.
- Dużo więcej.

Gdy tylko zostałam sama, sprzątnęłam z kuchennego stołu naczynia, które stały od śniadania, i ułożyłam na nim stosik podręczników: do angielskiego, historii i biologii. Uzbrojona w nowiutkie ołówki numer dwa, otworzyłam pierwszą książkę i wzięłam się do roboty.

Kwadrans później mój umysł się zbuntował, odmawiając strawienia kolejnego akapitu na temat europejskich systemów feudalnych. Zaczęłam rozmyślać, co



Patch robi po pracy. Odrabia zadania? Mało prawdopodobne. Je pizzę, oglądając w telewizji koszykówkę? Chyba też wątpliwe. Stawia zakłady i gra w bilard w Bo's Arcade? Tak, zdecydowanie.

Raptem nabrałam ochoty, żeby pojechać do Bo's Arcade i powiedzieć mu, że nie czuję się ani trochę winna, ale uzmysłowiłam sobie, że przecież nie mam czasu. Zresztą nie zdążyłabym wrócić do domu przed mamą. W dodatku Patch nie był facetem, którego bym mogła ot tak sobie odszukać i zagadnąć. Dotąd to on, nie ja, ustalał warunki naszych spotkań. Zawsze.

Poszłam na górę, żeby się przebrać w coś wygodnego. Pchnęłam drzwi swojego pokoju, zrobiłam trzy kroki i zamarłam. Drzwiczki toaletki były rozbebeszone, a ubrania, książki i ramki ze zdjęciami walały się po podłodze. Materac był rozpruty. Otwarte drzwi łazienki ledwie się trzymały na zawiasach.

Zobaczyłam jakieś odbicie w oknie i obróciłam głowę. Stał pod ścianą naprzeciw mnie, ubrany od stóp do głów na czarno, w kominiarce. Gdy mój nieprzytomny mózg zaczął przysyłać nogom komunikat: „Wiej!”, facet rzucił się do okna, otworzył je i zwinnie wyskoczył.

Jak szalona ruszyłam na dół, nie trzymając się poręczy, pognałam przez sień do kuchni i wykręciłam dziewięćset jedenaście.

Piętnaście minut później na podjeździe stanął radiowóz. Roztrzęsiona, wpuściłam dwóch policjantów. Jeden był niski, gruby i szpakowaty. Drugi - wysoki i szczupły i miał włosy prawie tak ciemne jak Patch, tylko że wystrzyżone nad uszami. Dziwnie go przypominał. Południowa cera, regularne rysy i niepokojący błysk w oczach.

Przedstawili się. Brunet nazywał się detektyw Basso. A jego kolega - detektyw Holstijic.

- Nora Grey? - spytał detektyw Holstijic. Skinęłam.
- Rodzice są w domu?
- Mama wyjechała parę minut przed moim telefonem.
- Czyli jesteś sama? Znów skinienie.
- Opowiedz nam, co się wydarzyło - powiedział Holstijic, zakładając ręce i stając w rozkroku, a Basso ruszył rozejrzeć się po domu.
- Wróciłam o ósmej i odrabiałam zadanie - odpowiedziałam. - Gdy weszłam do swojego pokoju, zobaczyłam mężczyznę i pobjowisko.
- Rozpoznałaś go?
- Miał kominiarkę. I światło było wyłączone.
- Jakies znaki szczególne? Tatuaze?
- Nie.
- Wzrost? Waga?

Niechętnie pogrzebałam w pamięci. Nie chciałam na nowo przeżywać tego, co się stało, ale dla policjantów liczył się najdrobniejszy szczegół.

- Był przeciętnej budowy, ale dość wysoki. Mniej więcej wzrostu detektywa

Basso.

- Mówił coś? Pokręciłam głową.

Znów pojawił się Basso i powiedział do kolegi:

- Tutaj jest czysto.

Wyszedł na piętro. Kiedy zaglądał do pokoi, skrzypiały klepki w podłodze. Detektyw Holstijic otworzył drzwi od frontu i przykucnął, żeby przyjrzeć się zamkowi.

- Czy kiedy wróciłaś do domu, drzwi były otwarte albo uszkodzone? - spytał.

- Nie, otworzyłam je kluczem. Mama spała w salonie. Na szczycie schodów pojawił się detektyw Basso, mówiąc:

- Możesz nam pokazać szkody?

Holstijic i ja weszliśmy na górę. Basso stał w głębi korytarza w drzwiach i wsparłszy ręce na biodrach, lustrował mój pokój.

Zajrzałam do środka i przeszły mnie ciarki. Łóżko było pościelone. Pizama leżała na poduszce złożona, tak jak ją zostawiłam. Drzwiczki toaletki były zamknięte, a zdjęcia na niej równo poustawiane. Skrzynia pod łóżkiem - zamknięta. Podłoga czysta. Zasłony zwisały z obu stron okna gładko, nieruszone.

- Mówisz, że widziałaś intruza - powiedział detektyw Basso, patrząc na mnie badawczo, bez drgnienia powieki, wyczulony na każde kłamstwo.

Weszłam do pokoju, ale nie wydawał mi się już przyjazny i przytulny. Czaiło się w nim coś złego. Wskazałam okno, próbując opanować drżenie ręki.

- Gdy weszłam, wyskoczył tędy. Detektyw Basso wyjrzał przez okno.

- Wysoko tu - zauważył. - Zamknęłaś je, kiedy uciekł?

- Nie. Zbiegłam na dół i zadzwoniłam na dziewięćset jedenaście.

- Ktoś musiał je zamknąć. - Wciąż miał groźne spojrzenie i zacięte usta.

- Nie sądzę, żeby ktokolwiek mógł uciec po takim skoku - powiedział, podchodząc do niego, detektyw Holstijic. W najlepszym razie złamałby nogę.

- Może nie wyskoczył, tylko zszedł po drzewie - zasugerowałam.

Basso odwrócił się gwałtownie.

- No więc? Zdecyduj się. Zszedł czy skoczył? A może przeszedł obok ciebie i wybiegł frontowymi drzwiami? To byłoby najrozsądniejsze. Ja bym tak zrobił.

Pytam jeszcze raz. Uważnie się zastanów. Czy na pewno tu kogoś widziałaś?

Nie wierzył mi. Uznał, że wszystko zmyśliłam. Przez chwilę sama byłam gotowa też tak pomyśleć. Co ze mną nie tak? Czyżbym miała zaburzone widzenie rzeczywistości? Dlaczego nic nie zgadza się z prawdą? Żeby nie zwariować, powiedziałam sobie, że to nie ze mną jest coś nie w porządku. Tylko z nim.

Facetem w kominiarce. Robił to. Nie wiem jak, ale na pewno był winny.

Detektyw Holstijic przerwał pełną napięcia ciszę, mówiąc:

- Kiedy wrócą rodzice?

- Mieszkam z mamą. Musiała jechać do biura.

- Musimy wam zadać kilka pytań - ciągnął. Wskazując łóżko, dał mi znak, bym

usiadła, ale obojętnie pokręciłam głową. - Czy niedawno rozstałaś się z chłopakiem?

- Nie.

- A narkotyki? Jesteś albo byłaś uzależniona?

- Nie.

- Powiedziałaś, że mieszkasz z mamą? A ojciec? Gdzie jest?

- To pomyłka - odparłam. - Przepraszam, nie powinnam była dzwonić.

Policjanci spojrzeli na siebie. Detektyw Holstijic przymknął powieki i rozmasował kąciki oczu koło nosa. Basso wyglądał tak, jakby stracił za dużo czasu i chciał się jak najszybciej wynieść.

- Mam robotę - powiedział. - Dasz sobie sama radę do powrotu mamy?

Prawie go nie usłyszałam. Nie mogłam oderwać wzroku od okna. Jak on to robił?

Na znalezienie drogi powrotnej i posprzątanie pokoju przed przybyciem policji miał piętnaście minut! A ja przez cały czas byłam na dole... Wzdrygnęłam się na myśl, że byłam z nim w domu sama.

Detektyw Holstijic wyciągnął wizytówkę.

- Niech mama zadzwoni do nas, kiedy wróci.

- Sami się odprowadzimy - dodał detektyw Basso, już w połowie korytarza.

## ROZDZIAŁ 15

- Myślisz, że Elliot kogoś zamordował?

- Ciszej! - syknęłam na Vee, oglądając się na rzędy stołów, czy ktoś przypadkiem nie słyszy.

- Bez obrazy, kochana, ale zaczyna mnie to bawić. Najpierw napadł na mnie.

Teraz jest mordercą. Sorry, ale Elliot?! Elliot mordercą? Według mnie to superfajny facet. Przypominasz sobie, żeby choć raz nie przytrzymał ci drzwi? No właśnie, właśnie, nigdy.

Byłyśmy w sali biologicznej. Vee położyła się na stole twarzą do góry. Uczyliśmy się mierzyć ciśnienie i miała odpocząć w ciszy przez pięć minut. Normalnie pracowałabym z Patchem, ale trener dał nam wolny dzień, to znaczy każdy mógł sobie wybrać, z kim chce siedzieć. Ja i Vee byłyśmy na końcu klasy, a Patch - z przodu, z przypakowanym Thomasem Rookerym.

- Przesłuchiwali go jako podejrzanego w sprawie o zabójstwo - szepnęłam, czując, że trener kieruje wzrok w naszą stronę. Skreśliłam kilka słów na arkuszu biologicznym. „Pacjent jest spokojny i rozluźniony. Pacjent stara się nie mówić do trzech i pół minuty”. - Policja oczywiście uznała, że miał motyw i sposób.

- Jesteś pewna, że to ten Elliot?

- Jak myślisz, ilu Elliotów Saundersów chodziło w lutym do ogólniaka w Kinghorn?

Vee pogładziła się palcami po brzuchu.

- Jakieś to wszystko nieprawdopodobne. A nawet gdyby był przesłuchiwany, to

co? Liczy się, że go wypuścili. Uznali za niewinnego.

- Bo policja znalazła list samobójczy Halverson. -Jakiej znów Halverson?

- Kjirsten Halverson - odparłam niecierpliwie. - Dziewczyny, która się rzekomo powiesiła.

- Może się powiesiła. Pewnego dnia stwierdziła, że życie jest do dupy, i uwiązała się na drzewie. Przecież tak się zdarza.

- Gdy znaleźli list, mieszkanie miało ślady włamania, nie wydaje ci się, że to za duży zbieg okoliczności?

-Mieszkała w Portland. A tam włamania to normalka.

- Według mnie ktoś wtedy ten list podłożył. Ktoś, kto chciał zdjąć podejrzenie z Elliota.

- A to niby czemu? - zapytała Vee. Spojrzeniem zakomunikowałam jej: „Ech, durna”. Vee wsparła się na zdrowym łokciu.

- Chcesz powiedzieć, że Elliot wciągnął Kjirsten na drzewo, zawiązał jej sznur na szyi, zepchnął ją z gałęzi, a potem włamał się do jej mieszkania i zostawił dowód wskazujący samobójstwo?

- A niby czemu nie?

Teraz ona spojrzała na mnie kąpiąco. -Temu, że gliny już wszystko przebadaly. Skoro oni uważają, że to było samobójstwo, to ja też.

- Posłuchaj - powiedziałam. - Parę tygodni po tym, jak wykluczyli go ze śledztwa, Elliot zmienił szkołę. Kto by się chciał przenieść z Kinghorn do naszej budy?

- Masz rację.

- Myślę, że chce uciec przed przeszłością i że nie byłoby mu za wesoło na kampusie, gdzie wykończył Kjirsten. Ma nieczyste sumienie. - Przytknęłam ołówek do ust. – Muszę się wybrać do Kinghorn i popytać ludzi. Umarła zaledwie dwa miesiące temu. na pewno tam jeszcze huczy na ten temat.

- Sama nie wiem, Nora. Mam złe przeczucia co do szpiegowskiej operacji w Kinghorn. To znaczy, masz zamiar wypytywać konkretnie o Elliota? A jak się dowie? Co po myśli?

Spojrzałam na nią z góry.

- Będzie miał powód do zmartwienia, tylko jeśli jest winny.

- A potem cię zabije, żebyś go nie wydała. - Vee uśmiechnęła się jak kot z Cheshire. Ja nie. - Tak samo jak ty chcę się dowiedzieć, kto na mnie napadł - dodała poważniejszym tonem - ale mogę się założyć, o co chcesz, że to nie był Elliot. Odtwarzałam to w pamięci chyba ze sto razy. I nie pasuje. Ani trochę. Wierz mi.

- Okej, może Elliot cię nie zaatakował - odpowiedziałam, chcąc ją udobruchać, a nie bronić honoru Elliota. - I tak wiele przemawia przeciwko niemu. Chociażby to, że był za mieszany w śledztwo w sprawie morderstwa. Poza tym, jest jakiś za miły. To przerażające. No i koleguje się z Julesem.

Vee nachmurzyła się.

- A co masz do Julesa?

- To chyba trochę dziwne, że ilekroć się z nimi spotyka, Jules zawsze się wymiksowuje.

- I co z tego?

- Jak pojechaliśmy do Delphic, prawie natychmiast się ulotnił. A wrócił? Czy, kiedy poszłam po watę, Elliot go znalazł?

- No nie, ale pewno miał coś nie tak z kanalizacją.

- A zeszłego wieczoru wymówił się chorobą. - W zadumie potarłam nos gumką na ołówku. - Coś często choruje...

- Za dużo analizujesz. Może... cierpi na ZJW. -ZJW?

- Zespół jelita wrażliwego.

Odrzuciłam sugestię Vee, by skupić się na myśli, która mi przed sekundą uleciała. Ogólniak w Kinghorn był oddalony o co najmniej godzinę drogi samochodem. Jeśli panuje tam taki rygor, jak opowiadał Elliot, to jakim cudem Jules zawsze miał czas na wycieczki do Coldwater? Prawie codziennie rano, jadąc do szkoły, widziałam go z Elliotem w bistrze Enzo. A po szkole podrzucił Elliota do domu. Tak jakby Elliot miał go w ręku.

Ale to nie wszystko. Potarłam nos z furją. O czym zapomniałam?

- Dlaczego Elliot miałby zabić Kjirsten? - zastanowiłam się na głos. - Może była świadkiem, jak przekracza prawo, więc ją zabił, żeby się nie wygadała?

Vee westchnęła.

- Pomału zmierzamy do krainy To Całkiem Bez Sensu.

- Jest jeszcze coś. Coś, czego nie widzimy.

Vee spojrzała na mnie tak, jakby moje logiczne myślenie wybrało się na urlop w kosmos.

- Osobiście uważam, że za dużo ci się wydaje. To zaczyna przypominać polowanie na czarownice.

I wtedy do mnie dotarło, o czym zapomniałam. Dręczyło mnie to od rana, dzwoniło gdzieś z zakamarków myśli, ale byłam za bardzo pochłonięta resztą. Detektyw Basso pytał, czy czegoś nie brakuje. I wreszcie uzmysłowiłam sobie, że TAK. Wczoraj wieczorem położyłam artykuł o Eliocie na toalecie. Ale rano - na wszelki wypadek sprawdziłam w pamięci - nie było go tam. Z całą pewnością.

- O rany! - wyszeptałam. - To Elliot włamał się do domu. Na pewno! Ukradł artykuł.

Artykuł leżał na widoku, więc to oczywiste, że Elliot wywrócił pokój do góry nogami, żeby mnie nastraszyć albo ukarać za to, że odkryłam jego sekret.

- Chwila, co?! - zdziwiła się Vee.

- Wszystko w porządku? - spytał trener, zatrzymując się przy mnie.

- No właśnie, w porządku? - zawtórowała Vee, wskazując mnie i śmiejąc się za jego plecami.

- Yyy... pacjent chyba nie ma tętna. - Wykręciłam Vee rękę.

Gdy trener sprawdzał jej puls, robiła omdlewające ruchy i wachlowała się dłonią. Trener spojrzał na mnie spod okularów.

- Zobacz, Noro. Puls głośny i szybki. Czy aby na pewno pacjent starał się nie ruszać i nie mówić przez całe pięć minut? Ma szybsze tętno, niż się spodziewałem.

- Pacjent ma mały problem z zachowywaniem milczenia - wtrąciła się Vee. - Poza tym pacjentowi trudno się wyluzować na stole twardym jak skała. Pacjent chciałby zaproponować zamienienie się rolami, tak żeby teraz Nora została pacjentem. - Vee wyrwała mi się i usiadła prosto.

- Obym tylko nie musiał żałować, że pozwoliłem wam dobrać się samodzielnie - upomniał trener.

- Obym tylko nie pożałowała, że przyszłam dziś do szkoły - odpowiedziała słodko Vee.

Trener zerknął na nią ostrzegawczo i podniósł mój arkusz, przebiegając wzrokiem prawie pustą stronę.

- Pacjent przyrównuje salę biologiczną do przedawkowania środków uspokajających na receptę - oznajmiła Vee.

Trener zagwizdał i oczy wszystkich zwróciły się w naszą stronę.

- Patch? - powiedział. - Mógłbyś zastąpić koleżankę. Zdaje się, że nie ma ochoty współpracować.

- Jejku, tylko tak żartowałam - rzekła szybko Vee. - Już się biorę do roboty.

- Trzeba było o tym pomyśleć przed kwadransem - upomniał ją trener.

- Niech mi pan wybaczy - poprosiła, anielsko trzepocąc rzęsami.

Trener wsunął jej zeszyt pod zdrową rękę.

- Nie.

- Przepraszam - bezgłośnie powiedziała do mnie przez ramię, ruszając niechętnym krokiem na przód klasy.

Po chwili Patch usiadł na stole obok mnie. Lekko splótłszy dłonie między kolanami, bacznie mi się przyglądał.

- No co? - zapytałam, wytrącona z równowagi jego opanowaniem.

Uśmiechnął się.

- Przypomniały mi się buty z rekiniej skóry, wczoraj. Jak zwykle przy nim zatrzepotało mi w żołądku i jak zawsze nie wiedziałam, czy to dobrze, czy źle.

- Jak ci minął wieczór? - spytałam w miarę obojętnie, starając się przełamać lody. Kwestia moich szpiegowskich przygód nadal nie była między nami załatwiona.

- Ciekawie. A tobie?

- Nie za bardzo.

- Wykończyło cię zadanie, hm? Wyśmiewał się ze mnie.

- Nie robiłam zadania.

Przybrał uśmiech lisa.

- To z kim to robiłaś?

Na sekundę odebrało mi mowę. Stałam, rozchyliwszy lekko usta.

- Czy to aluzja?

- Ciekawe, jakiego mam rywala.

- Nie bądź dzieckiem. Rozpromienił się.

- Wyluzuj.

-Już i tak zadarłam z trenerem, więc bądź tak miły i skupmy się na ćwiczeniu.

Nieszczególnie chcę być pacjentem, więc jeśli nie masz nic przeciwko... -

Skinieniem wskazałam mu stół.

- Nie mogę - odpowiedział. - Nie mam serca. Stwierdziłam, że nie było to dosłowne. Położyłam się na stole, z rękoma na brzuchu.

- Powiedz, kiedy minie te pięć minut. Zamknęłam oczy, by nie widzieć, jak się w nie wpatruje. Parę chwil później leciutko rozchyliłam jedno.

- Czas minął - oświadczył Patch.

Uniosłam trochę nadgarstek, by mi zbadał tętno. Ujął mnie za dłoń. Ramię gwałtownie ogarnęła fala żaru i ścisnęło mnie w żołądku.

- Tętno pacjenta podniosło się przy dotyku - powiedział.

- Nie zapisuj tego - zamiast oburzenia wyszło to tak, jakbym hamowała uśmiech.

- Trener wymaga od nas skrupulatności.

- O co ci chodzi? - zapytałam.

Nasze oczy się spotkały. Widać było, że w duchu się uśmiecha.

-Oprócz, no wiesz, tego - dodałam.

Po lekcjach poszłam na umówione spotkanie do gabinetu pani Greene. Po sesji doktor Hendrickson zawsze zostawiał drzwi szeroko otwarte, zapraszając w ten sposób do siebie uczniów. Ilekroć ostatnio przechodziłam ten odcinek korytarza, drzwi były zamknięte. Jej ukryty komunikat brzmiał więc „nie przeszkadzać”.

- Nora - powiedziała, otwierając drzwi, kiedy zapukałam - wejdź, proszę. Usiądź.

Tym razem w gabinecie wszystko było rozpakowane. Pani Greene go udekorowała. Postawiła jeszcze kilka roślin w doniczkach, a nad jej biurkiem wisiały w rzędzie botaniczne litografie w ramkach.

- Dużo myślałam o tym, co mi powiedziałaś tydzień temu - zagaiła. - I doszłam do oczywistego wniosku, że powinniśmy zbudować relację opartą na wzajemnym zaufaniu i szacunku. Nie będziemy poruszać tematu ojca, chyba że sama do niego wrócisz.

- Dobrze - odparłam ostrożnie. Ciekawe, o czym w takim razie będziemy rozmawiały?

- Dotarły do mnie dość niepokojące wieści - ciągnęła. Jej uśmiech przybladł.

Pochyliła się do mnie, opierając łokcie na biurku. Zaczęła obracać w dłoniach ołówek. - Nie chciałabym wtrącać się w twoje życie osobiste, Noro, ale sądzę, że dość jasno wyraziłam się na temat twojej znajomości z Pa tchem.

Nie miałam pojęcia, do czego zmierza.

- Nie pomagam mu w nauce. Właściwie co jej do tego?

- W sobotę wieczorem Patch podwiózł cię do domu z Delphic Seaport. A ty zaprosiłaś go do środka.

Tłumiąc sprzeciw, o mało się nie zakrztusiłam.

- Skąd pani o tym wie?

-Jako szkolny psycholog powinnam udzielać ci porad - odpowiedziała pani Greene. - Obiecuj mi, proszę, że będziesz na niego bardzo, ale to bardzo uważać. - Spojrzała na mnie, jakby czekając, że złożę taką przysięgę.

-To trochę skomplikowane - odparłam. - Zgubiłam w Delphic koleżankę, która mnie tam zawiozła. Nie miałam wyboru. Wcale nie szukam okazji do spotkań z Patchem.

No, może z wyjątkiem wczorajszego wieczoru w Granicy. Naprawdę nie spodziewałam się, że go tam spotkam. Miału go nie być w pracy.

- Cieszę się, że to słyszę - powiedziała pani Greene, wyraźnie niezbyt przekonana o mojej niewinności. - A skoro z tym problemem już się uporałyśmy, to czy jest coś jeszcze o czym dzisiaj chciałabyś porozmawiać? Może coś leży na sercu?

Ani myślałam mówić pani Greene, że Elliot włamał mi się do domu. Nie ufałam jej. Trudno mi to określić, ale coś mnie w niej drażniło. I nie podobały mi się jej ciągle sugestie, że Patch jest niebezpieczny. Tak jakby w ten sposób realizowała program.

Podniosłam plecak z podłogi i otworzyłam drzwi.

- Nie - odpowiedziałam.

## ROZDZIAŁ 16

Vee opierała się o moją szafkę, gryzmołąc po swoim gipsie fioletowym flamastrem.

- Cześć - powiedziała, gdy do niej podeszłam. - Gdzie byłaś? Szukałam cię w redakcji e-zinu i w bibliotece.

- Miałam spotkanie z panią Greene, nową psycholożką - odparłam rzeczowo, choć czułam się jakaś wydrażona i rozedrgana.

Męczyła mnie myśl, że Elliot włamał się do domu. Cóż by mu szkodziło to powtórzyć? Albo zrobić coś jeszcze gorszego?

- Co się stało? - zapytała Vee.

Ustawiłam szyfr zamka, otworzyłam szafkę i wymieniałam książki.

- Ile może kosztować dobry system alarmowy?

- Nie obraż się, kochana, ale kto by chciał ukraść twoje auto?

Sporunowałam ją spojrzeniem.

- Chodzi o dom. Muszę się zabezpieczyć przed Elliotem. Vee rozejrzała się i chrząknęła.

- Co? - nie zrozumiałam. Podniosła ręce.

-Nic. Nic. Skoro się uparłaś, że to Elliot... Niech ci będzie. To całkiem bez sensu,



ale proszę bardzo.

Zatrzasnęłam szafkę tak głośno, że po korytarzu przeszło echo.

Powstrzymawszy się przed ripostą, że akurat ona powinna mi wierzyć, odpowiedziałam:

-Jadę do biblioteki i trochę się spieszę.

Po wyjściu z budynku ruszyliśmy na parking, gdy nagle przystanąłam.

Rozejrzałam się, szukając fiata, i wtedy przy pomniałam sobie, że mama podrzuciła mnie do szkoły po drodze do pracy. A Vee ze złamaną ręką nie mogła prowadzić.

- Cholera - powiedziała, czytając w moich myślach. Nie mamy auta.

Zasłaniając oczy przed słońcem, spojrzałam na ulicę

- Więc będziemy musiały pójść na piechotę.

- Nie my, tylko ty. Poszłabym, ale mój limit biblioteczny wynosi raz w tygodniu.

- W tym tygodniu jeszcze nie byłeś w bibliotece - zauważyłam.

- Tak, ale może będę musiała pójść jutro.

- Jutro jest czwartek. Czy ty chociaż raz w życiu uczyłaś się w czwartek?

Vee przytknęła palec do warg i przybrała zamyśloną minę

- A czy choć raz w życiu uczyłam się w środę? -Ja sobie nie przypominam.

- Sama widzisz. Nie idę. Byłoby to wbrew tradycji. Pół godziny później pobiegłam po schodach do głównych drzwi biblioteki. Gdy tylko znalazłam się w środku, odłożyłam zadanie na później i skierowałam się prosto do sali komputerowej, gdzie przeczesalam internet w poszukiwaniu czegoś więcej na temat „Powieszenia w Kinghorn”. Nie znalazłam wiele. Z początku było wielkie zamieszanie wokół tej sprawy, ale po odkryciu listu samobójczego i wypuszczeniu Elliota prędko o wszystkim zapomniano.

Nadeszła pora, aby wybrać się do Portland. Stwierdziłam, że grzebanie w archiwalnych notatkach gazetowych nic nie da, ale może będę miała więcej szczęścia, gdy popytam ludzi.

Wylogowałam się i zadzwoniłam do mamy.

- Muszę być w domu na dziewiątą?

- Tak, a co?

- Chcę się wybrać autobusem do Portland...

Mama roześmiała się, komunikując: „Jeszcze nie zwariowałam”.

- Muszę pogadać z paroma uczniami prywatnego ogólniaka w Kinghorn - powiedziałam. - W ramach zadania domowego.

Nie do końca było to kłamstwo. Oczywiście byłoby mi znacznie prościej uzasadnić mamie pomysł wycieczki, gdybym nie czuła się winna, że zataiłam przed nią włamanie i odwiedzinę policji. Już nawet myślałam, żeby jej o wszystkim opowiedzieć, ale ilekroć otwierałam usta, słowa umykały. Ledwie wiązałyśmy koniec z końcem. W tej sytuacji dochody mamy były nam niezbędne. Gdybym powiedziała jej o Elliocie, z miejsca rzuciłaby pracę.

- Nie możesz jechać do miasta sama. Rano masz szkołę, poza tym niedługo się ściemni. Nie mówiąc o tym, że gdy tam dotrzesz, w szkole nikogo już nie będzie. Westchnęłam.

- Okej, zaraz wracam.

- Wprawdzie obiecałam, że cię odbiorę, ale znów utknęłam w biurze. - Cały czas szurала papierami. Wyobraziłam sobie, że trzyma słuchawkę pod brodą, kilka razy owinięta kablem. - Mogłabyś wrócić pieszo?

Pogoda była znośna; miałam dzinsową kurtkę i dwie nogi. Mogłam iść na piechotę. Na samą myśl o powrocie do domu robiło mi się zimno, ale alternatywą było tylko spędzenie nocy w bibliotece.

Zbliżając się do drzwi wyjściowych, usłyszałam, że ktoś mnie woła. Odwróciłam się i zobaczyłam, że biegnie za mną Marcie Millar.

- Słyszałam o Vee - powiedziała. - To bardzo smutne. Kto by ją chciał napadać? Chyba że, no wiesz, nie miał i innego wyjścia. Działał w samoobronie. Podobno było ciemno i padało, więc pewno wziął ją za łosia. Albo niedźwiedzia czy bawołu. Właściwie to można ją pomylić z każdym ciężkim zwierzęciem.

- Przeżyło się rozmawia, ale mam na głowie masę ważniejszych spraw. Na przykład wsadzenie ręki do kuchennego rozdrabniacza - odparłam, zmierzając do drzwi.

- Żeby tylko nie jadła tych szpitalnych posiłków – dodała Marcie, deptając mi po piętach. - Podobno są wysokotłuszczowe. Nie wytrzymałaby już większej wagi. Obróciłam się.

- Dosyć. Jeszcze słowo, a... - Obie wiedziałyśmy, że tu pusta pogroźka.

Marcie uśmiechnęła się głupkowato.

- Co?

- Maszkara - odparłam.

- Palantka.

- Zdzira.

- Dziwoląg.

- Anorektyczny prosiak.

- Ojej! - Marcie zachwiała się melodramatycznie, przyciśniętą ręką do serca. - Mam się poczuć obrażona? Uważaj, bo się jeszcze zdziwisz. Ja przynajmniej umiem nad sobą zapanować.

Stojący przy drzwiach ochroniarz odchrząknął.

- Uspokójcie się! Załatwcie to na zewnątrz, bo jak nie, wezmę was do dyżurki i zadzwonię do rodziców.

- Niech pan z nią rozmawia. - Wskazała na mnie Marcie. - Akurat ja staram się być miła. To ona naskoczyła na mnie, a ja tylko chciałam, żeby przekazała koleżance wyrazy współczucia.

- Powiedziałem: na zewnątrz.

- Świetnie panu w mundurze - powiedziała Marcie z charakterystycznym

uśmiechem pełnym jadu.

Ochroniarz skinął na drzwi.

- Wynocha.

Nie zabrzmiało to zbyt szorstko.

Marcie skierowała się do drzwi rozkołysanym krokiem.

- Mógłby mi pan otworzyć? Nie mam wolnej ręki. - Trzymała jedną książkę i to w miękkiej oprawie.

Ochroniarz nacisnął guzik dla inwalidów i drzwi rozsunęły się automatycznie.

- Dzięki. - Marcie posłała mu całusa.

Nie poszłam za nią. Nie byłam pewna, co bym wtedy zrobiła, ale wypełniało mnie tyle negatywnej energii, że mogłabym tego gorzko pożałować. Wyzwiska i klótnie były poniżej mojej godności. Chyba że miałam do czynienia z Marcie Millar.

Odwróciwszy się na pięcie, zawróciłam do biblioteki. Weszłam do metalowej klatki windy i przycisnęłam guzik „sutereny”. Mogłam wprawdzie odczekać kilka minut, aż Marcie sobie pójdzie, ale postanowiłam opuścić budynek inną drogą.

Przed pięciu laty władze Coldwater wyraziły zgodę na przeniesienie biblioteki publicznej do historycznego budynku na starówce. Kamienica, wzniesiona z czerwonej cegły w latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, miała romantyczną kopułę, a na dachu taras do oglądania wpływających do zatoki statków. Niestety, wokół nie było miejsca na parking, więc wykopano tunel łączący bibliotekę z podziemnym garażem sądu po drugiej stronie ulicy, który służył teraz obu instytucjom.

Winda zatrzymała się z brzękiem. Wysiadłam. Tunel oświetlały mrugające bladofioletowo lampy fluorescencyjne. Nie weszłam od razu do środka, uderzona nagłą myślą o nocy, kiedy umarł tato. Ciekawe, czy ulica, na której to się stało, była tak długa i mroczna jak tunel przede mną...

Weź się w garść, powiedziałam sobie w duchu. To był przypadkowy akt przemocy. Od roku panikujesz na widok każdej ciemnej alejki, ciemnego pokoju czy szafy. Nie możesz przeżyć reszty życia w strachu, że ktoś celuje do ciebie z rewolweru.

Zdecydowana udowodnić sobie, że cały strach jest tylko wytworem mojej wyobraźni, ruszyłam w głąb tunelu. Buty leciutko stukały o beton. Przekładając plecak na lewe ramię, oszacowałam, ile zajmie mi dotarcie do domu na piechotę i zastanowiłam się, czy powinnam o zmierzchu pójść na skróty przez tory.

Postanowiłam zająć czymś myśli, żeby się nie skupiać na rosnącym niepokojem.

Na końcu tunelu wyrósł przede mną jakiś ciemny kształt.

Przystanęłam w pół kroku. Serce zabiło mocniej. Patch miał na sobie czarny T-shirt, luźne dżinsy i buty ze stalowymi czubkami. Jego oczy nie wyglądały przyjaźnie; chytry uśmiech też nie dodał mi otuchy.

- Co tu robisz? - Odgarnęłam włosy z twarzy i spojrzałam w kierunku wiodącego w górę wyjazdu dla samochodów. Wiedziałam, że mam go przed sobą, ale kilka

lamp nie działało i nie było go dobrze widać. Jeśli Patch zamierzał popełnić gwałt, morderstwo albo inne niegodziwe czyny to udało mu się zapędzić mnie w wymarzone miejsce.

Gdy ruszył w moją stronę, zaczęłam się przed nim cofać. Nagle zatrzymałam się przy jakimś aucie, czując, że nie wszystko stracone. Wsunęłam się za nie, tak żeby nas dzieliło.

Patch spojrzął na mnie nad dachem samochodu. Jego brwi się uniosły.

- Mam do ciebie pytania - powiedziałam. - Masę pytań.

- Na jaki temat?

- Na każdy.

Zadrżały mu wargi, jakby próbował stłumić uśmiech.

- A jeśli moje odpowiedzi cię nie zadowolą, zwiejesz? -Wskazał głową wyjazd z garażu.

Taki miałam plan. Dość prowizoryczny, wzięwszy pod uwagę parę oczywistych trudności - jak choćby fakt, że był ode mnie dużo szybszy.

- Pytaj, słucham.

- Skąd wiedziałeś, że będę dzisiaj w bibliotece?

- Domyśliłem się.

W życiu bym nie uwierzyła, że znalazł się tu pod wpływem zwykłego przecucia. Miał instynkt drapieżnika. Gdyby dowiedziała się o nim armia, na pewno zrobiłaby wszystko, żeby go zwerbować.

Gwałtownie rzucił się w bok. Kontruując jego ruch, pomknęłam w drugą stronę.

Kiedy się zatrzymał, ja też się zatrzymałam. Teraz stał z przodu samochodu, a ja z tyłu.

- Gdzie byłeś w niedzielne popołudnie? - spytałam. -Śledziłeś mnie, gdy poszłam z Vee na zakupy?

Być może to nie Patch był facetem w kominiarce - ale to nie wykluczało jego udziału w ostatnich niepokojących zdarzeniach. Coś przede mną ukrywał. Odkąd się poznaliśmy, coś przede mną ukrywał. Czy to zbieg okoliczności, że do tego brzemiennego w skutki dnia moje życie toczyło się normalnym trybem? Chyba nie.

- Nie. A jak się udały? Kupiłaś coś?

- Może - odpowiedziałam zbity z tropu.

- To znaczy?

Zastanowiłam się. Dotarłam z Vee zaledwie do Victoria`s Secret. Wydałam trzydzieści dolarów na czarny koronkowy stanik, ale nie miałam zamiaru dzielić się tym akurat z Patchem. Opowiedziałam mu, jak wyglądał wieczór - od chwili, gdy zaczęło mi się wydawać, że jestem śledzona do znalezienia na poboczu poturbowanej Vee.

- No i? - spytałam, kończąc. - Masz coś do powiedzenia?

- Nie.

- Nie wiesz, co się przydarzyło Vee?

- Nie wiem.

- Nie wierzę ci.

- Bo jesteś nieufna. - Oparł się dłońmi o maskę. - Już to przerabialiśmy.

Wkurzyłam się. Patch znowu zmienił temat. Zamiast skupić się na nim, znów zajmowali się mną. Najbardziej irytująca była świadomość, że wie o mnie różne rzeczy. I to osobiste. Na przykład, że nie ufam ludziom.

Znów zaczął mnie gonić dookoła samochodu. Zatrzymałam się równocześnie z nim. Gdy przystanęliśmy, wbił we mnie wzrok, jakby próbując wyczytać z moich oczu co za chwilę zrobię.

- A co się zdarzyło na Archaniele? Uratowałeś mnie? zapytałam.

- Gdybym cię uratował, nie byłoby tej rozmowy.

- Chcesz chyba powiedzieć, że gdybyś mnie nie uratował, to już bym nie żyła.

- Nie to miałem na myśli. Nie zrozumiałam.

- Jak to: nie byłoby tej rozmowy?

- Bo ty nadal byś żyła... - przerwał. - A ja pewnie nie.

Nim zdołałam pojąć, o co mu chodzi, znów rzucił się za mną, tym razem od prawej strony. Zaskoczona na sekundę, pozwoliłam mu skrócić odległość między nami. Kiedy zamiast przystanąć, okrążał samochód, pędem uciekłam w głąb garażu.

Minęłam trzy auta i wtedy chwycił mnie za ramię, odwrócił twarzą do siebie i przyparł do betonowego dźwigu.

- To tyle, jeśli chodzi o twój plan - powiedział. Spojrzałam na niego wściekle, ale też z przestrawieniem.

Odpowiedział uśmiechem ociekającym grozą, potwierdzając, że spokojnie mogę pocić się do woli.

- Co się dzieje? - miało to zabrzmieć wrogo. - Skąd we mnie przekonanie, że słyszę w myślach twój głos? I czemu powiedziałeś, że przeniosłeś się do szkoły ze względu na mnie?

- Zmęczyło mnie podziwianie twoich nóg z daleka.

- Chcę prawdy. - Z trudem przełknęłam ślinę. - Domagam się ujawnienia wszystkiego.

- Ujawnienia wszystkiego - powtórzył z chytrym uśmiechem. - Czy to ma coś wspólnego z twoją obietnicą, że mnie obnażysz? O co ci właściwie chodzi? Zapomniałam, o czym rozmawiamy. Czułam tylko, że spojrzenie Patcha jest wyjątkowo gorące. By przerwać kontakt wzrokowy, spuściłam oczy na rękę. Lśniły od potu, więc schowałam je za plecami.

- Muszę się zbierać - powiedziałam. - Mam zadanie...

- Co się tam stało? - Wskazał brodą windy.

- Nic.

Zanim zdążyłam go powstrzymać, przywarł dłonią do mojej dłoni, tworząc z

naszych rąk strzelistą wieżę. Wsunął palce między moje palce i mocno je zacisnął.

- Zbielały ci kostki - powiedział, muskając je wargami. - I jesteś rozdrażniona.

- Puszczaj. Wcale się nie zdenerwowałam. Wybacz, ale mam zadanie...

- Noro - Patch wymówił moje imię cicho, ale z mocą.

- Pokłóciłam się z Marcie Millar. - Nie miałam pojęcia skąd się wzięła ta nagła potrzeba zwierzenia. Nie chciałam się przed nim otwierać. - Zadowolony? - udałam irytację. - Zechcesz mnie łaskawie puścić?

- Marcie Millar?

Na próżno próbowałam wyplątać palce z jego dłoni.

- Nie znasz Marcie? - zapytałam cynicznie. - Niemożliwe, wzięwszy pod uwagę, że po pierwsze jesteś w naszym ogólniaku, a po drugie masz chromosom Y.

- O co się pokłóciłyście?

- Nazwała Vee grubaską.

- No i?

- A ja ją anorektycznym prosiakiem. Najwyraźniej usiłował stłumić uśmiech.

- I tyle? Nie pobiłyście się? Nie było gryzienia, drapania, wrywania włosów? Zmrużyłam oczy.

- Może nauczymy się walczyć, co, Aniele?

- Umiem walczyć. - Uniosłam podbródek, choć to było kłamstwo.

Tym razem nie powstrzymał uśmiechu.

- Brałam nawet lekcje boksowania. - Kickboxingu. Na siłowni. Raz.

Wystawił otwartą rękę.

- Wal! Najmocniej, jak dasz radę.

- Nie lubię... bezsensownej przemocy.

- Jesteśmy sami. - Czubki jego butów zetknęły się z moimi. - Ktoś taki jak ja mógłby cię wykorzystać. No, pokaż co potrafisz.

Cofnąwszy się o parę centymetrów, zauważyłam jego motor.

- Podwiozę cię - zaproponował.

- Pójdę pieszo.

- Jest późno i ciemno.

Miał rację, czy mi się to podobało, czy nie.

W duchu toczyłam ze sobą zawody w przeciąganiu liny. Już piesza wędrówka do domu byłaby idiotyzmem, a tu jeszcze na dodatek musiałam wybierać między jazdą z Patchem a ryzykiem spotkania po drodze kogoś groźniejszego...

- Mam wrażenie, że chcesz mnie podwieźć tylko dlatego, że wiesz, jak bardzo tego nie chcę. - Westchnęłam roztrzęsiona, założyłam kask i usiadłam za nim na motorze.

Z braku miejsca na siedzeniu musiałam się do niego przytulić.

Patch leciutko parsknął, rozbawiony.

- Spokojnie znalazłby się inny powód.

Dodał gazu, ruszając w stronę wyjścia, które zagradał szlaban w białoczerwone pasy. Kiedy zbliżyliśmy się do automatu opłat i już obawiałam się, czy zwolni, by wrzucić monety, łagodnie zahamował. Podskoczyłam na siodełku, przywierając do niego jeszcze bliżej. A Patch spokojnie zapłacił i wyjechał na ulicę.

Gdy przyhamował na podjeździe, zsiadając, przytrzymałam się go, żeby nie stracić równowagi, i oddałam mu kask.

- Dzięki za podwiezienie - powiedziałam.
- Co robisz w sobotę wieczór? Chwila namysłu.
- Mam randkę z tym co zawsze.

Wyraźnie się zainteresował.

- Tym co zawsze?
- Zadaniem.
- Odwołaj.

Trochę się wyluzowałam. Patch był ciepły, silny i cudów nie pachniał - jakby miętą i wilgotną ziemią. Po drodze nikt nie wyskoczył nam na jezdnię i we wszystkich oknach parteru paliło się światło. Poczułam się bezpiecznie jak nigdy. No, może nie do końca, biorąc pod uwagę, że Patch przyparł mnie do muru w ciemnym tunelu i chyba jednak mnie śledził.

- Nie umawiam się z nieznanymi - oświadczyłam
- Na szczęście ja tak. Przyjadę o piątej.

## ROZDZIAŁ 17

W sobotę od rana było zimno i padało. Siedziałam przy oknie, patrząc, jak deszcz bombarduje gradem pocisków coraz większe kałuże na trawniku. Na kolanach miałam obszarpany egzemplarz Hamleta, za uchem długopis, a koło stóp kubek po gorącej czekoladzie. Leżący na ławie arkusz pytań z lektury był tak samo niewypełniony jak przed dwoma dniami, gdy wręczyła mi go pani Lemon, a coś takiego nigdy nie nastraja zbyt optymistycznie.

Mama wyszła na kurs jogi pół godziny temu, ale mimo że przećwiczyłam sobie kilka sposobów powiedzenia jej o randce z Patchem, nie zdołałam wykorzystać żadnego z nich. Stwierdziłam, że to nic wielkiego - mam już przecież szesnaście lat i mogę sama decydować, kiedy i po co wychodzę z domu - ale tak naprawdę powinnam była poinformować ją, że się umówiłam. Świetnie: teraz przez cały wieczór będzie mną targało poczucie winy...

Gdy zegar w sieni wybił czwartą trzydzieści, radośnie cisnęłam książki w kąt i pobiegłam do swojego pokoju. Cały dzień pochłaniały mnie szkolne zadania i różne domowe obowiązki, więc nie miałam czasu myśleć o randce z Patchem. Ale kiedy na przygotowanie się zostało mi zaledwie kilka minut, wpadłam w lekką panikę. Nie wszystko między nami zostało dopowiedziane. Nasz ostatni pocałunek urwał się tak nagle. Prędzej czy później trzeba będzie coś z tym

zrobić... Nie miałam cienia wątpliwości, że chcę to załatwić, lecz nie byłam pewna, czy jestem na to gotowa już dziś wieczór. Na dodatek w myślach raz po raz, jak czerwona chorągiewka, pojawiała się przestroga Vee: „Trzymaj się z daleka od Patcha”.

Usiadłam przed lustrem toaletki, żeby się uważnie obejrzeć. Makijaż miałam minimalny, ograniczony do paru muśnięć tuszem do rzęs. Włosy trochę za bardzo skołtunione, ale czy to coś nowego? Przydałby się błyszczak. Oblizłam dolną wargę, dodając jej połysku - i momentalnie wróciłam myślami do niedokończonego pocałunku z Patchem. Objęła mnie fala żaru. Jeśli czuję to na wspomnienie o niedokończonym pocałunku, to co dopiero będzie, kiedy pocałujemy się naprawdę? Uśmiechnęłam się do swojego odbicia.

- Nie szalej - upomniałam się, przymierzając kolczyki. Najpierw założyłam duże, zwariowane, z turkusami... No nie, bez przesady. Odłożyłam je i wzięłam topazowe łożki. No, już lepiej. Ciekawe, co zaplanował Patch? Kolacje? Kino? - To prawie jak korki z biologii - niedbale powiedziałam do odbicia w lustrze. - Tyle że bez biologii i nauki.

Wciągnęłam dzinsy rurki i baleriny. Owinąwszy talie niebieską jedwabną chustą, skrzyżowałam ją na piersiach i związałam na szyi, by wyglądała jak bluzka bez pleców. Poprawiłam włosy i wtedy na dole rozległo się pukanie

- Idę! - ryknęłam w stronę schodów.

Jeszcze raz przejrzałam się w lustrze w sieni i otworzyłam drzwi. Na werandzie stało dwóch mężczyzn w ciemnych trenczach.

- Nora Grey - powiedział detektyw Basso, pokazując odznakę policyjną. - Znów się spotykamy.

Dopiero po chwili odzyskałam głos:

- Po co panowie przyszli? Przechylił głowę na bok.

- Na pewno pamiętasz mojego partnera, detektywa Holstijica. Możemy wejść i zadać ci kilka pytań? - Nie zabrzmiało to jak prośba o pozwolenie, tylko jak pogróżka.

- O co chodzi? - zapytałam, spoglądając na obu policjantów.

- Jest mama? - spytał detektyw Basso.

- Poszła na kurs jogi. Coś się stało?! Wytarli nogi i weszli do środka.

- Opowiedz nam, co się wydarzyło między tobą i Marcie Millar w bibliotece w środę wieczór. - Detektyw Holstijic siadł ciężko na sofie.

Basso nadal stał, taksując wzrokiem zdjęcia ustawione na kominku.

Nie od razu załapałam, o co pyta. Biblioteka. Środa wieczór. Marcie Millar.

- Coś nie tak z Marcie? - zapytałam.

Wiadomo, że nie darzyłam jej zbytnią czułością, ale to nie znaczy, że jej źle życzyłam. A gdyby się znalazła w tarapatkach, wolałabym nie mieć z tym nic wspólnego.

Detektyw Basso wsparł dłonie na biodrach.



- Skąd to podejrzenie?
- Nic jej nie zrobiłam.
- O co się posprzeczałyście? - spytał Holstijic. - Wiemy od ochrony biblioteki, że było gorąco.
- To nie do końca tak. -A jak?
- Powyzywałyśmy się i tyle - odparłam z nadzieją, że na tym się skończy.
- Co to były za wyzwiska?
- Głupie - odpowiedziałam, przywołując je w pamięci.
- Będziesz musiała nam je podać, Noro.
- Nazwałam ją anorektycznym prosiakiem.

Piekły mnie policzki, a głos zdradzał upokorzenie. Gdyby sytuacja nie była tak poważna, żałowałabym, że nie wymyśliłam czegoś bardziej bezwzględnego i okrutnego. A przede wszystkim - trochę mądrzejszego.

Policjanci wymienili spojrzenia.

- Groziłaś jej? - zapytał Holstijic.
- Nie.
- Dokąd później poszłaś?
- Do domu.
- Śledziłaś Marcie?
- Nie. Przecież mówię: wróciłam do domu. Powieście mi co jej się stało?
- Czy ktoś może to poświadczyć? - spytał Basso.
- Kolega z biologii. Spotkaliśmy się w bibliotece i podwiózł mnie do domu. Oparłam się ramieniem o przeszklone drzwi pokoju, a detektyw Basso stanął przede mną.
- Opowiedz nam o nim.
- Co to za pytanie? Rozłożył ręce.
- Dostyc proste. Ale jeśli chcesz, chętnie je uściślę. Kiedy byłem w ogólniaku, podwoziłem do domu tylko dziewczyny, które mi się podobały. Pójdźmy zatem dalej. Co cię z nim łączy... poza szkołą?
- Chyba pan żartuje!
- Kącik jego ust uniósł się leciutko. -Tak też myślałem. Kazałaś chłopakowi pobić Marcie-Millar?
- Marcie została pobita?!

Podszedł blisko, świdrując mnie oczami.

- Chciałaś jej pokazać, co spotyka dziewczyny, które nie trzymają języka za zębami? Myślisz, że zasłużyła na tak brutalne traktowanie? W ogólniaku też znałem takie dziewczęta. Same się o to proszą, prawda? Dopraszała się tego, tak, Noro? W środę wieczór ktoś ją dotkliwie pobił, a ty chyba wiesz znacznie więcej, niż chcesz nam powiedzieć.

Z całych sił starałam się powstrzymać myśli, przerażona, że dam coś po sobie poznać. Może to zbieg okoliczności, że Marcie pobito akurat tego wieczoru, gdy

zaliłam się na nią Patchowi. A jeśli nie...?

- Musimy porozmawiać z twoim chłopakiem - oznajmił detektyw Holstijic.

- Nie jest moim chłopakiem. Tylko siedzimy razem na biologii.

- Wybiera się dziś do ciebie?

Wiedziałałam, że powinnam odpowiadać szczerze, ale nie dopuszczałam myśli, że Patch mógłby pobić Marcie. Ona nie była szczególnie sympatyczna i narobiła sobie wielu wrogów, z których kilku byłoby zdolnych do przemocy, na pewno jednak nie należał do nich Patch. Bezsensowne pobicie - to nie w jego stylu.

- Nie - odpowiedziałam. Basso uśmiechnął się zimno.

- I tak się ubrałaś, żeby zostać w domu?

- Zasadniczo - odparłam najchłodniejszym tonem, na jaki mogłam się zdobyć.

Detektyw Holstijic wyjął z kieszeni mały notes, otworzył go i strzelił długopisem.

- Podaj jego nazwisko i numer telefonu.

Dziesięć minut po wyjściu policjantów pod dom zajechał czarny jeep commander. Patch wbiegł na werandę, ubrany w ciemne dżinsy, buty do kostek i szarą ocieplaną bluzę.

- Nowy samochód? - spytałam, otwierając drzwi. Uśmiechnął się tajemniczo.

- Parę dni temu wygrałem go w bilard.

- Ktoś postawił samochód?!

- Tak, a teraz jest wściekły. Przez jakiś czas będę musiał unikać ciemnych zaułków.

- Słyszałaś o Marcie Millar? - spytałam po prostu, licząc, że go zaskoczę.

- Nie. A co? - odparł bez zastanowienia, uznałam więc, że chyba mówi prawdę.

Niestety, jeśli chodzi o kłamanie, z pewnością nie był amatorem.

- Ktoś ją pobił.

- Przykre.

- Wiesz, kto by to mógł zrobić?

Nawet jeśli usłyszał niepokój w moim głosie, niczego po sobie nie pokazał.

Opierając się o balustradę werandy, w zadumie potarł dłonią brodę.

- Nie.

Zastanowiłam się, czy jednak czegoś nie ukrywa, ale rozpoznawanie kłamstwa nie było moją najmocniejszą stroną. Nie miałam w tej dziedzinie wielkiego doświadczenia. Zwykle trzymałam się ludzi budzących zaufanie... Zwykle. Patch zajechał przed Bo's Arcade. Gdy znaleźliśmy się na początku kolejki, kasjer zaczął na nas zerkać, jakby nas kojarząc.

- O co chodzi? - spytał Patch i położył na kontuarze trzy dziesięciodolarówki.

Kasjer przyglądał mi się bacznie. Na pewno spostrzegł, że nie mogę oderwać oczu od zgniłozielonych tatuaży na jego przedramionach. Przesunął coś pod dolną wargę: gumę, może tytoń.

- Szukasz czegoś? - spytał.

- Fajne ma pan tatu... - zaczęłam. Obnażył spiczaste psie zęby.

- Chyba mnie nie lubi - szepnęłam do Patcha, gdy znaleźliśmy się w bezpiecznej odległości od kasy.

- Bo nie lubi nikogo.

- To właściciel?

- Junior. Senior zmarł parę lat temu.

- Jak? - spytałam.

- W bójce przy barze. Na dole.

Ogarnęła mnie przemożna chęć powrotu do jeepa i szybkiej ewakuacji.

- Nic nam nie grozi? - zapytałam. Patch spojrzął na mnie z boku.

- Aniele...

- Sorry.

Sala na dole wyglądała identycznie jak w dniu, kiedy byłam tam po raz pierwszy.

Pomalowane na czarno ściany. Pośrodku obite sukrem stoły do bilardu. Po bokach kilka stolików do pokera. Przyćmione światło podwieszonych pod sufitem reflektorków. W powietrzu duszący zapach dymu z cygar.

Patch wybrał stół najdalej od schodów. Wziął z baru dwie butelki 7UP i zdjął z nich kapsle, uderzając o kontuar.

- Nigdy nie grałam w bilard - wyznałam.

- Wybierz kij. - Wskazał mi przymocowany do ściany stojak. Wzięłam jeden z kijów i wróciłam z nim do naszego stołu.

Patch przesunął dłonią po ustach, ścierając z nich uśmiech.

- Coś nie tak? - spytałam.

- W bilardzie nie ma home run. Przytaknęłam.

- Nie ma. Rozumiem.

Uśmiechnął się szeroko.

- Trzymasz go jak kij baseballowy. Spojrzałam na rękę. Faktycznie. Trzymałam go jak kij do baseballu.

- Tak mi jest wygodnie.

Stanął za moimi plecami, położył dłonie na moich biodrach i ustawił mnie przed stołem. Otaczając mnie ramionami, chwycił kij.

- W ten sposób - powiedział, przesuwając moją dłoń o kilkanaście centymetrów. -

I... tak. - Ujął mnie za lewą rękę, układając kciuk i palec wskazujący w „pętelkę”.

Następnie wsparł lewą rękę na stole, jak trójnóg. Wsunął czubek kija między „pętelkę”, nad kostką serdecznego palca. - Ugnij się w talii - pouczył.

Pochyliłam się nad stołem, czując na karku ciepły oddech Patcha, który szybkim ruchem wyciągnął kij spomiędzy moich palców.

- W którą bilę chcesz uderzyć? - spytał, mając na myśli kule ustawione na stole, naprzeciw mnie, w trójkąt. - Polecam tę żółtą, z przodu.

- Najbardziej lubię czerwony kolor.

- Niech będzie czerwona.

Patch przesunął kijem w przód i w tył, celując w wygrywającą bilę, żeby mnie nauczyć ruchu.

Przymrużywszy oczy, popatrzyłam na bilę rozgrywającą i kule ustawione w trójkącie.

- Ciut za daleko - powiedziałam. Poczułam, że się uśmiecha.

- O ile się założysz, że nie?

- O pięć doliców. Lekko pokręcił głową.

- Kurtka.

- Chcesz moją kurtkę?

- Chcę, żebyś ją zdjęła.

Straciłam panowanie nad ręką, tak że wyrwała się do przodu i uderzyła w bilę rozgrywającą, która trafiła w czerwoną i rozbiła trójkąt. Odbite rykoszetem bile potoczyły się w różne strony.

- Okej - powiedziałam, ściągając kurtkę - może i trochę mi zaimponowałeś.

Patch przyjrzał się mojej jedwabnej bluzce bez pleców. Miał zamysłone wejście i oczy czarne jak ocean o północy.

- Ładnie - pochwalił.

Podszedł na drugi koniec stołu, taksując układ bil.

- Stawiam pięć dolarów, że nie wbijesz tej w niebieskie paski - powiedziałam, wybierając ją umyślnie, bo przed rozgrywającą zasłaniała ją masa kolorowych.

- Możesz zachować te pieniądze - odparł Patch.

Gdy nasze spojrzenia się spotkały, na jego twarzy pojawiły się lekkie dołeczki. Moja temperatura znów podskoczyła o stopień.

- No, co? - zapytałam.

Pochyliwszy się nad stołem, wytrawnie wycelował i uderzył w rozgrywającą, która z impetem trafiła w zieloną i ósemkę, wrzucając bilę w niebieskie paski do luzu. Roześmiałam się nerwowo i aby to ukryć, zaczęłam wyłamywać kostki w paskudnym odruchu, któremu nie ulegałam jeszcze nigdy.

- Okej, może i zaimponowałeś mi trochę bardziej. Wciąż pochylony nad stołem, Patch popatrzył na mnie.

Skórę ogarnęło ciepło.

- Nie było żadnego zakładu - powiedziałam, opierając się pokusie zmiany pozycji. Kij trochę ślizgał mi się w rękach, więc dyskretnie wytarłam dłoń o biodro.

Jakbym nie pociła się już i tak za bardzo, Patch odpowiedział:

- Mam u ciebie dług i kiedyś go odbiorę. Zaśmiałam się niepewnie.

- Akurat.

Na schodach po drugiej stronie sali rozbrzmiał głos i tupot. Po chwili na dole pojawił się wysoki żylasty facet o jastrzębim nosie i kędzierzawych granatowoczarnych włosach. Najpierw spojrzął na Patcha, a potem przesunął wzrok na mnie. Z krzywym uśmiechem na twarzy podszedł do nas i wychylił butelkę 7UP, którą zostawiłam na brzegu stołu.

- Przepraszam, ale to... - zaczęłam.

- Nie mówiłeś, że jest taka delikatna - zwrócił się do Patcha, ocierając usta wierzchem dłoni. Miał silny irlandzki akcent.

- Jej też nie mówiłem, jaki z ciebie prymityw - zripostował Patch, rozciągając usta w uśmiechu.

Facet oparł się o stół przy mnie i wyciągnął rękę.

- Nazywam się Rixon, słońce - przedstawił się. Niechętnie wsunęłam dłoń w jego dłoń.

- Nora.

- Przeszkadzam? - zapytał Rixon, spoglądając na mnie i na Patcha.

- Nie - odparłam w tej samej chwili, gdy Patch odpowiedział „tak”.

Wtem Rixon rzucił się figlarnie na Patcha i obaj padli na podłogę, turlając się i okładając. Rozległy się chrapliwo śmiechy, odgłosy razów i trzask rozrywanego ubrania. Zobaczyłam nagie plecy Patcha. Miał na nich dwie podłużne grube blizny, biegnące od okolicy nerek do łopatek, w formie odwróconej litery „V”.

Wyglądały tak okropnie, że z przerażenia zaparło mi dech.

- Ej! Złaż ze mnie! - wrzasnął Rixon.

Patch puścił go i kiedy wstawał, rozdarta koszula rozchyliła się. Zrzucił ją i cisnął do kosza na śmieci w kącie.

- Dawaj bluzę - nakazał Rixonowi. Rixon mrugnął do mnie szelmowsko.

- Co ty na to, Nora? Oddać?

Patch przyskoczył do Rixona, rozbawiony, a ten przystopował go rękami.

- Spokojnie - cofnął się o krok. Zdjął bluzę i rzucił ją Patchowi, odsłaniając obcisły biały podkoszulek.

Gdy Patch wciągał bluzę na brzuch tak twardy, że nieomal stanęło mi serce, Rixon zwrócił się do mnie:

- Mówił ci, skąd ma to przezwisko?

- Słucham?

- Zanim nasz koleżka wziął się na dobre do bilardu, preferował goły boks irlandzki, a nie był za dobry w te klocki. - Rixon pokiwał głową. - Szczerze mówiąc, był żaloszny. Co noc musiałem go latać i potem już wszyscy tak na niego mówili. Radziłem mu, żeby zrezygnował z boksu, ale mnie nie słuchał.

Podchwyciwszy moje spojrzenie, Patch posłał mi uśmiech złotego medalisty barowych bijatyk. Uśmiech szorstki i straszny, ale z nutą pożądania. Nie nutą - wręcz symfonią. Kiwnął głową w stronę schodów i wyciągnął do mnie rękę.

- Chodźmy stąd - powiedział.

- Dokąd? - Żołądek opadł mi do kolan.

- Zobaczysz.

Gdy szliśmy po schodach, Rixon zawołał do mnie:

- Powodzenia, mała!

## ROZDZIAŁ 18

Patch obrał drogę powrotną przez Topsham, gdzie zaparkował samochód nieopodal starej papierni nad brzegiem Androscoggin. Na ścianie budynku, w którym niegdyś przerabiano miazgę drzewną na papier, widniał teraz napis „BROWAR SEA DOG”. Po obu stronach szerokiej i wzburzonej rzeki rosły wiekowe drzewa.

Zapadła noc i wciąż lało. Musiałam zdążyć do domu przed mamą. Nie powiedziałam jej, że się umówiłam, bo...szczerze powiedziawszy, Patch nie należał do facetów, do których matki się uśmiechają. Był raczej z tych, przed którymi zmienia się zamki w całym domu.

- Zjemy coś na wynos? - zapytałam. Patch otworzył drzwi od strony kierowcy.

- Na co masz ochotę?

- Na kanapkę z indykiem. Tylko bez korniszona. Aha, i bez majonezu.

Najwidoczniej zasłużyłam na jeden z tych jego tłumionych uśmiechów. Obdarzał mnie nimi bardzo często. Ciekawe dlaczego teraz też.

- Zobaczę, co się da zrobić - odpowiedział, wysiadając.

Zostawił kluczyki w stacyjce i włączone ogrzewanie. Przez parę minut po jego odejściu odtwarzałam sobie w myślach zdarzenia tego wieczoru. I raptem dotarło do mnie, że jestem sama w jego jeepie. Na jego prywatnym terytorium.

Gdybym była na jego miejscu, a chciała ukryć coś ściśle poufnego, nie schowałabym tego w pokoju, w szkolnej szafce, ani nawet w plecaku, bo wszystkie te miejsca można bez ostrzeżenia, spokojnie przeszukać - i skonfiskować tajne rzeczy. Schowałabym to w lśniącym czarnym jeepie z wymyślnym systemem alarmowym.

Rozpięłam pas bezpieczeństwa i zaczęłam grzebać w stercie książek pod nogami, czując, jak na myśl, że odkryję jakiś sekret Patcha, wstępuje mi na usta tajemniczy uśmiech. Nie liczyłam na konkretne znalezisko; wystarczyłby mi szyfr zamka jego szafki albo numer komórki. Starając się nie deptać po starych szkolnych zadaniach, które zaścielały podłogę auta, znalazłam zużyty odświeżacz powietrza o zapachu sosny, kompakt AC/DC Highway to Hell, ogryzki ołówków i kwit z 7-Eleven datowany w środę o dziesiątej osiemnaście wieczorem. W sumie nic szczególnie ciekawego ani odkrywczego.

Kiedy otworzyłam schowek na rękawiczki i przetrząsnęłam instrukcję obsługi samochodu i inne dokumenty, błysnął jakiś chromowany przedmiot. Musnęłam palcami metal. Wyciągnęłam ze schowka stalową latarkę i chciałam ją zapalić, ale bezskutecznie. Odkręciłam denko, zdziwiona jej lekkością, i oczywiście okazało się, że nie ma baterii. Ciekawe, po co Patch trzyma w schowku nieczynną latarkę?... Była to ostatnia myśl, jaka pojawiła mi się w głowie, nim spostrzegłam na brzegu latarki zaschlą rdzawą plamę.

Krew.

Ostrożnie włożyłam latarkę z powrotem do schowka i zatrzasnęłam go.

Stwierdziłam, że latarkę można poplamieć krwią w najróżniejszych sytuacjach. Na przykład trzymając ją poranioną ręką, spychając na pobocze martwe zwierzę, uderzając nią w kogoś z całej siły i rozrywając skórę.

Z bijącym sercem chwyciłam się pierwszej opcji. Patch kłamie. To on napadł Marcie w środę. Podrzucił mnie, wymienił motor na jeepa i pojechał jej szukać. A może spotkali się przypadkowo i działał pod wpływem impulsu... Tak czy inaczej, Marcie została pobita, sprawą zajęła się policja i to on był winny.

Racjonalnie rzecz biorąc, wiedziałam, że stanowcze za szybko wyciągam wnioski, ale intuicja podpowiadała mi, że stawka jest zbyt wysoka, żeby się nad tym wszystkim dogłębnie zastanawiać. Patch miał straszną przeszłość i wiele, wiele tajemnic. A jeśli należała do nich okrutna, bezsensowna przemoc, to jazda z nim samochodem me mogła być bezpieczna.

Horyzont rozjaśniła błyskawica. Patch wyszedł z restauracji i w podskokach przebiegł parking, trzymając w jednej ręce brązową torbę, a w drugiej dwa napoje gazowane. Zbliżył się do auta i siadł za kierownicą. Uniósł czapkę i otrząsnął włosy z wody. Ciemne falujące kosmyki... Wręczył mi torbę.

- Kanapka z indykiem bez majonezu i korniszona i coś do popicia.

- Napadłeś Marcie Millar? - zapytałam cicho. - Chcę usłyszeć prawdę. Teraz.

Patch odsunął 7UP od ust. Jego oczy cięły mnie na wylot -Co?

- Latarka w schowku. Wytlumacz!

- Szperałaś mi w schowku? - nie rozgniewał się, ale też nie ucieszył.

- Na latarce jest zaschła krew. Dziś była u mnie policja. Myślą, że mam z tym coś wspólnego. Marcie napadnięto w środę wieczór, zaraz po tym, jak ci powiedziałam, że jej nie znoszę.

Patch zaśmiał się szorstko, bez cienia wesołości.

- I myślisz, że pobiłem Marcie latarką.

Sięgnął za siedzenie i wydobył wielki pistolet. Krzyknęłam.

Pochylił się i zasłonił mi usta dłonią.

- To pistolet do paintballu - wyjaśnił lodowatym tonem.

Wybałuszyłam oczy.

-Grałem w paintball na początku tygodnia - oznajmił. - Przecież ci mówiłem.

- A... ale to nie tłumaczy śladu krwi na latarce.

- To nie krew, tylko farba - odparł. - Graliśmy w „zdobądź flagę”.

Skierowałam wzrok na schowek z latarką. Latarka była... flagą. Ogarnęło mnie poczucie ulgi, skretynienia i winy, że tak oskarżyłam Patcha.

- Aha - szepnęłam słabo. - Wy... bacz. Ale na przeprosiny było już za późno.

Patch wbił wzrok w przestrzeń, wzdychając głęboko. Może chciał milczeniem upuścić trochę pary. W końcu przed sekundą oskarżyłam go o napad. Czułam się z tym okropnie, ale nie mogłam zebrać myśli, żeby go jakoś przeprosić.

- Z tego, co mówisz o Marcie, wynika, że narobiła sobie wielu wrogów - odezwał się wreszcie.

- Na pewno na szczycie tej listy jestem ja i Vee - odrzekłam, by poprawić nastrój, chociaż nie do końca żartobliwie.

Patch zajechał przed mój dom i wyłączył silnik. Oczy zasłaniała mu czapka, ale na ustach wyraźnie igrał cień uśmiechu. Wargi miał tak miękkie i subtelne, że nie mogłam oderwać od nich wzroku. Dzięki Bogu, chyba już mi wybaczył.

- Będzie trzeba popracować nad twoim bilardem, Aniele

- A propos... - odchrząknęłam. - Chciałabym wiedzieć kiedy i w jaki sposób zamierzasz wyegzekwować to... co jestem ci winna.

- Nie dzisiaj. - Spojrzał mi prosto w oczy, sprawdzając jak zareaguję.

Poczułam na poły ulgę i rozczarowanie. Nie! Głównie to drugie.

-Mam coś dla ciebie - powiedział Patch i wyjął spod fotela białą papierową torebkę w czerwone papryczki chili. Opakowanie na wynos z Granicy. Położył ją między nami.

- Z jakiej to okazji? - Zajrzałam do torebki, nie podejrzewając, co w niej znajdę.

- Otwórz.

Wyciągnęłam brązowe tekturowe pudełko i uniosłam wieczko. W środku była śnieżna kula z miniaturowym parkiem rozrywki w Delphic Seaport: zrobione z miedzianych drucików koło diabelskiego młyna, poskręcane pętle kolejki górskiej i latający dywan z arkusików zaśniedziałej blachy.

- Piękna - powiedziałam, zaskoczona, że o mnie pomyślał i nawet zadał sobie trud kupienia mi prezentu. - Bardzo ci dziękuję. Jest cudowna.

Musnął szkło.

- Tak wyglądał Archanioł, zanim go przebudowali. - Za diabelskim młynem powyginane druciki tworzyły doliny i wzgórza kolejki. Na samym szczycie stał bezoki anioł o połamanych skrzydłach.

- Co tak naprawdę zdarzyło się, gdy nim jechaliśmy?

- Lepiej, żebyś nie wiedziała.

- Czy jeśli mi powiesz, będziesz musiał mnie zabić? -odparłam półzartem.

- Nie jesteśmy sami - odpowiedział Patch, patrząc przed siebie.

W otwartych drzwiach stała mama. Ku mojemu przerażeniu zeszła z werandy i ruszyła w naszą stronę.

- Sama to załatwię - oświadczyłam, chowając kulę z powrotem do pudełka. - Nie odzywaj się, ani słowa!

Patch wyskoczył z auta i otworzył przede mną drzwi. Z mamą spotkaliśmy się w połowie podjazdu.

- Nie wiedziałam, że wychodzisz - powiedziała z uśmiechem, ale podenerwowana. Uśmiech zawierał komunikat: „Pogadamy później”.

- Bo to tak wyszło... w ostatniej chwili - wyjaśniłam.

- Wróciłam do domu prosto z zajęć jogi - dodała, dając mi do zrozumienia: „Na nieszczęście dla ciebie”. Liczyłam, że po kursie wybierze się czegoś napić z koleżankami. Robiła tak zawsze, dziewięć razy na dziesięć. Skierowała uwagę



na Patcha: - Miło mi cię wreszcie poznać. Z tego, co widzę, masz w mojej córce oddaną wielbicielkę.

Otworzyłam usta, by jak najzwężlej przedstawić Patcha i go odprawić, ale mama mnie uprzedziła:

- Blythe Grey, mama Nory.

- Patch - powiedziałam, rozpaczliwie szukając w głowie zdania, które by rozładowało tę niby słodką atmosferę, ale nie mogłam wymyślić nic poza krzykiem: „Pali się!”, albo udawanym atakiem epilepsji.

- Wiem od Nory, że jesteś pływakiem - oznajmiła mama.

Poczułam, że Patch skręca się ze śmiechu.

- Pływakiem?

- Pływasz w szkolnej drużynie, czy może w lidze miejskiej?

- Bardziej... rekreacyjnie - odparł Patch, zerkając na mnie pytająco.

- Mhm, to też dobrze - podjęła mama. - A gdzie? W ośrodku rekreacji?

- Wolę na powietrzu. W rzece albo w jeziorze.

- Nie marzniesz? - zapytała mama.

Patch lekko się poruszył. Czyżby coś mi umknęło? W rozmowie nie było nic niezwykłego. A jeśli chodzi o ostatnią kwestię, to szczerze popierałam mamę. Maine to nie tropiki i w jeziorze można się przeziębnić nawet latem. Jeśli Patch rzeczywiście pływał, to albo był szurnięty, albo miał bardzo wysoki próg odporności.

- Okej! - zawołałam, wykorzystując chwilę milczenia.- Patch musi się zbierać.

- No idź! - upomniałam go bezgłośnie.

- Świetny jeep - zainteresowała się mama. - Dostałeś od rodziców?

- Sam kupiłem.

- No, to masz pewnie niezłą pracę.

- Sprzątam w Granicy.

Starał się wyjawic jak najmniej, otaczając się welonem tajemnicy. Ciekawe, jak wygląda jego życie, kiedy nie jesteśmy razem... Nieustannie powracały myśli o jego strasznej przeszłości. Dotąd snułam fantazje o odkrywaniu jego głębokich, mrocznych sekretów, bo chciałam udowodnić sobie i jemu, że jednak go rozgryzę. Ale teraz zapragnęłam je poznać, bo stanowiły jego część. Chociaż z uporem maniaka próbowałam temu zaprzeczać, to jednak coś do niego czułam. Im więcej spędzaliśmy ze sobą czasu, tym bardziej utwierdzałam się w tych emocjach.

Mama skrzywiła się lekko.

- Oby tylko praca nie przeszkadzała ci w nauce. Osobiście uważam, że uczniowie nie powinni pracować w roku szkolnym. I tak już macie mnóstwo zajęć.

- Radzę sobie - uśmiechnął się Patch.

- A mogę spytać cię o średnią ocen? - ciągnęła mama. -Czy to zbyt obcesowe?

- Kurczę, robi się późno... - zaczęłam głośno, zerkając na nieistniejący zegarek. Nie mieściło mi się w głowie, że mama może się zachować tak obciachowo. To zły znak. Widać odebrała go jeszcze gorzej, niż się spodziewałam. Nie było to żadne zapoznanie, tylko wywiad.

- Dwa koma dwa - odrzekł Patch. Mama spojrzała na niego.

-Żartuje - wtrąciłam szybko, dyskretnie popychając go w stronę jeepa. - Patch ma swoje sprawy. Musi jeszcze gdzieś pójść. Pograć w bilard... - Przytknęłam usta ręką.

- Pograć? - nie zrozumiała mama.

- Nora ma na myśli Bo's Arcade - wyjaśnił Patch. - Ale nie tam się wybieram. Muszę jeszcze załatwić to i owo.

- Nigdy tam nie byłam - powiedziała mama.

- Nic specjalnego - oznajmiłam. - Nie masz czego żałować.

- Zaraz - głos mamy zabrzmiał tak, jakby w głowie zapaliło jej się czerwone światełko. - Na wybrzeżu? Niedaleko Delphic Seaport? To nie tam przed kilku laty była wielka strzelanina?

- Teraz jest tam o wiele spokojniej - odpowiedział Patch. Zmrużyłam oczy. Ubiegł mnie, a już miałam zamiar skłamać, że to miejsce, w którym nigdy nie zdarzyło się nic złego.

- Wstąpisz do nas na lody? - zaproponowała mama, wyraźnie rozdrażniona, nie wiedząc, czy powinna zachować się uprzejmie, czy prędko wciągnąć mnie do środka i zaryglować drzwi. - Mamy tylko waniliowe - dodała cierpko. Sprzed paru tygodni. Patch pokręcił głową.

-Pójdę już. Może kiedy indziej. Miło było panią poznać.

Czym prędzej popchnęłam mamę do drzwi, zadowolona, że rozmowa nie potoczyła się najgorzej. Wtem mama się odwróciła.

-Co dzisiaj robiliście? - zapytała Patcha.

Patch spojrzał na mnie i leciutko uniósł brwi.

- Zjedliśmy kolację w Topsham - odpowiedziałam za niego. - Kanapki i napoje. Całkiem nieszkodliwy wieczór.

Problem w tym, że moje uczucia wobec Patcha nie były nieszkodliwe.

## ROZDZIAŁ 19

Pudełko ze śnieżną kulą schowałam w szafie za stosikiem swetrów w romby, które kiedyś podprowadziłam tacie. Kiedy otwierałam prezent przy Patchu, Delphic wyglądał połyckliwie i pięknie; drucikowe konstrukcje mieniły się tęczo. Ale teraz, gdy byłam sama w pokoju, lunapark sprawiał wrażenie nawiedzzonego. Wymarzone obozowisko dla upiórów. W dodatku wyglądał, jakby wewnątrz miał zamontowaną ukrytą kamerę.

Przebrałam się w elastyczną koszulkę i spodnie od piżamy w kwiatki i zadzwoniłam do Vee.

- No i? - zapytała. - Jak poszło? Jak widać nie zamordował cię, więc zaczyna się nieźle.

- Graliśmy w bilard.

- Nie cierpisz bilardu.

- Dal mi kilka wskazówek i już wiem, o co chodzi, więc nie jest najgorzej.

- Mogę się założyć, że chętnie doradziłby ci jeszcze w paru innych sferach życia.

- Hm - podobna uwaga zwykle wywołałaby rumieniec, ale dziś miałam na głowie poważniejsze sprawy. Byłam pochłonięta myślami.

- Wiem, że ci to już mówiłam, ale Patch nie nastraja mnie zbyt optymistycznie - oznajmiła Vee. - Ciągłe śnią mi się koszmary o facecie w kominiarce. Na przykład w jednym śnie zerwał ją z twarzy i zgadnij, kogo zobaczyłam?! Patcha. Osobiście uważam, że powinnaś się z nim obchodzić jak z naładowaną bronią. Ma w sobie coś nienormalnego.

I właśnie o tym chciałam porozmawiać.

- Skąd można mieć na plecach bliznę w kształcie „V”? spytałam.

Na chwilę zapadła cisza.

-Ty świrusko - parsknęła Vee. - Widziałaś go na golasa? Gdzie? W jego jeepie czy w domu? A może w swojej sypialni?

- Nie widziałam go gołego! Tę bliznę to tak przez przypadek.

- Mhm, nieraz już to słyszałam - odparła Vee.

- Ma na plecach wielką bliznę w kształcie odwróconego „V”. Dziwne, prawda?

-No pewnie, że dziwne. Ale chodzi o Patcha, a on jest nieźle pokopany. Niech zgadnę... Bójka gangów? Blizny z więzienia? Szramy po wypadku, który spowodował i zwiął?

Gdy jedna półkula mózgowa śledziła rozmowę z Vee, druga brnęła w koleiny podświadomości. Wróciłam pamięcią do wieczoru, kiedy Patch namówił mnie na przejażdżkę Archaniołem. Przypomniałam sobie dziwaczne, przerażające malunki na bokach wagoników... Rogate bestie odzierające anioła ze skrzydeł. Czarne odwrócone „V” na jego plecach.

O mało nie upuściłam telefonu.

- S... sorry, co mówiłaś? - poprosiłam Vee, uzmysławiając sobie, że jest już gdzieś dalej w rozmowie i czeka na reakcję.

- Co się stało potem? - powtórzyła, akcentując każde słowo. - Nora, Nora, odbiór! Czekam na szczegóły. Bo zaraz tu padnę.

- Wdał się w bijatykę i koleś rozdarł mu koszulę. Tyle. Nic się później nie stało. Vee westchnęła głęboko.

- Właśnie o to mi chodzi. Jesteście razem, a on się wdaje w bójkę? Chory czy co? Jak zwierzę, nie człowiek.

Szybko porównałam w wyobraźni szramę Patcha ze szramą anioła. Obie były koloru czarnej lukrecji, obie przebiegały od łopatek aż do nerek i obie rozchodziły się na boki. Stwierdziłam, że pewnie jakimś upiornym zbiegiem okoliczności

blizny Patcha wyglądają identycznie jak te na obrazkach. W końcu mogło je spowodować wiele rzeczy. Kto wie, może - jak powiedziała Vee - były to sznyty z więzienia albo pamiątka po ulicznej bijatyce czy po kraksie. Niestety, każda z tych przyczyn wydawała się bez sensu. Tak jakby prawda chciała mi zajrzeć prosto w oczy, a mnie brakowało odwagi, żeby to spojrzenie odwzajemnić.

- Był aniołem? - spytała Vee. Wyrwałam się z zadumy. -Co?!

- No, był jak anioł czy dalej odgrywał niegrzecznego chłopca? Bo, szczerze mówiąc, nie chce mi się wierzyć, że do niczego nie doszło.

- Vee, muszę kończyć - mój głos nagie zabrzmiał jak pokryty pajęczyną.

- Pewnie! Teraz się rozłączysz i guzik się dowiem!

- Na randce do niczego nie doszło i potem też nie. Pod domem wyszła nam naprzeciw mama.

- Coś ty!

- Chyba jej się nie spodobał.

- Niemożliwe! - wykrzyknęła Vee. - Co ty powiesz!

- Zadzwoń jutro, dobra?

- Słodkich snów, maleńka. Akurat - pomyślałam.

Odłożywszy słuchawkę, przeszłam korytarzem do prowizorycznego gabinetu mamy i uruchomiłam naszego starego IBM-a. Pokój był malutki, miał spadzisty strop i przypominał mansardę. W wychodzącym na ogródek brudnym oknie wisały spłowiałe zasłony z lat siedemdziesiątych. Sufit był tak niski, że w części pokoju w ogóle nie mogłam się wyprostować, a gdy było to możliwe, dotykałam czubkiem głowy obniżonych belek krokwi. Pokoik oświetlała tylko goła żarówka. Po pięciu minutach zdołałam wreszcie połączyć się z internetem i wklepałam w Google: „blizny po anielskich skrzydłach”. Chwilę zwlekałam z naciśnięciem „enter”. w lęku, że jeśli to zrobię, będę zmuszona pogodzić się z myślą, że Patch... nie jest człowiekiem.

Wcisnęłam „enter” i - zanim zdążyłam się opamiętać kliknęłam myszką pierwszy z brzegu link.

#### UPADŁE ANIOŁY: STRASZNA PRAWDA

W dniu stworzenia Bóg zesłał na ziemię anioły, aby czuwały nad Adamem i Ewą oraz ich potomstwem. Miały być posłuszne samemu Adamowi. Niektóre zapragnęły jednak wyjść poza granice rajskiego ogrodu. Zdobyć władzę nad ludźmi poprzez wyjawienie im wielu tajemnic (jak poznanie astrologii, wyrabianie broni, kosmetyków).

Zwiódłszy na pokuszenie Ewę. by zjadła zakazany owoc, otworzyły bramy strzegące Edenu. Karząc anioły za ten śmiertelny grzech i zaniedbanie obowiązków, Bóg odarł je ze skrzydeł i wypędził na zawsze. Anioły strącone do istot niższej rangi stały się demonami.

Przejrzałam pobieżnie kilka akapitów. Serce zaczęło mi bić nieregularnie.

Upadły anioł to zły duch, o którym Biblia pisze, że opanowuje ludzkie ciało. Błądzi po ziemi w poszukiwaniu ciała, które potem dręczy i którym kieruje. Nakłania istotę ludzką do niegodziwych czynów, przekazując myśli i obrazy bezpośrednio do jej umysłu. Potrafi wywierać wpływ na jej osobowość i czyny. Jednakże do zawładnięcia człowiekiem przez upadłego anioła może dojść jedynie podczas hebrajskiego miesiąca cheszwan (październik, listopad). Cheszwan, zwany „gorzkim”, to jedyny miesiąc, w którym Żydzi nie świętują. Wtedy też, w okresie między nowiem i pełnią, upadłe anioły gromadnie nawiedzają ludzkie ciała.

Przeczytawszy to, siedziałam kilka minut ze wzrokiem bezmyślnie wlepionym w monitor. W duszy aż mi się zakłębiło. Ze zdumienia, zgrozy i najgorszych przeczuć.

Nagle wzdrygnęłam się i odzyskałam zmysły. Przypomniałam sobie, jak już kilka razy wydawało mi się, że Patch przekracza granice zwykłej komunikacji i szepce prosto do mojego mózgu, tak jak to opisali w tym artykule. Czy - biorąc pod uwagę jego blizny - mógł być... upadłym aniołem? Czy chciał zamieszkać w moim ciele?

Szybko przebiegłam tekst do końca, zwalniając przy jeszcze dziwniejszym akapicie.

Współżyjąc z kobietą, upadły anioł płodzi nadludzkiego potomka zwanego Nefilem. Nefilowie (giganci lub upadli) to złe, nikczemne plemię, zbuntowane przeciwko Bogu, które On postanowił zniszczyć, zsyłając potop na ziemię. Potop miał oczyścić ziemię z Nefilów. Dotąd nie stwierdzono, czy owa hybrydyczna rasa wymarła i czy upadłe anioły nie rozmnażają się w dalszym ciągu. Z logicznego punktu widzenia wydaje się to prawdopodobne, bowiem woda nie mogła zniszczyć bezcielesnych demonów, a zatem przedstawiciele rodu Nefilów mogą nadal występować na obszarze kuli ziemskiej.

Odsuwając się od biurka, zapisałam przeczytane informacje w głowie, w folderze: MAKABRA. Nie miałam teraz ochoty się nad nimi zastanawiać.

Stwierdziłam, że zajmę się tym wszystkim później. Może.

Aż podskoczyłam, gdy w kieszeni zawibrowała mi komórka.

- Umawialiśmy się, że awokado jest zielone czy żółte? - spytała Vee. -

Wykorzystałam już dziś dzienny limit zielonych owoców, więc fajnie by było, gdybyś powiedziała, że żółte.

- Wierzysz w superbohaterów?

- Tak, odkąd zobaczyłam Tobey'ego Maguire'a w Spidermanie. Jest jeszcze Christian Bale. Starszy, ale za to jakie ciacho! Chętnie dałabym mu się uratować

przed zgrają wojowników ninja.

- Mówię serio.

- Ja też.

- Kiedy ostatnio byłaś w kościele? Strzeliła balonem z gumy do żucia.

- W niedzielę.

- Myślisz, że Biblia jest ścisła? To znaczy: zgodna z prawdą?

- Myślę, że pastor Calvin jest seksy. Jak na czterdziesto parolatka. Tak z grubsza wyglądają moje przekonania religijne.

Gdy skończyłyśmy rozmawiać, poszłam do swojego pokoju i zakopałam się w pościeli. Dla ochrony przed nagłym chłodem narzuciłam na siebie jeszcze jeden koc. Nie wiem, czy oziębilo się w pokoju, czy aż tak zlodowaciała moja dusza. Do snu ukołysały mnie natrętne wizje upadłych aniołów, opętania i Nefilów.

## ROZDZIAŁ 20

Całą noc przewracałam się w łóżku. Znad pół przyleciał wichur, omiatając dom i obsypując okna gruzem. Kilka razy zbudziły mnie odgłosy zrywanych przez wiatr dachówek. Podskakiwałam na najcichszy dźwięk za szybą, nawet słysząc trzeszczenie materaca.

Okolo szóstej poddałam się, zwlokłam z łóżka i wzięłam gorący prysznic. Potem posprzątałam w pokoju - szafa świeciła pustką, więc trzy razy napełniałam pralkę brudnymi rzeczami. Kiedy niosłam na górę kolejny ładunek prania, rozległo się pukanie do drzwi. Otworzyłam je. W progu stał Elliot.

Miał na sobie dzinsy, podwiniętą do łokci koszulę w szkocką kratę i czapkę Red Sox. Z pozoru radosny, pogodny zwykły chłopak. Ale ja nie dałabym się na to nabrać. Zdenerwowanie potwierdził silny przypływ adrenaliny.

- Nora Grey - powiedział z wyższością. Wsunął głowę do wnętrza, uśmiechnięty. Poczułam kwaśny odór alkoholu. - Ostatnio ciągle sprawiasz mi kłopoty.

- Co tu robisz?

Zajrzał mi przez ramię w głąb domu.

- A jak myślisz? Chcę pogadać. Nie wpuścisz mnie?

- Mama śpi. Wolałabym jej nie budzić.

- Jeszcze nie poznałem mamusi. - Od tonu jego głosu podniosły mi się włoski na karku.

- Czego sobie życzysz? Uśmiech miał rozlazły, drwiący.

- Nie lubisz mnie, Noro Grey, prawda?

W odpowiedzi skrzyżowałam ręce. Lekko zatoczył się do tyłu, przyciskając dłoń do seret

- Aua... Przyszedłem, bo chcę mimo wszystko cię przekonać, że jestem zwyczajnym gościem i możesz mi ufać. Nie zawieź mnie.

- Posłuchaj, Elliot, muszę załatwić kilka rze...

Grzmotnął pięścią w mur tak mocno, że osypał się popekany tynk.

- Nie skończyłem! - wybełkotał podniecony. Raptem przekrzywił głowę i zaśmiał się cicho. Pochylił się, wsunął zakrwawioną rękę między kolana i jęknął. - Dziesięć docłów, że jeszcze tego pożałujesz.

Ścierpła mi skóra. Przypomniałam sobie, jak jeszcze parę dni temu wydawał mi się przystojny i czarujący. Ale ze mnie idiotka!

Gdy już chciałam zamknąć przed nim drzwi na klucz, zdjął okulary, ukazując przekrwione oczy. Odchrząknął i tym razem już wyraźnie powiedział:

- Posłuchaj, Jules ma w szkole masę stresów. Egzamin, samorząd uczniowski, podania o stypendia itepe. Nie zachowuje się normalnie. Powinien się oderwać od tego na kilka dni. Wybierzmy się w czwórkę, Jules. Vee, ty i ja, na kemping. Wyjedziemy jutro do Powder Horn i wrócimy we wtorek po południu. Niech się chłopak trochę wyluzuje.

Każde słowo Elliota brzmiało niewiarygodnie i tak, jakby je sobie przećwiczył.

- Sorry, mam już inne plany.

- To odwołaj. Wszystko przygotuję. Załatwię namioty, prowiant. Zobaczysz, że jestem super. Rozerwiesz się jak nigdy.

- Idź już.

Oparł się o framugę i przybliżył do mnie.

- Błąd.

Na sekundę wyrwał się z pijackiego otępienia i coś złowrogiego, chorego załśniło mu w oczach. Bezwiednie cofnęłam się o krok. Byłam prawie pewna, że ma w sobie żądzę zbrodni. I przekonana, że jest winny śmierci Kjirsten.

- Idź, chyba że mam zadzwonić po taksówkę. Szarpnął drzwiami z taką siłą, że odbiły się od ściany.

Chwytał mnie za szlafrok, wywłókł na werandę i przyparł do muru.

- Pojedziesz na ten kemping, czy chcesz, czy nie!

- Puszczaj! - zawołałam, wrywając mu się.

- Bo co? Co mi zrobisz? - Przytrzymując mi ramiona, znów przycisnął mnie do muru, aż zaszczekałam zębami.

- Wezwę policję - wycedziłam jakoś. Miałam urywany, płytki oddech i wilgotne dłonie.

- Zawołasz ich? Nie usłyszą. Puszczę cię dopiero, jak obiecasz mi wspólny kemping!

- Nora?

Oboje odwróciliśmy się w stronę sieni, skąd dobiegł głos mamy. Przytrzymawszy mnie chwilę, Elliot prychnął z niesmakiem i w końcu mnie odepchnął. Schodząc po schodach z werandy, obejrzał się w pół drogi.

- To nie koniec.

Prędko weszłam do domu i zamknęłam drzwi na klucz. Piekły mnie oczy. Tłumiąc płacz, osunęłam się na dywanik i przywarłam plecami do drzwi.

Na szczycie schodów stanęła mama, szczelniej owijając się podomką.

- Nora? Coś się stało? Kto to był? Zamrugałam powiekami.

- Kolega... ze szkoły - nie mogłam opanować drżenia głosu. - Yyy... yyy... - I tak już narobiłam sobie dość kłopotów randką z Patchem. Wiedziałam, że mama wybiera się wieczorem na ślub i wesele córki znajomej z pracy, ale gdybym jej powiedziała, że Elliot mnie napastował, z pewnością zostałaaby w domu. A wtedy nie mogłabym wybrać się do Portland i przeprowadzić śledztwa w jego sprawie. Nawet najmniejsza poszlaka wystarczyłaby, żeby posadzić go za kratkami. Czułam się zagrożona. Wprost roznosiła go agresja i wolałam nie myśleć, do czego by doszło, gdyby całkiem stracił panowanie nad sobą. - Chciał pożyczyć notatki z Hamleta - dokończyłam stanowczo. - Tydzień temu ściągał ode mnie na kartkówce i chyba mu się to spodobało.

- Kochanie - mama pogłaskała mnie po wciąż wilgotnych po kąpielii włosach - rozumiem, że się zdenerwowałaś. Jak chcesz, zadzwonię do jego rodziców. Pokręciłam głową.

- To zrobię śniadanie - zaproponowała. - Ubierz się. Jak zejdziesz, będzie gotowe.

Gdy otwierałam szafę, zadzwonił telefon.

- Już wiesz? Jedziemy w czwórkę na kemping! - wykrzyknęła Vee, dziwnie radosna.

- Posłuchaj - odparłam z drżeniem w głosie. - Elliot planuje coś straszego. Chce nas zabrać na kemping tylko po to, żebyśmy zostały z nim same. Nie jedziemy.

- Jak to: nie jedziemy? Żartujesz?! Nareszcie możemy mieć na feriach trochę frajdy, a ty się nie zgadzasz? Wiesz, że mama w życiu mnie nie puści samej. Zrobię, co zechcesz. Serio. Tydzień będę odrabiała za ciebie zadania. Nora, dajże spokój. Powiedz to jedno słówko. Powiedz. Na literę „T”..

Dłoń, w której trzymałam komórkę, tak mi się trzęsła, że musiałam ją podeprzeć drugą.

- Piętnaście minut temu był u mnie Elliot, pijany. Groził mi... fizycznie.

Vee nie odzywała się przez chwilę.

- Jak to „fizycznie”?

- Wywłókł mnie na werandę i przypierał do muru.

- Ale był pijany, tak?

- Co z tego? - odwarknęłam.

- Chłopak ma problemy. Niesłusznie oskarżyli go o udział w samobójstwie jakiejś laski, no i musiał zmienić szkołę. Jeśli zrobił ci krzywdę, a bynajmniej go nie usprawiedliwiam, to może... no, wiesz, potrzebuje terapii?

- Jeśli zrobił mi krzywdę?

- Był zalany. Może... może nie panował nad sobą. Jutro będzie miał wyrzuty sumienia.

Otworzyłam usta i natychmiast je zamknęłam. Nie mieściło mi się w głowie, że Vee trzyma stronę Elliota.



- Muszę kończyć - ucięłam. - Później pogadamy.
- Skarbie, mogę być z tobą tak do końca szczerą? Wiem, że się przejmujesz tym gościem w kominiarce. Nie gniewaj się, ale moim zdaniem próbujesz zrzucić to na Elliota tylko dlatego, że nie chcesz, by to była sprawka Patcha. Wszystko tak racjonalizujesz, że można dostać bzika.

Zatkało mnie.

- Racjonalizuję? To nie Patch przyszedł do mnie rano i nie on mną tarosił.
- Wiesz co? Bez sensu to poruszyłam. Zostawmy to, okej?
- Dobrze - odparłam sztywno.
- Yyy... co dzisiaj robisz?

Wystawiłam głowę za drzwi, nasłuchując mamy. Z kuchni dochodziły odgłosy ubijania jajek. Dalsze wtajemniczanie Vee w moje sprawy nie miało sensu, ale czułam się urażona i zła. Chce znać moje plany? Proszę bardzo. Jak się jej nie spodoba, nic na to nie poradzę.

- Gdy tylko mama wyjedzie na wesele do Old Orchard Beach, wybieram się do Portland. - Ceremonia zaczyna się o czwartej i biorąc pod uwagę przyjęcie, mama nie powinna wrócić wcześniej niż o dziewiątej. Mogłabym więc spokojnie spędzić wieczór w Portland i zdążyć do domu przed nią. - Pożyczyłabyś mi dodge'a? Lepiej, żeby mama nie zorientowała się, sprawdzając licznik.

-O rany. Chcesz szpiegować Elliota! Pomyszkować w Kinghorn.

- Chcę kupić parę rzeczy i zjeść jakąś kolację - odpowiedziałam, przesuwając wieszaki.

Wyjęłam z szafy lekki trykot z długimi rękawami, dzinsy i czapkę w biało-różowe pasy, zarezerwowaną na weekendy i dni, kiedy nie chciało mi się czesać.

- A na tę kolację zatrzymasz się w pewnym barze nieopodal szkoły? Tam gdzie pracowała Kjirsten... zapomniałam jej nazwisko.

- Niezły pomysł - odparłam. - Może.

- A zjesz coś w ogóle czy od razu wypytasz pracowników?

- Może popytam ich o parę rzeczy. Więc jak z tym samochodem?

- Jasne, że ci pożyczę - odpowiedziała Vee. - Od czego ma się najlepszą przyjaciółkę? I nawet z tobą pojedę, chociaż ta wycieczka to porażka. Ale najpierw obiecaj, że wybierzesz się na kemping.

- Nieważne. W końcu jest też autobus.

- O feriach pogadamy później! - zawołała Vee do telefonu, zanim zdążyłam się rozłączyć.

Byłam w Portland już kilka razy, ale niezbyt dobrze znałam miasto. Wysiadłam z autobusu uzbrojona w komórkę, mapę i wewnętrzny kompas. Wysokie i smukłe budynki z czerwonej cegły przysłaniały zachodzące słońce, które prześwitywało zza gęstych chmur burzowych. Ulice kryły się pod baldachimem cienia. Każdy sklep miał z przodu werandę i oryginalny szyld nad wejściem. Oświetlenie uliczne stanowiły czarne latarnie w kształcie kapelusza czarownicy. Minąwszy

tłoczne śródmieście, weszłam w zalesioną okolicę i po chwili ujrzałam znak wskazujący prywatną szkołę Kinghorn. Zza wierzchołków drzew wyłaniały się strzelista katedra i wieża z zegarem.

Idąc cały czas chodnikiem, na rogu skręciłam w Trzydziestą Drugą Ulicę. Port był nieopodal, tak że przed oczyma, między sylwetami sklepów, raz po raz migały mi wpływające statki. W połowie Trzydziestej Drugiej zobaczyłam szyld bistra U Ślepego Joe. Wyjęłam z kieszeni pytania i przeczytałam je raz jeszcze. Zgodnie z planem wywiad miał wyglądać jak najmniej oficjalnie. Liczyłam, że jeśli niby mimochodem poruszę temat śmierci Kjirsten w rozmowie z pracownikami, uda mi się dowiedzieć czegoś, co wcześniej umknęło dziennikarzom. Z nadzieją, że nie zapomnę pytań, ukradkiem wyrzuciłam listę do najbliższego kosza na śmieci. Gdy przekroczyłam próg bistra, nad drzwiami zadzwieczał dzwonek.

Podłoga była wyłożona żółto-białymi płytkami, a boksy miały obicie w kolorze morskiego błękitu. Na ścianach wisiały zdjęcia portu. Usiadłam niedaleko drzwi i rzuciłam płaszcz.

Podeszła do mnie kelnerka w poplamionym białym fartuszk.

- Mam na imię Whitney - oznajmiła skwaszonym tonem. - Witam U Ślepego Joe. Dzisiaj polecamy kanapkę z tuńczykiem i zupę z homara. - Przygotowała długopis, żeby zanotować zamówienie.

- Ślepy Joe? - Marszcząc brew, post u kalam palcami o brodę. - Zaraz, skąd ja znam tę nazwę?

- Nie czytasz gazet? Miesiąc temu pisali o nas cały tydzień. Mieliśmy te piętnaście minut sławy...

- A! - udałam, że kojarzę. - Faktycznie, pamiętam. Morderstwo, prawda? Czy ta dziewczyna nie tu pracowała?

- Tak, Kjirsten Halverson. - Kelnerka niecierpliwie pstryknęła długopisem. - Na początek będzie miska zupy?

Nie miałam ochoty na zupę z homara. W ogóle nie byłam głodna.

-To pewnie dla ciebie niełatwe... Przyjaźniłyście się?

-Gdzie tam! Zamawiasz czy nie? Zdradzę ci pewien sekret. Jak nie pracuję, nie zarabiam. A jak nie zarabiam, to nie płacę czynszu.

Nagle zapragnęłam, by obsługiwał mnie kelner stojący po drugiej stronie sali. Był niski, łysy jak kolano i posturą przy pominął wykałaczkę z pojemnika przede mną. Wzrokiem sięgał najwyżej metr nad ziemię. Mimo że po fakcie z pewnością czułabym się okropnie, wystarczyłby jeden uśmiech, żeby wyciągnąć od niego życiorys Kjirsten z detalami.

- Przepraszam - powiedziałam do Whitney. - Wciąż myślę o tej zbrodni.

Naturalnie dla ciebie to nic nowego. Pewno ciągle męczą cię o to dziennikarze. Spojrzała na mnie krzywo.

- Chcesz jeszcze przejrzeć kartę?

- Mnie osobiście dziennikarze irytują.

Pochyliła się nad stołem, podpierając ręką o blat.

- Mnie drażnią niezdecydowani klienci. Wzdychając cicho, otworzyłam kartę.

- Co byś poleciła?

- Wszystko jest dobre. Spytaj mojego chłopaka - uśmiechnęła się przez zaciśnięte usta - on gotuje.

- A propos chłopaka... Kjirsten kogoś miała? Jak melodyjnie mi się to powiedziało. - uznałam.

- Mów - zażądała Whitney. - Jesteś gliną? Adwokatką? Dziennikarką?

- Z troską obywatelką - zabrzmiało to jak pytanie.

- Aha. Jak tak, to wiesz co? Zamówisz koktajl mleczny, frytki, hamburgera, miskę zupy i dasz mi dwudziestopięcioprocentowy napiwek, a ja ci wtedy opowiem to samo, co każdemu.

Musiałam sobie rozważyć: kieszonkowe czy odpowiedzi.

- Dobra.

- Kjirsten spiknęła się z takim jednym. Elliotem Saundersem. Pisali o nim w gazetach. Bez przerwy tu przesiadywał. Zawsze jak kończyła zmianę, odprowadzał ją do domu.

- Rozmawiałaś z nim?

- Ja nie.

- Myślisz, że Kjirsten popełniła samobójstwo?

- Skąd mogę wiedzieć?

- Czytałam, że w jej mieszkaniu znaleźli list samobójczy, ale były też ślady włamania.

- No i?

- Nie sądzisz, że to trochę... dziwne?

- Jak chcesz wiedzieć, czy myślę, że Elliot mógł go jej podrzucić, to tak, jasne. Taki dziany chłopak zawsze się jakoś wywinie. Pewnie najął kogoś do podrzucenia listu. Jak się ma trochę forsy, to łatwizna.

- Elliot chyba nie jest zbyt zamożny - odparłam. Zawsze wydawało mi się, że to Jules ma pieniądze. Vee aż piała z zachwytem nad jego domem. - Z tego co wiem, w Kinghorn uczył się tylko dzięki stypendium...

- Stypendium? - powtórzyła, prychając. - Chyba się naćpałaś? Skoro był taki biedny, to ciekawe za co kupił jej mieszkanie?

Z trudem ukryłam zaskoczenie.

- Naprawdę?!

- Ciągłe się tym chwaliła. Myślałam, że zwariuję.

- Po co kupił jej mieszkanie?

Whitney spojrzała na mnie, biorąc się pod boki.

- Nie udawaj, że jesteś taka tępa. Aha. Prywatność i intymność. Okej.

- A czemu Elliot przeniósł się z Kinghorn?

- Co? Nie wiedziałam.

Słuchając jej odpowiedzi, starałam się przywołać z pamięci niezadane jeszcze pytania.

- Spotykał się tu też z przyjaciółmi czy tylko z Kjirsten?

- Myślisz, że pamiętam? - Rozdrażniona, wzniosła oczy do nieba. - Wyglądam, jakbym miała pamięć fotograficzną?

- A kojarzysz takiego wysokiego gościa? Naprawdę wysoki. Długie jasne włosy, przystojny, ubrania na miarę.

Whitney zdarła zębami nierówny brzeg paznokcia i wsunęła go do kieszeni fartuszka.

- Tak. Trudno byłoby go nie zapamiętać. Markotny, w ogóle się nie odzywał. Był tu ze dwa razy. Nie tak dawno temu. Mniej więcej wtedy, kiedy zmarła Kjirsten. Pamiętam, bo w Dniu Świętego Patryka podawaliśmy kanapki z konserwą wołową i nijak nie dał się namówić. Gapił się na mnie tak, jakby chciał mi poderznąć gardło. Czekaj... Coś mi się przypomniało. Nie żebym była wścibska, no ale mam uszy i nieraz samo coś mi wpadnie. Ostatnio, jak ten wysoki siedział tu z Elliotem, gadali o jakimś sprawdzianie.

- Szkolnym?

- Skąd mam wiedzieć? Tak jakby ten wysoki oblał sprawdzian i Elliot był niezadowolony. Wypadł stąd jak burza. Nawet nie dojadł kanapki.

- Mówili o Kjirsten?

- Wysoki przyszedł pierwszy, spytał, czy Kjirsten w pracy. Powiedziałam, że nie, i wtedy zadzwonił gdzieś z komórki. Dziesięć minut później wszedł Elliot. Zawsze obsługiwała go Kjirsten, a że jej nie było, ja ją zastąpiłam. Nawet jeśli o niej rozmawiali, nic do mnie nie dotarło. Ale ten wysoki to chyba za nią nie tęsknił.

- Pamiętasz coś jeszcze?

- To zależy. Weźmiesz deser?

- Może kawałek ciasta.

- Ciasto? To ja ci poświęcam pięć minut cennego czasu, a ty chcesz zamówić tylko ciasto? Myślisz, że nie mam nic lepszego do roboty, jak sobie z tobą ucinąć pogawędkę?

Rozejrzałam się po sali. Była prawie pusta. Poza mężczyznę czytającym gazetę przy barze, byłam jedyną klientką.

- Okej... - Przebiegłam wzrokiem kartę.

- Do popicia ciasta najlepsza będzie malinowa lemoniada. - Zanotowała. - A na koniec jeszcze kawka. - Dopisała do rachunku. - I za to spodziewam się dodatkowych dwudziestu procent. - Zadowolona z siebie, wsunęła bloczek do fartuszka i kręcąc biodrami, poszła do kuchni.

## ROZDZIAŁ 21

Tymczasem na zewnątrz ochłodziło się i zaczęło mżyć. Wśród mgły, która zawisła nad ulicami, latarnie płonęły niesamowitym, trupim blaskiem.

Pospiesznie wyszłam z bistra, dziękując Bogu, że sprawdziłam prognozę pogody i zabrałam parasolkę. Po drodze widziałam, jak w barach zbierają się ludzie. Zbliżając się do przystanku, poczułam na szyi znajome lodowate tchnienie. Jak tej nocy, kiedy ktoś zaglądał mi przez okno do pokoju, jak w Delphic i wówczas, gdy Vee wyszła z Victoria's Secret w mojej kurtce. Schyliłam się, udając, że zawiązuję sznurówkę, i ukradkiem rozejrzałam się wokół. Chodnik po obu stronach ulicy był pusty.

Gdy zapaliło się zielone światło, przeszłam na drugą stronę. Przyspieszając kroku, wsunęłam torebkę pod ramię, pełna nadziei, że autobus się nie spóźni. Skręciwszy w alejkę za jakimś barem, minęłam grupkę palaczy i wyszłam na ulicę równoległą. Przebiegłam kolejną przecznicę, cofnęłam się i zrobiłam jeszcze koło. Co parę sekund oglądałam się za siebie.

Usłyszałam warkot autobusu, który po chwili wyjechał zza rogu, materializując się we mgle. Gdy zwolnił przy krawężniku, wsiadłam. Byłam jedyną pasażerką. Usiadłam kilka miejsc za kierowcą i zgarbiłam się, żeby mnie nie widział. Drzwi się zamknęły i autobus pomknął naprzód. O mało nie westchnęłam z ulgą, gdy w komórce pojawił się SMS od Vee:

„Gdzie jesteś?”

„Portland - odpisałam. - A ty?”

„Też. Na imprezie z Julesem i Elliotem. Spotkajmy się”.

„Co robisz w Portland?”

Nie czekając, aż odpisze, zadzwoniłam do niej. Rozmawia się szybciej, a sprawa była poważna.

- I jak? - zapytała. - W nastroju na imprezę?

- Mama wie, że bawisz się w Portland z dwoma facetami?

- Nie denerwuj się tak, skarbie.

- Nie wierzę, że przyjechałaś do Portland z Elliotem! -Ogarnęło mnie złe przeczucie. - Wie, że ze mną rozmawiasz?

- Co ty, żeby cię zabił?! Nie wie, sorry. Poleciał po coś z Julesem do Kinghorn i marznę tu solo. Przydałoby mi się towarzystwo. Ej! - wrzasnęła na kogoś. - Ręce przy sobie, dobra? Przy sobie! Nora? Jestem w dosyć nieciekawej okolicy.

Pospiesz się, okej?

- Gdzie jesteś?

-Czekaj... Więc tak: dom po przeciwnej stronie ma numer 1727. Ulica nazywa się chyba Highsmith.

- Postaram się być tam jak najszybciej. Ale nie zostanę. Wracam do domu i ty jedziesz ze mną. Niech się pan zatrzyma! - krzyknęłam do kierowcy.

Przyhamował i walnęłam nosem o siedzenie przed sobą.

- Którędy do Highsmith? - spytałam, kierując się do przodu.

Kierowca wskazał okna z prawej strony autobusu.

- Na zachód stąd. Masz zamiar iść pieszo? - Zmierzył mnie od stóp do głów. -

Ostrzegam, to niebezpieczna dzielnica.

Pięknie.

Przeszłam zaledwie kilkadziesiąt metrów, gdy stało się jasne, że kierowca nie przesadził. Krajobraz zmienił się zasadniczo. Ciekawe wystawy zastąpiły budynki zamalowane graffiti przez uliczne gangi. W zakratowanych oknach panował mrok. Chodniki ginęły we mgle jak opustoszałe ścieżki.

Rozległ się jakiś stukot i po chwili zobaczyłam kobietę pchającą wózek z torbami śmieci. Miała oczy jak rodzyнки, ciemne i paciorkowate, i przyglądała mi się bacznie, niemal jak drapieżnik.

- Co my tu mamy? - odezwała się przez szczerbate zęby. Cofnęłam się ostrożnie, przyciskając do siebie torebkę

- Palto, rękawiczki i ładną wełnianą czapkę - wyliczyła. Marzyłam o śliczniutkiej czapce z wełny.

- Dobry wieczór - odchrząknąwszy, starałam się, by zabrzmiało to przyjaźnie. - Może mi pani powiedzieć, jak daleko stąd do Highsmith Street?

Zarechotała.

- Tę drogę wskazał mi kierowca autobusu - dodałam jeszcze mniej pewnie.

- Powiedział, że do Highsmith tędy? - spytała, rozdrażniona. - Znam drogę do Highsmith, ale jest gdzie indziej.

Na próżno liczyłam, że rozwinie tę myśl.

- Mogłaby mnie pani pokierować? - zapytałam.

- Tu mam wszystkie kierunki. - Puknęła się w czoło palcem przypominającym powyginaną, sękatą gałąź. - Wszyściuteńkie.

- Więc którędy do Highsmith? - zachęciłam.

- Za darmo ci nie powiem - zbesztła mnie nagle. - To będzie trochę kosztowało. Dziewczyna musi z czegoś żyć. Nie wiesz, że w życiu nie ma nic za darmo?

- Nie mam pieniędzy - odparłam. W każdym razie miałam niewiele, na bilet do domu.

- Ale masz ciepłutkie palto.

Spojrzałam na swój ocieplany płaszcz. Zimny wiatr mierzwił mi włosy i na samą myśl o zdjęciu go dostałam na ramionach gęsiej skórki.

- To prezent na Gwiazdkę.

- Podwiewa mi tyłek - warknęła kobieta. - Chcesz wiedzieć, jak iść, czy nie chcesz?!

Nie mogłam uwierzyć, że tam stoję, że wymieniam się płaszczem z bezdomną. Vee miała u mnie tak wielki dług, że mogła go nigdy nie spłacić.

Zrzuciłam płaszcz i kloszardka momentalnie go założyła.

Z ust zaczęły mi buchać kłęby pary. Objęłam się, tupiąc nogami w miejscu, by stracić jak najmniej ciepła.

- Czy teraz już zechce mi pani wskazać drogę do Highsmith Street?

- Wolisz dłuższą czy krótszą?

- K... krótszą - zaszczekałam zębami.

- Ale za krótszą drogę będziesz musiała mi dopłacić. Zawsze marzyłam o ładnej czapce z wełny.

Ściągnęłam z głowy czapkę.

- Highsmith? - Podając ją kobiecie, starałam się zachować przyjazny ton głosu.

- Widzisz tę aleję? - zapytała, wskazując za moimi plecami.

Odwróciłam się. Aleja majaczyła kilkadziesiąt metrów w tyle.

- Wejdz w nią, przejdź na drugą stronę i to będzie Highsmith.

- I tyle? - nie dowierzałam. - Przecznicą dalej?

- Ciesz się, że to blisko, choć w taką pogodę wszędzie jest daleko. Rzecz jasna, mnie teraz ciepłutko, bo mam palto i czapkę. Daj jeszcze rękawiczki, to cię tam zaprowadzę.

Popatrzyłam na rękawiczki. Przynajmniej ręce mi nie marzły.

- Poradzę sobie.

Wzruszywszy ramionami, popchnęła wózek do następnego rogu, gdzie zajęła stanowisko pod ceglany domem.

Aleja była ciemna. Walały się na niej worki na śmieci i zamokłe kartonowe pudła. Zauważyłam też jakiś niezidentyfikowany garb, może stary grzejnik. Choć równie dobrze mogły to być zawinięte w dywan zwłoki. Do połowy alei ciągnęło się ogrodzenie z drutu. Zazwyczaj z dużym trudem pokonywałam półtorametrowy płot, a co dopiero ogrodzenie wysokości trzech metrów. Z obu stron otaczały mnie domy z cegły o za smarowanych i pozamykanych tu dziesięć spustów oknach.

Przestępując drewniane skrzynie i worki pełne śmieci, brnęłam w głąb ulicy. Pod stopami trzeszczały odłamki szkła. Raptem spod nóg wyleciał jakiś biały kształt, aż straciłam od dech. Kot, najzwyczajniejszy kot zniknął przede mną w mroku.

Sięgnęłam do kieszeni, by posłać Vee SMS-a. Chciałam jej powiedzieć, że jestem w pobliżu, i poprosić, żeby mnie wypatrywała, gdy przypomniało mi się, że przecież zostawiłam komórkę w płaszczu. No nieźle - pomyślałam. -

Kloszardka w życiu nie odda mi komórki!

Postanowiłam jednak spróbować. Kiedy się obróciłam, aleją przejechał lśniący czarny sedan. Światła hamulcowe rozbłysły nagle czerwienią.

Wiedziona ślepym instynktem, skuliłam się w cieniu domu.

Drzwi samochodu otworzyły się i ciszę przerwał odgłos strzałów. Dwóch. Ktoś zatrzaskał drzwi i sedan pomknął w dal z piskiem opon. Serce waliło mi jak młotem przy wtórze szybkich kroków. Po chwili uzmysłowiłam sobie, że to moje kroki i że mknę do wylotu ulicy. Skręciłam za rogiem i stanęłam jak wryta.

Na stercie śmieci na chodniku leżała bezdomna.

Przypadłam do niej.

- Nic pani nie jest? - szepnęłam w oblędzie, przewracając ją na plecy.

Miała rozwarte usta i tępe rodzynkowe oczy. Spod płaszcza, który przed kilkoma

minutami miałam na sobie, tryskała struga ciemnego płynu...

Chciałam od niej odskoczyć, ale w końcu odważyłam się sięgnąć do kieszeni.

Musiałam zadzwonić po pomoc, komórki jednak nie znalazłam.

Na rogu po drugiej stronie ulicy spostrzegłam budkę telefoniczną. Wbiegłam do niej i wykręciłam dziewięćset jedenaście. Czekając, aż zgłosi się operatorka, spojrzałam w stronę ciała kobiety i w jednej sekundzie poczułam zimny strzał adrenaliny. Trup zniknął.

Drżącą ręką odwiesiłam słuchawkę. Uszy wypełnił mi odgłos kroków, ale nie wiedziałam, czy dochodzą z bliska, czy z daleka.

Tup, tup, tup.

To on - pomyślałam. - Facet w kominiarce.

Wepchnąwszy do aparatu kilka monet, chwyciłam słuchawkę. Próbowałam przypomnieć sobie numer komórki Patcha. Zaciskając powieki, przywołałam w pamięci siedem cyfr, które wypisał mi na dłoni czerwonym atramentem, kiedy się poznaliśmy. Wykręciłam je bez namysłu.

- Tak? - odezwał się Patch.

Na dźwięk jego głosu niemal się rozplakałam. W tle slychać było zderzające się bile, na pewno więc był w Bo's Ai cade. Mógł tu dotrzeć w piętnaście, góra dwadzieścia minut.

- To ja - nie odważyłam się powiedzieć tego głośno.

- Nora?

-Jestem w P... Portland. Na rogu Hampshire i Nantucket. Przyjedziesz po mnie? To pilne.

Skulona w dole budki, liczyłam po cichu do stu, starając się zachować spokój, kiedy podjechał czarny jeep commander. Patch rozsunął drzwi budki i przykucnął przede mną

Zdjął wierzchnie ubranie - czarną bluzę z długimi rękawami - i został w czarnym podkoszulku. Nasunął mi bluzę na głowę i po chwili ramiona znalazły się w rękawach. Wydawałam się mniejsza, bo rękawy zwisały luźno poniżej palców. Bluza pachniała dymem, słoną wodą i miętowym mydłem. Miała w sobie coś takiego, że poczułam przyływ pewności.

- Chodźmy do auta - powiedział Patch.

Kiedy pomógł mi się podnieść, objęłam go za szyję ramionami i wtuliłam się w niego.

- Niedobrze mi. - Świat nagłe zawirował. - Muszę wziąć żelazo.

-Ciii... - Przygarnął mnie mocno. - Wszystko będzie dobrze. Jestem przy tobie. Udało mi się skinąć.

- Wyośmy się stąd. Przytaknęłam.

- Trzeba zabrać Vee - powiedziałam. - Jest na imprezie, niedaleko.

Gdy Patch skręcał za róg, w głowie rozbrzmiewało mi echo szczękających zębów. Jeszcze nigdy nie byłam tak przerażona. Widok martwej kloszardki



przywołał myśli o tacie. Wszystko wokół wydawało się nasączone czerwienią i mimo usilnych starań nie mogłam uwolnić się od wizji krwi.

- Grałeś w bilard? - zapytałam, przypominając sobie stukot bil w czasie naszej krótkiej rozmowy przez telefon.

- Byłem bliski wygrania domu.

- Domu?

-Jednego z tych szpanerskich, nad jeziorem. Coś okropnego. Jesteśmy na Highsmith. Masz adres?

- Nie mogę sobie przypomnieć. - Podniosłam się trochę, by lepiej widzieć ulicę. Wszystkie domy wyglądały na opuszczone. Ani śladu imprezy. Ba! Ani śladu życia.

- Masz komórkę? - zapytałam. Wyciągnął z kieszeni blackberry.

- Kończy mi się bateria. Nie wiem, czy wystarczy na rozmowę.

Posłałam Vee SMS-a.

„Gdzie jesteś?”

„Zmiana planów - odpisała. - J i E nie mogą znaleźć tego czegoś. Jedziemy do domu”.

Ekranik zalała czern.

- Padła - oznajmiłam Patchowi. - Masz ładowarkę?

- Nie przy sobie.

- Vee wraca do Coldwater. Mógłbyś mnie wysadzić pod jej domem?

Parę minut później znaleźliśmy się na przybrzeżnej autostradzie, mknąc przez urwisko nad oceanem. Znałam tę okolicę. Tuż po zachodzie słońca woda przybiera barwę szarego błękitu i gdzieniegdzie pojawiają się na niej refleksy roślin zimozielonych. Teraz, nocą, ocean wyglądał jak niezmierna gładka tafla czarnej trucizny.

- Powiesz mi, co się stało? - spytał Patch.

Wciąż nie podjęłam decyzji, czy powinnam mu cokolwiek zdradzać. Mogłam opowiedzieć, jak kloszardka podstępnie odebrała mi płaszcz, a potem została zastrzelona. Mogłam powiedzieć, że kule były chyba przeznaczone dla mnie. Mogłam też spróbować mu opisać, jak zwłoki kobiety tajemniczo rozwiały się w powietrzu.

Przypomniałam sobie wściekłe spojrzenie, jakim poczęstował mnie detektyw Basso, kiedy mu powiedziałam, że ktoś włamał mi się do pokoju. Stwierdziłam, że nie zniosę świdrującego wzroku i szyderstwa Patcha. A już na pewno nie teraz.

- Zgubiłam się i zagadała mnie bezdomna. W końcu oddałam jej płaszcz... -

Pociągnęłam nosem i wytarłam go wierzchem dłoni. - Czapkę też mi odebrała.

- Co cię tam poniosło? - zapytał Patch.

- Miałam się spotkać z Vee na imprezie.

Byliśmy w połowie drogi między Portland i Coldwater, w bujnie zarośniętej,

niezamieszkaną okolicę - gdy nagle spod maski jeepa zaczęła się dobywać para. Patch spokojnie przyhamował i zjechał na pobocze.

- Zaczekaj - powiedział, wysiadając. Podniósł maskę auta i zniknął mi z oczu. Chwilę później zatrzasnął maskę. Otarłszy ręce o spodnie, podszedł do mojego okna i dał mi znak, bym je otworzyłam.

- Niestety - rzekł krótko - wysiadł silnik. Próbowałam zrobić niesłychanie mądrą minę, ale i tak

wiedziałam, że jest bez wyrazu. Patch uniósł brwi i oświadczył:

- Niech spoczywa w pokoju.

- Nie pojedzie?

- Chyba że go popchamy.

Że też musiał wygrać takiego rzecha.

- Gdzie masz komórkę? - spytał.

- Zgubiłam.

Uśmiechnął się.

- Niech zgadnę. W kieszeni płaszczka. Kloszardka nieźle się obłowiała.

Ogarnął wzrokiem horyzont.

- Mamy dwie możliwości. Albo złapać okazję, albo przejść się do następnego zjazdu i poszukać telefonu.

Wysiadłam, mocno zatraskując drzwi. Kopnęłam przednie koło jeepa. Furią starałam się pokryć przerażenie dzisiejszymi zdarzeniami. Gdybym tylko była sama, rozryczałabym się z miejsca.

- Przy następnym zjeździe jest chyba motel - odparłam, jeszcze głośniej szcękając zębami. - P-p-p-popilnuj samochodu.

Uśmiechnął się leciutko, ale bez rozbawienia.

- Nie spuszczę cię z oka, Aniele. Mieszka ci się w głowie. Pójdziemy razem.

Skrzyżowałam ręce, żeby mu się postawić. Byłam w tenisówkach, więc twarzą sięgałam mu zaledwie do ramion i by mu spojrzeć w oczy, musiałam wyciągnąć szyję.

- Nie idę z tobą do żadnego motelu - rzekłam stanowczo, aby przypadkiem nie zmienić zdania.

- Sądzisz, że my plus uśpiony motel to zbyt ryzykowna kombinacja?

Tak właśnie pomyślałam. Patch oparł się o jeepa.

- Możemy tu tak siedzieć i dalej się sprzeczać - spojrzał na zasnuwane chmurami niebo - ale ta burza i tak zaraz nas pogoni.

Tak jakby matka natura postanowiła potwierdzić tę prognozę, niebo rozwarło się i lunął deszcz ze śniegiem. Zmierzyłam Patcha wzrokiem i westchnęłam wściekle. Jak zwykle się nie mylił.

## ROZDZIAŁ 22

Dwadzieścia minut później przemoknięci do suchej nitki stanęliśmy przed wejściem do taniego motelu. Gdy brnęliśmy przez ulewę, nie odezwałam się do Patcha nawet słowem i oczekiwałam nie tylko wodą, ale też... irytacją. Z nieba płynęły kaskady deszczu, stwierdziłam więc, że nieprędko wrócimy do jeepa i kombinacja: ja, Patch oraz motel w najbliższym czasie się nie zmieni.

Gdy weszliśmy, zadzwieczał dzwonek nad drzwiami i recepcjonista wstał gwałtownie, strzepując z kolan okruszyny chrupek.

- Jaki ma być pokój? - spytał, oblizując palce z pomarańczowego śluzu. - Państwo razem?

- M-m-m-musimy skorzystać z telefonu - zaszczekałam w nadziei, że zrozumie prośbę.

- Nic z tego. Pozrywało kable. Burza.

- J-j-j-jak to: p-p-p-pozrywało kable? Ma pan komórkę? Recepcjonista spojrzał na Patcha.

- Chcemy pokój dla niepalących - wyjaśnił Patch.

Spiorunowałam go wzrokiem.

- Odbiło ci? - powiedziałam bezgłośnie. Recepcjonista postukał w klawiaturę.

- Wszystko wskazuje na to, że mamy... Chwila. Bingo! Apartament dla niepalących.

- Bierzemy - odparł Patch.

Odwrócił się do mnie i kącki jego ust się uniosły. Zmrużyłam oczy.

W tym momencie mrugnęły lampy pod sufitem i recepcja pograżyła się w ciemności. Chwilę staliśmy bez ruchu, aż wreszcie recepcjonista pogmerał koło siebie i zapalił potężną latarkę.

- Należałem do skautów - poinformował nas. - W młodości. „Czuwaj!”.

- W-w-w-więc chyba ma pan komórkę? - zapytałam.

- Miałem. Dopóki było mnie stać na rachunki. - Wzruszył ramionami. - A mama jest strasznie skąpa.

Mama? Gość miał koło czterdziestki. Ale nic tym się przejęłam, tylko myślą, co zrobi moja mama, gdy po powrocie z przyjęcia nie zastanie mnie w domu.

- Jak chcecie płacić? - zapytał recepcjonista.

- Gotówką - odpowiedział Patch. Kiwając głową, recepcjonista zachichotał.

- To u nas powszechna forma płatności. - Pochylił się i dodał konfidencjonalnym tonem: - Ludzie nieraz chcą ukryć, co robią poza pracą, wiecie, o co chodzi...

Część mózgu odpowiedzialna za logiczne myślenie podpowiadała mi, że spędzenie nocy z Patchem w motelu jest całkowicie wykluczone.

- To szaleństwo - powiedziałam do Patcha półgłosem.

- Pewnie. - Jego usta znów były na granicy uśmiechu. - Szaleję za tobą. Ile za tę latarkę? - spytał recepcjonisty.

Facet pogrzebał pod kontuarem.

- Mam coś lepszego: świece typu survival. - Podsunął je nam, zapalając jedną. - Są darmowe, nie płacicie ekstra. Jedną postawcie w łazience, a drugą koło łóżka, światło będzie jak od lampy. Dorzucę wam zapalniczki. Nawet jak się to nie przyda, zostanie miła pamiątka.

- Dzięki. - Patch ujął mnie pod łokieć i poprowadził w głąb korytarza. Gdy weszliśmy do sto szóstki, zaryglował drzwi. Płonącą świecę postawił na nocnym stoliku i odpalił od niej drugą. Zdjął czapkę i otrzepał mokre włosy jak pies.

- Weź prysznic - powiedział, zaglądając do łazienki. Jest mydło i dwa ręczniki. Uniosłam brodę.

- N-n-n-nie możesz mnie zmusić, żebym tu została. Zgodziłam się wlec taki kawał drogi, bo po pierwsze nie miałam ochoty stać na deszczu, a po drugie, liczyłam, że znajdziemy telefon.

- To brzmi jak pytanie.

- Więc o-o-o-odpowiedz.

Na jego twarzy odmalował się znajomy łobuzerski uśmiech.

- Wyglądasz tak, że trudno mi się skupić na odpowiedzi. Spojrzałam na przylepioną do ciała czarną bluzę, minęłam go i zamknęłam za sobą drzwi łazienki.

Odkręciłam kurek na fuli i rozebrałam się. Do ściany prysznicowa była przyklejony długi czarny włos. Zdjęłam go przez kawałek papieru toaletowego, wrzuciłam do klozetu i spuściłam wodę. Następnie weszłam pod prysznic i obserwowałam, jak skóra czerwienieje od ciepła.

Namydlając kark i ramiona, stwierdziłam, że jednak mogę spać z Patchem w jednym pokoju. Nie było to zbyt mądre ani zbyt bezpieczne, ale postanowiłam dopilnować, by nic się nie zdarzyło. Poza tym nie miałam wyboru.

Spontaniczna i lekkomyślna część mózgu wyśmiała mnie. Wiedziałam, co kombinuje. Z początku ciągnęła mnie do Patcha pewna aura tajemnicy, a teraz już coś innego. Niesamowity żar... Tej nocy musiało dojść do czegoś między nami. W dziesięciopunktowej skali przerażało mnie to na osiem, a podniecało na dziewięć punktów.

Zakręciłam wodę, wyszłam spod prysznicowa i wytarłam się do sucha. Ciuchy były tak mokre, że nie mogłam założyć ich z powrotem. Pomyślałam, że może gdzieś w okolicy jest suszarka na monety i... działająca bez prądu. Westchnąwszy, założyłam majtki i koszulkę, które jakimś cudem przetrwały powódź.

- Patch? - szepnęłam przez drzwi.

- Skończyłaś?

- Zdmuchnij świecę.

- Załatwione - odszepnął.

Jego śmiech też zabrzmiał delikatnie jak szept.

Zdmuchnęłam świecę i wyszłam z łazienki - w ciemność. Słyszałam przed sobą

oddech Patcha... Stwierdziwszy, że lepiej nie myśleć, czy ma coś na sobie, potrząsnęłam głową, by rozbić obrazek, który sobie wyobraziłam.

- Ciuchy mi przemokły, nie mam co na siebie włożyć. Zaczął się rozbierać. Mokre ubranie szeleściło na skórze jak gumowa wycieraczka.

- Ale ze mnie szczęściarz. - Podkoszulek wylądował na stercie pod naszymi stopami.

- Jakoś mi niezręcznie...

Poczułam, że się uśmiecha. Stał o wiele za blisko.

- Wykąp się - powiedziałam. - No już!

- Aż tak brzydko pachnę?

Prawdę mówiąc, pachniał przecudownie. Woń dymu ulotniła się, a mięty uwydatniła.

Patch zniknął w łazience. Zapalił świecę. Drzwi zostawił uchylone i w pokoju pojawiła się smuga światła.

Usiadłam na ziemi i oparłam głowę o ścianę. Absolutnie nie powinnam tu zostawać... Powinnam wracać do domu. Nie chodzi nawet o śluby czystości. Trzeba zgłosić śmierć kloszardki... A może nie? Bo jak miałabym zgłosić trupa, który zniknął? Myśli i tak już zmierzały w stronę obłędu.

Aby nie oszaleć, skoncentrowałam się na głównym argumencie przeciw. Nie mogłam zostać w motelu, wiedząc, że Vee jest z Elliotem i coś jej grozi, gdy ja jestem bezpieczna.

Po chwili namysłu stwierdziłam, że muszę na to spojrzeć z innej perspektywy. „Bezpieczna” to w tej sytuacji dość względne określenie. Jak dotąd Patch nie wyrządził mi żadnej krzywdy, co jednak nie znaczy, że będzie moim aniołem stróżem...

W sekundzie pożałowałam myśli o aniele stróżu. Z całą stanowczością porzuciłam wszelkie myśli o aniołach - opiekunach, upadłych i innych. Powiedziałam sobie, że naprawdę świruję. Śmierć kloszardki musiała być tylko halucynacją tak jak blizny Patcha.

Patch zakręcił wodę i wyszedł z łazienki w samych dżinsach, które opadły mu na biodra. Nie zgasił świecy i zostawił szeroko otwarte drzwi. Pokój wypełniło rozproszone światło.

Sądząc po wyglądzie, regularnie uprawiał jogging i podnosił ciężary. Tak pięknego ciała nie sposób zbudować bez morderczej pracy. Nagle poczułam się nieswojo, żeby nie powiedzieć „miętko”.

- Po której stronie chcesz spać?

- Yyy...

Chytry uśmieszek.

- Zdenerwowana?

- Nie - odparłam, starając się, by w tych okolicznościach zabrzmiało to pewnie. A okoliczności były takie, że kłamałam jak z nut.

- Fatalny z ciebie kłamczuch - powiedział z uśmiechem. - Najgorszy, jakiego znam.

Wzięłam się pod boki, komunikując: „Słucham?”.

- Chodź. - Uniósł mnie z podłogi.

Niedawna nadzieja na opór rozwiązała się momentalnie. Jeszcze dziesięć sekund tej bliskości i mój system obronny legnie w gruzach.

Na ścianie - za Patchem - wisiało lustro. Spostrzegłam połyskujące na plecach blizny w kształcie odwróconego „V”.

Struchlałam. Nie udało mi się odpędzić wizji szram mruganiem oczu - istniały naprawdę.

Bez namysłu objęłam go i pogładziłam ręką po plecach. Po lewej stronie pod palcami wyczułam bliznę.

Patch napiął się pod dotykiem. Zadrżała mi ręka. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że nie tylko ona. Cała się trzęsłam.

Wessała mnie jakby miękka, czarna rynna - i wszystko pociemniało.

## ROZDZIAŁ 23

Stałam na dolnym poziomie Bo's Arcade, odwrócona plecami do ściany, twarzą do stołów bilardowych. Z głośników rozbrzmiewała piosenka Stevie Nicks o białoskrzydłej gołębiczy i dobieganiu siedemnastki. Nikogo nie zdziwiło, że pojawiłam się znikąd.

Nagle przypomniałam sobie, że stoję tylko w majtkach i koszulce. Nie jestem specjalnie próżna, ale żeby stanąć prawie naga w tłumie złożonym z samych facetów i nie wywołać żadnej reakcji? Coś się nie zgadzało. Uszczypnęłam się.

Byłam jak najbardziej żywa. Machając ręką, by rozpędzić kłęby dymu z cygar, po drugiej stronie sali spostrzegłam Patcha. Siedział wyciągnięty przy stole do pokera i przyciskał do piersi karty.

Bosa, ruszyłam w jego kierunku, krzyżując ręce, by osłonić biust.

- Możemy pogadać? - syknęłam mu do ucha.

Mój głos zabrzmiał niespokojnie. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że nie miałam bladego pojęcia, jak znalazłam się w Bo's Arcade. Przecież dopiero co byłam w motelu.

Patch rzucił kilka żetonów na stos pośrodku stołu.

- Może teraz?! - powiedziałam. - To pilne... - urwałam, zauważywszy kalendarz na ścianie. Pokazywał sierpniową datę sprzed ośmiu miesięcy, tuż przed rozpoczęciem mojego drugiego roku w szkole. Długo przed poznaniem Patcha. Stwierdziłam, że to pomyłka, że ktoś nie pozrywał kartek, ale też zastanowiło mnie, dlaczego kalendarz jest tam, gdzie być powinien, a ja nie.

Przysunęłam sobie krzesło od stolika obok i usiadłam przy Patch u.

-Ma w rękę piątkę i dziewiątkę pik, asa kier... -zorientowałam się, że nikogo to nie

ciekawi. Nie, zaraz. Nikt mnie nie widzi!

Na schodach rozległ się odgłos ciężkich kroków. Po chwili ujrzałam kasjera, który chciał mnie wyrzucić, gdy byłam tu pierwszy raz.

- Ktoś na górze chce z tobą gadać - oznajmił Patchowi. Patch uniósł brwi w niemym pytaniu.

- Nie chce podać nazwiska - rzekł przepaszająco kasjer. - Pytałem ją kilka razy. Mówiłem, że jesteś zajęty grą, ale nie chciała odejść. Jak chcesz, to ją wywalę.

- Nie, przyślij ją tu.

Patch wyłożył karty, zebrał żetony i wstał.

- Kończę.

Podszedł do stołu najbliższej schodów i oparłszy się o niego, wsunął ręce do kieszeni.

Podążyłam za nim. Strzeliłam mu palcami przed nosem. Kopnęłam go w nogę. Grzmotnęłam w klatę. Nawet nie drgnął.

Na schodach rozległy się lekkie kroki i gdy z ciemności wyłoniła się pani Greene, poczułam się nieswojo. Włosy miała rozpuszczone i zupełnie proste. Była we wzorzystych dzinsach i obcisłej różowej bluzce bez rękawów, boso. W tym stroju wyglądała prawie na mój wiek. Ssała lizaka.

Twarz Patcha zawsze jest nieodgadniona i nigdy nie wiem, o czym myśli. Ale na panią Greene patrzył wyraźnie zaskoczony. Szybko doszedł do siebie, tłumiąc całe napięcie, a w jego oczach odmalowała się ostrożność i nieufność.

- Dabria?

Serce zabiło mi mocniej. Próbowałam się uspokoić, ale myślałam tylko o jednym: skoro to się dzieje osiem miesięcy wstecz, to skąd oni się znają? Przecież wtedy jeszcze nie pracowała w szkole. I dlaczego mówi do niej po imieniu?

- Co słyhać? - zapytała pani Greene, Dabria, ze wstydliwym uśmiechem, wrzucając lizaka do kosza.

- Co tu robisz? - Był jeszcze bardziej czujny, tak jakby na jej widok pomyślał, że świat nie zawsze jest taki, jak nam się zdaje.

- Wymknęłam się - odparła z krzywym uśmiechem. Musiałam cię znów zobaczyć. Staram się od dawna, ale wymogi bezpieczeństwa... cóż, nie są zbyt łatwe do obejścia. Takim jak my nie wolno się spotykać. Sam wiesz.

- Źle, że tutaj przyszedłaś.

- Wprawdzie długo się nie widzieliśmy, ale liczyłam na miłą reakcję. - Dabria wydęła wargi.

Patch nie zareagował.

- Nieustannie o tobie myślę - ściszyła głos do seksownego szeptu i zbliżyła się do niego. - Niełatwo było się tu dostać. Lucianna usprawiedliwia teraz moją nieobecność. Ryzykuję jej przyszłość, swoją także. Zechcesz chociaż, posłuchać, co ci mam do powiedzenia?

- Mów - rzekł bez cienia ufności.

- Nie zrezygnowałam z ciebie. Przez cały ten czas... -Nagle załzawiły się jej oczy i gdy odezwała się znowu, jej drżący głos zabrzmiał spokojniej. – Wiem, w jaki sposób możesz odzyskać skrzydła.

Nie odwzajemnił uśmiechu.

- Gdy tylko je odzyskasz, wrócisz do domu - powiedziała już pewniej. - I będzie jak dotąd. Nic się nie zmieniło. Prawie.

- Jaki jest kruczek?

- Nie ma żadnego. Musisz ocalić ludzkie życie. To bardzo sensowne, wzięwszy pod uwagę czyn, za który zostałeś wygnany.

- A moja ranga?

Dabria najwidoczniej straciła pewność, tak jakby zadał pytanie, którego chciała uniknąć.

- Właśnie usłyszałeś, jak odzyskać skrzydła - szepnęła z cieniem wyższości. - Chyba zasługuję na jakąś wdzięczność...

- Odpowiadaj. - Z jego ponurego uśmiechu wyczytałam, że dobrze wie. Albo przynajmniej się domyśla. Poczułam, że odpowiedź Dabrii go zirytuje.

- Proszę bardzo. Będziesz stróżem.

Patch przekrzywił głowę i zaśmiał się lekko.

- Co w tym złego? - spytała Dabria.

- Mam coś lepszego do roboty.

-Patch, posłuchaj. Nic nie jest od tego lepsze. Nie łudź się. Każdy inny upadły anioł ucieszyłby się, że może odzyskać skrzydła i stać się stróżem! A ty?! -

Niemal krztusiła się konsternacją, rozdrażnieniem i poczuciem odrzucenia.

Patch wyprostował się.

- Miło było cię spotkać. Dabrio. Wracaj szczęśliwie. Bez ostrzeżenia złapała go za koszulę i przyciągnawszy do siebie, wycisnęła na jego ustach pocałunek.

Patch pomału uwolnił się i chwycił ją za rękę.

W napięciu przełknęłam ślinę, próbując ignorować zmuszanie i ukłucie zazdrości w sercu. Chciałam odwrócić się, zapłakać, a jednocześnie odejść z krzykiem.

Chociaż i tak nic by mi to nie dało. Byłam niewidzialna. Czyli panią Greene...

Dabrię... coś kiedyś wiązało z Patchem. Czy teraz - to znaczy w przyszłości - też są parą?... Czy zatrudniła się w szkole, by być bliżej niego? Czy to sprawiło, że tak usilnie chciała mnie do niego zrazić?

- Pójdę już - oznajmiła, wyzwalając się z uścisku. - I tak zabawiłam tu zbyt długo.

Przyrzekłam Luciannie, że się pospieszę. - Oparła głowę na jego piersi. - Brak mi ciebie - szepnęła. - Ocal jedno ludzkie istnienie, a odzyskasz skrzydła. Wróc do mnie - błagała - wróc do domu. - Raptownie zmieniła ton: - Idę. Nikt nie może się dowiedzieć, że tu byłam. Kocham cię.

Kiedy się odwróciła, niepokój nagle zniknął z jej twarzy, ustępując miejsca przebiegłej pewności. Wyglądała tak, jakby to wszystko było jednym wielkim kłamstwem.



Niespodziewanie Patch złapał ją za nadgarstek.

- A teraz mów, co cię tu naprawdę przyniosło? Wzdrygnęłam się, słysząc w jego głosie złą nutę. Pozornie sprawiał wrażenie spokojnego, ale dla osoby, która znała go dłużej, jego rozdrażnienie było oczywiste. Rzucił Dabrii spojrzenie mówiące, że przekroczyła granicę i powinna czym prędzej się zabierać.

Patch poprowadził ją jednak w stronę baru. Posadził na stołku i usiadł obok.

Zająwszy miejsce przy nim, wychyliłam się, by usłyszeć go w jazgocie muzyki.

- Jak to, co? - zająknęła się Dabria. - Przecież mówię..

- Kłamiesz.

Była wyraźnie zaskoczona.

- Nie wierzę... myślisz...

- Powiedz prawdę, no już.

Dabria zawahała się. Spojrzała na niego z wściekłością i odparła:

- Dobrze. Wiem, co zamierzasz.

Patch roześmiał się, jakby mówiąc: „Mam mnóstwo planów. O który ci chodzi?”

- Wiem, że słyszałeś pogłoski o Księdze Henocha. I wydaje ci się, że możesz to powtórzyć, ale nic z tego.

Skrzyżował ręce na barze.

- Przysłali cię, żebyś mnie nakłoniła do zmiany kursu, prawda? - W jego oczach zaigrał uśmiech. - Jeśli stanowią aż takie zagrożenie, to chyba jednak nie pogłoski.

- Ależ tak, na pewno.

-Skoro zdarzyło się to raz, może się zdarzyć znowu.

- Nic się nie zdarzyło. Czyżbyś nawet nie zajrzał do Księgi przed upadkiem? - prowokowała. - Wiesz, co zawiera? Znasz te święte słowa?

- Może mi pożyczysz.

- Nie bluźnij! Nie wolno ci jej czytać! - wykrzyknęła. -Upadkiem dopuściłeś się zdrady niebiańskich aniołów.

- Ilu z nich wie, czego doświadczyłem? - spytał. - Jak wielkie stanowią zagrożenie?

Przekrzywiła głowę.

- Nie mogę ci tego wyjawić. Już i tak powiedziałam za dużo.

- Będą próbowały mnie powstrzymać?

- Mściciele tak. Spojrzał znacząco.

- Chyba że będą sądzić, iż mi to wyperswadowałaś.

- Nie patrz tak na mnie - stanowczy ton wiele ją kosztował. - Nie skłamię, aby cię chronić. Masz nieczne plany. Wbrew naturze.

- Dabria - wypowiedział jej imię, jakby grożąc. Równie dobrze mógłby wykręcić jej ramię.

- Nie mogę ci pomóc - odparła. - Nie w ten sposób. Wybij to sobie z głowy.

Zostań aniołem stróżem. Skup się na tym i zapomnij o Księdze Henocha.

Patch oparł łokcie na barze, zadumany. Po chwili usłyszałam:

- Powiedz im, że rozmawialiśmy i że wykazują takie chęci.

- Chęci? - nie dowierzała.

- Owszem. Powiedz, że nawet już pytałem o nazwisko. Skoro mam ocalić życie, muszę wiedzieć, kto pierwszy został wybrany do odejścia. Jako anioł śmierci masz dostęp do takich informacji.

-To informacja święta i poufna. Nie do przewidzenia. Ten świat zmienia się z każdą chwilą w zależności od ludzkich zachcianek...

- Dabrio, jakieś nazwisko...

-Obiecuj mi, że najpierw zapomnisz o Księdze. Daj słowo.

- Zaufałabyś mi?

- Nie - odrzekła. - Niestety.

Patch zaśmiał się obojętnie i biorąc wykałaczkę z pojemnika, ruszył w stronę schodów.

-Patch, zaczekaj... - Dabria zeskoczyła z taboretu. -Proszę cię, czekaj!

Obejrzał się.

- Nora Grey - powiedziała i z przestachem zakryła dłonią usta.

Patch zmienił wyraz twarzy, krzywiąc się z niedowierzaniem i udręką. Bez sensu, wzięwszy pod uwagę, że jeśli kalendarz na ścianie wskazywał dobrą datę, jeszcze się nie poznaliśmy. Niemożliwe, by moje nazwisko cokolwiek wtedy mu mówiło.

- W jaki sposób zginie? - spytał.

- Ktoś chce ją zabić. -Kto?

- Nie wiem. - Zastłoniła uszy i pokręciła głową. - Taki tu zgiełk... Obrazy zlewają się, za szybko przelatują przed oczami, nie widzę wyraźnie. Muszę wracać.

Potrzebuję ciszy i spokoju.

Patch szarpnął ją za kosmyk włosów za uchem i spojrzął wymownie. Drżąc pod dotykiem, skinęła głową i zamknęła oczy.

- Nie widzę... Nic nie widzę... To beznadziejne.

- Kto chce zamordować Norę Grey?! - upierał się Patch.

- Czekaj, dostrzegam ją - odrzekła Dabria z nagłym poruszeniem. - I jakiś cień z tyłu, to on. Jest śledzona, ale o tym nie wie... On idzie tuż za nią. Dlaczego go nie widzi? Dlaczego nie ucieka? Nie rozpoznaję twarzy, bo jest w cieniu...

Dabria otworzyła oczy. Wciągnęła powietrze.

- Kto to? - zapytał Patch.

Roztrzęsiona, podniosła wzrok na niego i wyszeptała: -Ty.

Zsunęłam palec z blizny Patcha i połączenie się zerwało. Dopiero po chwili wróciłam do rzeczywistości i zorientowałam się, że Patch siłą wciąga mnie do łóżka. Unieruchomił moje ręce.

- Nie powinnaś była tego robić - pochmurny, starał się opanować gniew. - Co zobaczyłaś?

Walnęłam go kolanem w żebro.

- Puszczaj!!!

Usiadł na mnie, tak że nie mogłam poruszać nogami. Z rękoma przypartymi do łóżka, wiałam się pod jego ciężarem.

- Puść, bo zacznę krzyczeć!!!

- Nie! - Uderzyłam go łokciem w udo. - Co z tobą? Nic nie czujesz?

Podniosłam się na nogi i z trudem utrzymując równo wagę, z całej siły kopnęłam go w brzuch.

- Masz jeszcze minutę - powiedział. - Wyrzuć z siebie cały gniew. Wtedy ja przejmę kontrolę.

Nie zrozumiałam, o co mu chodzi z tą „kontrolą”, i nie miałam zamiaru się w to wgłębiać. Zerwałam się z łóżka, kierując się do drzwi. Patch złapał mnie w biegu i przypart do ściany. Dotknęliśmy się na wysokości bioder.

- Chcę poznać prawdę - powiedziałam, hamując płacz. -Przeniosłeś się do mojej szkoły, żeby mnie ukatrupić? Planowałeś to od początku?

Drgnął mu mięsień na twarzy.

- Tak.

Otarłam zabląkaną łzę.

- I teraz się tym napawasz, prawda? Chciałeś wzbudzić moje zaufanie po to, żeby mnie wykończyć? - Dziwne, ale zamiast się bać i szaleć, byłam ostro wkurzona. Przecież teraz powinnam myśleć tylko o ucieczce. A, co najdziwniejsze, wciąż nie mieściło mi się w głowie, że mam zginąć z jego ręki, i mimo usilnych starań, nie zdławiłam w sobie iskry nadziei.

- Chyba jesteś rozdrażniona... - zaczął Patch.

- Szlag mnie trafia! - wrzasnęłam.

Ujął mnie dłońmi za szyję. Miał palący dotyk. Delikatnie ścisnął mi kciukami gardło i odchylił moją głowę do tyłu. Nasze usta zwały się w pocałunku tak mocno, że nie zdołałam wykrztusić obelgi. Przesuwając rękoma po moich barkach i plecach, zatrzymał się tuż nad pośladkami. Przeszył mnie dreszcz lęku i rozkoszy. Gdy Patch chciał mnie przyciągnąć do siebie, ugryzłam go w wargę.

Oblizwał usta koniuszkiem języka.

- Gryziesz?!

- Czy ciebie wszystko bawi? - zapytałam. Znów dotknął językiem wargi.

- Nie wszystko.

- Na przykład?

-Ty.

Nagle moje doznania całkiem się pogmatwały. Konfrontacja z kimś tak obojętnym jak on okazała się niełatwa. Nie! Nie obojętnym. Patch był opanowany po najdrobniejszą cząstkę swego ciała.

Raptem przemknęło mi przez myśl: Wyluzuj. Zaufaj mi.

- Kurczę blade - powiedziałam w nagłym przebłysku świadomości. - Znowu to

robisz, prawda? Przenikasz mój umysł. - Przypomniał mi się artykuł z Google o upadłych aniołach. - Umiesz właczać mi w głowie nie tylko myśli, prawda? Obrazy też... niesamowicie sugestywne.

Nie zaprzeczył.

-Wtedy, na Archaniele - zaczęłam kojarzyć fakty -chciałeś mnie zabić, tak? Ale coś nie wyszło. Potem bez słów przekazałeś mi, że komórka nie działa i nie mogę zadzwonić do Vee. I podwoziłeś mnie też, żeby zabić? Mów, jak to się dzieje, że widzę to, co ty chcesz?

Starał się, by jego twarz wyrażała jak najmniej.

- Przesyłam ci słowa i obrazy, ale o tym, czy są prawdziwe, decydujesz sama. To taki rebus. Wizje nakładają się na real i sama musisz dojść do tego, co jest prawdą.

- Anielska moc? Pokręcił głową.

- Moc upadłych aniołów. Żaden inny anioł nie naruszy twojej intymności, chociaż jest do tego zdolny.

Bo w przeciwieństwie do niego tamte są dobre. Patch wsparł się o ścianę za mną, tak że jego dłonie niemal dotykały mojej głowy.

- Poprzez myśli nakazałem trenerowi, żeby porozsadzał ludzi, bo musiałem się do ciebie zbliżyć. Przesłałem ci komunikat, że spadasz z Archanioła, bo chciałem cię zabić, ale nie potrafiłem. Było blisko, ale się powstrzymałem i stwierdziłem, że cię tylko nastraszę. Historia z niby nieczynną komórką była po to, żebym mógł cię podwieźć. Gdy wszedłem do twojego domu, chwyciłem nóż, żeby ci odebrać życie - jego głos złagodniał. - Ale pod twoim wpływem jednak zmieniłem zdanie. Wzięłam głęboki wdech.

- Nie rozumiem. Kiedy ci powiedziałam, że tato został zamordowany, sprawiałeś wrażenie przejętego. Dla mamy też byłeś miły.

- Miły - powtórzył Patch. - Niech to zostanie między nami.

Zawirowało mi w głowie i poczułam pulsowanie skroni. Dobrze znałam ten stan. Powinnam wziąć żelazo albo znów był to telepatyczny przekaz Patcha.

Uniosłam brodę i zmrużyłam oczy.

- Wynocha z moich myśli i to już!

- Nie ma mnie w nich. Noro.

Zgięta w pół, z rękoma opartymi na kolanach, zaczęłam wciągać powietrze.

- Właśnie, że jesteś. Czuję cię. A więc tak to załatwisz? Udusisz mnie, prawda? Zaszumiło mi w uszach i pociemniało przed oczami. Starłam się napęcznieć płuca, ale powietrze jakby zniknęło. Świat rozkołysał się i Patch zniknął mi z pola widzenia.

Rozpląszczyłam dłoń na ścianie, by odzyskać równo wagę. Gardło zaciskało mi się z każdym kolejnym wdechem.

Patch przybliżył się do mnie, ale go odepchnęłam.

- Odejdź!

Spojrzał mi w oczy z troską.

- Odejdź... ode... mnie - wydyszałam. Na próżno.

- Nie... mogę... oddychać! - wykrztusiłam, jedną ręką czepiając się ściany, a drugą łapiąc się za gardło.

Nagle wziął mnie na rękę i przeniósł na krzesło.

- Wsadź głowę między kolana - powiedział i delikatnie mi w tym pomógł.

Z głową między nogami oddychałam gwałtownie, próbując wtłoczyć powietrze w płuca. Poczułam, jak tlen powoli wraca w ciało.

- Lepiej? - zapytał po chwili. Skinęłam.

- Masz przy sobie żelazo? Pokręciłam głową.

- Nie prostuj się i oddychaj głęboko. Posłuchałam go i ucisk w piersiach zelżał.

- Dziękuję - wyszeptalam.

- Dalej mi nie ufasz?

- Jak chcesz, żebym ci zaufała, pozwól mi jeszcze raz dotknąć swoich blizn.

Długo wpatrywał się we mnie bez słowa.

- To nie najlepszy pomysł.

- Dlaczego?

- Nie panuję nad tym, co wtedy widzisz.

- I właśnie o to chodzi.

Odczekał kilka sekund, zanim odpowiedział. Głos miał ściszony, bez cienia emocji.

- Wiesz, że ukrywam pewne sprawy - zabrzmiało to pytająco.

Wiedząc, że jego życie składa się z tajemnic i sekretów, nie byłam jednak na tyle arogancka, by sądzić, że choćby w połowie dotyczą mojej osoby. Wobec mnie zachowywał się jednak inaczej. Nieraz już się zastanawiałam, jak żyje naprawdę. I zawsze mi się wydawało, że im mniej wiem, tym lepiej. Zadrżały mi wargi.

- A niby dlaczego miałabym ci ufać?

Siadł na rogu łóżka i pochylając się, oparł ramiona na kolanach. Wyraźnie zobaczyłam blizny. W blasku świecy igrały na nich niesamowite cienie... Mięśnie jego pleców napięły się i rozluźniły.

- Proszę - rzekł cicho. - Ale pamiętaj, że człowiek się zmienia, jednak jego przeszłość nigdy.

Nagle odeszła mi ochota dotykania jego szram. Przerazało mnie w nim prawie wszystko, ale w głębi serca czułam, że nie chce mnie wykończyć. W przeciwnym razie zrobiłby to już dawno. Spojrzałam na makabryczne blizny. Zaufanie mu było bardziej kuszące niż grzebanie się w jego przeszłości, w której Bóg wie co mogłabym znaleźć.

Tyle że gdybym się teraz wycofała, natychmiast by poczuł, że budzi we mnie strach. Zaczynał coś mi ujawniać i to tylko dlatego, że sama go o to poprosiłam. Nie mogłam żądać odkrycia tak wielkiej tajemnicy po to, by raptem zmienić zdanie.

- Ale nie zostanę tam na zawsze?! - spytałam. Zaśmiał się.

- Bez obaw.

Odważyłam się usiąść obok niego. Po raz drugi tego dnia przesunęłam palcem po ostrym grzbiecie blizny. Pole widzenia zalała mętna szarość i ogarnął mnie mrok.

## ROZDZIAŁ 24

Leżałam na plecach. Koszulka nasiąknęła od spodu wilgocią trawy, której źdźbła kłuły mnie w nagie ramiona. Na niebie, jak biała drzazga, szeroko uśmiechał się półksiężyc. Ciszę zakłócały tylko odgłosy grzmotów w dali.

Zamrugałam kilka razy, żeby przyzwyczaić wzrok do nikłego światła. Obracając głowę, zobaczyłam jakieś pogięte gałązki... Wolno podniosłam się z ziemi.

Poczułam przyływ łez na widok pary ciemnych oczodołów, które patrzyły na mnie znad kupki gałęzi. Przez chwilę nie wiedziałam, z czym mi się to kojarzy, gdy nagle mnie olśniło. Obok mnie leżał trup.

Czołgając się do tyłu, natrafiłam stopami na żelazne ogrodzenie i wtedy przypomniało mi się, co robiłam przed chwilą. Dotykałam blizn Patcha. Czyli musiałam się znajdować w koleinach jego pamięci.

W ciemnościach usłyszałam cichy śpiew. Głos, męski, był dziwnie znajomy. Odwróciwszy się w stronę, z której dochodził, zobaczyłam we mgle długi labirynt nagrobków wyglądających jak kostki domina. Na jednym z nich kuczał Patch, mimo nocnego chłodu ubrany tylko w lewisy i gra natowy T-shirt.

- Wzięłeś fuchę z trupami? - odezwał się znajomy głos. Szorstki i głęboki, z irlandzkim akcentem... Naprzeciw Patcha stał oparty o nagrobek Rixon i przyglądał mu się spode łba. Przesunął kciukiem po dolnej wardze. - Niech zgadnę. Masz zamiar wejść w martwe ciało? Pomyśl - po kręcił głową - robaki wijące się w twoich oczodołach... i nie tylko... To chyba lekka przesada.

- Jak ja lubię, gdy jesteś w pobliżu. Wszędzie widzisz pozytywy.

- Dziś początek cheszwanu - odpowiedział Rixon. - Po co się włóczysz po cmentarzach?

- Myślę.

- Myślisz?

- Używam umysłu, by podjąć słuszną decyzję. Kąciki warg Rixona uniosły się lekko.

- Boję się o ciebie. Pora się stąd zbierać. Chodźmy. Chauncey Langeais i Barnabas czekają. O północy księżyc zmieni fazę. Przyuważyłem w okolicy pewną panienkę - zamruczał jak kot. - Wiem, że wolisz rude, ale ja blondynki, a ta wciąż robi do mnie oko i jak już raz wejdę w ciało, to... sam wiesz. - Widząc, że Patch nie reaguje, dodał: - Odjęło ci rozum. Musimy iść. Przysięga wierności Chauncey a, nic ci to nie mówi? Posłuchaj. Jesteś upadłym aniołem i zwykle nic

nie czujesz. Ale dzisiaj to się zmieni. Dostałeś od Chaunceya kolejne dwa tygodnie. Pamiętaj, że nie darował ci ich chętnie.

Patch zmierzył go wzrokiem.

- Co wiesz o Księdze Henocha?

- Tyle, co każdy anioł: prawie nic.

- Ponoć zawiera historię o upadłym aniele, który stał się człowiekiem.

Rixon zgiął się wpół ze śmiechu.

- Oszalałeś? - Wyciągnął dłonie jak otwartą książkę. -Księga Henocha to bajka dla dzieci. I to chyba niezła. Momentalnie zasypiasz.

- Muszę mieć ludzkie ciało.

- Lepiej ciesz się z dwóch tygodni w ciele Nefila. Bycie półczłowiekiem nie jest znów takie najgorsze. Chauncey już nie cofnie tego, co się stało. Złożył przysięgę, więc musi jej dopełnić. Tak jak w zeszłym roku. I w poprzednim...

- Dwa tygodnie to za mało. Chcę zostać człowiekiem. -Zacięte spojrzenie Patcha znów rozbawiło Rixona.

Rixon przecesał ręką włosy.

- Księga Henocha to bujda. Jesteśmy upadłymi aniołami, a nie ludźmi, którymi nigdy nie byliśmy i nigdy nie będziemy. Koniec pieśni. Przestań się wygłupiać, tylko pomóż mi się dostać, do Portland. - Odchyliwszy głowę, spojrzał na atramentowe niebo.

Patch zeskoczył z nagrobka.

- Zostanę człowiekiem.

- Tak, stary, jasne, jasne.

- Według Księgi Henocha muszę zgładzić swojego wasala. Muszę zabić Chaunceya.

- Nie - odparł ze zniecierpliwieniem Rixon. - Musisz nim zawładnąć. Wstąpić w jego ciało. Nie chcę ci psuć humoru, ale Chaunceya nie zabijesz. Nefil nie umiera nigdy. Nie zawładnąłbyś nim, gdybyś mógł go zgładzić, pomyślałeś o tym?

-Jeśli go zabiję, stanę się człowiekiem i nie będzie to konieczne.

Rixon rozmasował kąciki oczu koło nosa, tak jakby poczuł, że jego argumenty nie dają nic, oprócz bólu głowy.

- Gdybyśmy tylko byli zdolni zabijać Nefilów, już dawno znalazłby się na to sposób. Wybacz, ale jak zaraz nie przytulę tej panienki, będę miał udar mózgu, nie wspominając o innych częściach...

- Są dwie opcje - rzekł Patch.

- Hm?

- Ocalić ludzkie życie i zostać aniołem stróżem albo zgładzić Nefila-wasala i stać się człowiekiem.

- Te rewelacje to też z Księgi?

- Odwiedziła mnie Dabria.

Wyraźnie zdumiony Rixon znowu parsknął śmiechem .

-Twoja psychotyczna eks? Cóż ona tu robi? Spadła? Straciła skrzydła, hę?  
- Przyszła tu, aby mi powiedzieć, że jeśli ocalę ludzkie życie, odzyskam skrzydła.  
Rixon wybałuszył oczy.  
- Skoro jej ufasz, twoja wola. Bycie stróżem nie jest takie złe. Ochronianie śmiertelnika bywa... całkiem fajne. Zależy, kogo ci przydzielą.  
- A gdybyś ty miał wybierać? - zapytał Patch.  
- To by zależało od mojego stanu. Musiałbym się zalać... albo stracić rozum. -  
Nie wzbudziwszy wesołości Patcha, Rixon dodał z powagą: - Ja bym nie wybierał, bo nie wierzę Księdze. Na twoim miejscu skłaniałbym się do stróżowania. Sam zresztą teraz się nad tym zastanawiam. Tyle że niestety nie znam człowieka na skraju śmierci.  
- Ile forsy dałoby się zarobić przed północą? - Po chwili milczenia spytał Patch, jakby chcąc pozbyć się tej myśli.  
- Karty czy boks?  
- Karty.  
Rixonowi rozbłyły oczy.  
- Mięczaku! Zaraz ci pokażę, kto tu rządzi. - Złapał go za szyję i chciał przyblokować łokciem, ale Patch zbił go z nóg i zaczęli się okładać. - Dobra! Dobra! - zawołał Rixon, podnosząc ręce na znak, że się poddaje. - To, że nie czuję górnej wargi, nie znaczy, że chcę spacerować do białego rana z rozwaloną.  
- Mrugnął. - Odstraszałoby to panny.  
- A siniec przyciągnie?  
Rixon pomacał się pod oczami.  
- O rany! - Przyłożył Patchowi pięścią.  
Zsunęłam palec z blizny Patcha. Piekła mnie skóra na karku i serce waliło jak szalone. Spojrzał na mnie niepewnie.  
Musiałam pogodzić się z faktem, że to nie najlepszy moment, aby posłużyć się logiką. A może powinnam coś w sobie przekroczyć? Nie stosować się do zasad. Przyjąć niemożliwe.  
- A więc na sto procent nie jesteś człowiekiem - powiedziałam. - Tylko upadłym aniołem. Złoczyńcą.  
Rozbawiło go to.  
- Uważasz mnie za złoczyńcę?  
- Wchodzisz w... ludzkie istoty. Skinął głową.  
- Chcesz zawładnąć moim ciałem?  
- Chciałbym z nim robić wiele rzeczy, poza tą jedną.  
- Co jest nie tak z twoim własnym?  
- Jest jak szkło. Istnieje, ale tylko odbija rzeczywistość. Widzisz mnie i słyszysz, ja ciebie tak samo. Ty czujesz moje ciało, kiedy go dotykasz, a ja jestem pozbawiony takich doznań. Nie czuję ciebie. Wszystkiego doświadczam jak przez szklaną taflę, którą mogę rozbić, jedynie wcielając się w człowieka.



- Albo półczłowieka. Nikły uśmiech.

- Czy dotykając blizn, widziałaś Chaunceya? - spytał.

- Słyszałam rozmowę z Rixonem. Powiedział, że co roku w cheszwan na dwa tygodnie wcielasz się w Chaunceya.

I że Chauncey to też nie człowiek, tylko Nefil - ostatnie słowo wyszeptałam.

- Chauncey to ktoś pomiędzy upadłym aniołem i człowiekiem. Jest nieśmiertelny jak anioł, ale posiada zmysły śmiertelnika. Upadły anioł, który pragnie ludzkich doznań, może ich doświadczyć jako Nefil.

- Skoro nic nie czujesz, to czemu mnie całowałaś? Patch przesunął mi palcem po obojczyku, skierował się niżej i zatrzymał na piersi. Poczułam przez skórę bicie serca

- Bo tu, w sercu, czuję - odparł cicho. - Nie jestem pozbawiony zdolności odczuwania. - Nie spuszczał ze mnie wzroku. - Więż emocjonalna z tobą, że tak powiem, istnieje mimo wszystko.

Bez paniki - pomyślałam, ale oddech znów stał się płytszy, urywany.

- To znaczy, odczuwasz radość, smutek albo...

- Pożądanie. - Ledwie dostrzegalny uśmiech. Stwierdziłam, że teraz nie ma sensu się nad tym zatrzymywać. Bo jeszcze przez przypadek dogonię go w tych emocjach. Przyjdzie na to pora, kiedy się wszystkiego do wiem.

- Dlaczego spadłeś z nieba?

Na kilka sekund utkwiał we mnie oczy.

- Żądza.

Przełknęłam ślinę.

- Bogactwa?

Z trudem hamując uśmiech, podrapał się po brodzie, jak zwykle, gdy chciał przede mną ukryć, o czym myśli.

- Nie tylko. Stwierdziłem, że gdy upadnę, będę mógł stać się człowiekiem. Podobno anioły, które zwiody Ewę na pokuszenie i zostały wygnane z raju, utraciły skrzydło i zmieniły się w ludzi. Ich odejście z nieba nie było huczne ani uroczyste. Odbyło się po cichu. Nie wiedziałem, że odarto je ze skrzydeł ani że skazano je na wieczne pragnienie wejścia w ludzkie ciało. Wtedy nikomu nawet się nie śniło o upadłych aniołach. Uznałem więc, że gdy upadnę, stracę skrzydła i zmienię się w człowieka. Szalałem za pewną śmiertelniczką i wydawało mi się, że warto zaryzykować.

- Dabria powiedziała, że możesz odzyskać skrzydła, ratując ludzkie życie. Że mógłbyś być aniołem stróżem. Nie chcesz? - Zdziwiło mnie, że tak się przed tym wzbrania.

- To nie dla mnie. Ja chcę być człowiekiem. Niczego dotąd nie pragnąłem bardziej.

- A Dabria? Skoro nie jesteście razem, to co tu jeszcze robi? Myślałam, że to zwykły anioł. Też chce być człowiekiem?

Patcha jakby zmroziło.

- Nadal jest na ziemi?

- Zatrudniła się w naszej szkole jako nowa psycholożka, pani Greene. Byłam u niej ze dwa razy. - Żołądek podszedł mi do gardła. - Z tego, co zobaczyłam w twojej pamięci, myślę, że chce być bliżej ciebie.

- Co ci powiedziała, gdy się spotkałyście?

- Radziła mi się z tobą nie zadawać, bo masz złą, ponurą przeszłość... - urwałam. - To się chyba zgadza, prawda? -Przeszły mnie ciarki.

- Muszę odstawić cię do domu i na wszelki wypadek poszukać w jej papierach, co znowu kombinuje. - Zerwał całą pościel z łóżka. - Owiń się tym - powiedział, wręczając mi suche prześcieradło.

Pogubiłam się w natłoku komunikatów. Nagle poczułam suchość w ustach.

- Ona cię wciąż kocha. Może próbuje się mnie pozbyć. Nasze oczy się spotkały.

- Kto wie.

Dłuższą chwilę tłukła mi się po głowie zimna, nieprzyjemna myśl. A teraz już niemal krzyczała, że facetem w kominiarce może być właśnie Dabria. Dotąd wydawało mi się, że potrafiłam mężczyznę i Vee też była przekonana, że napadł ją facet... Raptem poczułam, że Dabria okpiła nas obie.

Patch wszedł na moment do łazienki i wrócił w mokrym podkoszulku.

- Pójdę po auto - oznajmił. - Za dwadzieścia minut podjadę pod tylne wyjście. Nie ruszaj się z motelu.

## ROZDZIAŁ 25

Po wyjściu Patcha założyłam na drzwi łańcuch. Przesunęłam pod nie krzesło i przyblokowałam klamkę. Sprawdziłam też zamki w oknach. Nie miałam pojęcia, czy ochronią mnie przed Dabria - nie wiedziałam nawet, czy chce mi zrobić krzywdę - uznałam jednak, że lepiej nie ryzykować. Po paru minutach kręcenia się po pokoju sprawdziłam telefon, ale wciąż nie działał.

Mama na pewno mnie zabije!

Bez jej wiedzy wymknęłam się z domu i pojechałam do Portland. Ciekawe, jak teraz wytłumaczę sytuację „ja i Patch w motelu”. W najlepszym razie da mi szlaban do końca tego roku. Nie! Może zechcieć rzucić pracę i zatrudnić się gdzieś na miejscu. A wtedy musiałybyśmy sprzedać dom i straciłabym resztkę więzi z tatą.

Bodaj po kwadransie wyjrzałam przez dziurkę od klucza. Mrok. Odryglowałam drzwi i gdy już miałam je uchylić, rozbłysło za mną światło. Odwróciłam się jak w obłędzie, myśląc, że to może Dabria, ale pokój był cichy i pusty, tyle że włączyli prąd.

Otworzyłam drzwi z głośnym trzaskiem i wyszłam na korytarz. Krwistoczerwony kiedyś dywan był mocno wyświechtany i cały w niezidentyfikowanych ciemnych

plamach. Były jak pomalowane ściany obłaziły z farby.

Kierując się zieloną neonową strzałką „wyjście”, przeszłam w głąb korytarza i na końcu skręciłam. Gdy tylko pod drzwiami zatrzymał się samochód, niemal jednym susem wskoczyłam na miejsce obok kierowcy.

Kiedy Patch podjechał pod dom, wewnątrz nie paliło się ani jedno światło.

Ogarnięta poczuciem winy, pomyślałam, że mama pewnie jeździ teraz po okolicy i próbuje mnie znaleźć. Deszcz ustał i pobocze przysłoniła mgła, zawisając na krzewach jak włosy anielskie. Drzewa wzdłuż podjazdu były powyginane i niemal bezkształtne od ciągłych wiatrów z północy... Po zmroku nieoświetlony dom to coś wyjątkowo niemilego, ale nasz - z wąskimi oknami, krzywym dachem, zabudowaną werandą i krzakami ostrężyn - wyglądał wręcz jak nawiedzony.

- Przejdę się po domu - powiedział Patch, wysiadając.

- Myślisz, że jest tu Dabria?

- Nie, ale nie zawadzi sprawdzić.

Czekałam w jeepie. Parę minut później Patch stanął w drzwiach od frontu.

- Droga wolna - oznajmił. - Pojadę do szkoły, przeszukam jej gabinet i zaraz wracam. Może zostawiła jakiś trop. - Najwyraźniej niespecjalnie na to liczył.

Rozpięłam pas bezpieczeństwa i pobiegłam do drzwi. Przekręcając gałkę, usłyszałam Patcha na podjeździe. Deski na werandzie skrzypiały pod moimi stopami i znów poczułam się samotna.

Nie zapalając światła, chyłkiem przeszłam się po pokojach na parterze i na piętrze. Wprowadzie Patch już się rozejrzał, ale stwierdziłam, że na wszelki wypadek warto to powtórzyć.

Upewniwszy się, że nikogo nie ma pod łóżkiem, za zasłoną w łazience ani w szafie, wciągnęłam dzinsy i czarny pulower z dekoltem w szpic. Z apteczki pod umywalką w łazience wyjęłam awaryjną komórkę mamy i wklepałam jej numer. Odebrała po pierwszym dzwonku.

- Halo? Nora, to ty? Gdzie jesteś? Umieram z niepokoju! Biorąc głęboki wdech, poprosiłam Boga, by poddał mi sensowną wymówkę.

- Mamusiu... - zaczęłam szczerym i skruszonym tonem.

- Zalało Cascade Road, no i ją zamknęli. Musiałam zawrócić i wynająć pokój w Milliken Mills. Właśnie tu jestem. Nie mogłam się dodzwonić do domu, bo pozrywało kable. Próbowałam dzwonić na komórkę, ale nie odbierałaś.

- Zaraz, zaraz. To dalej jesteś w Milliken Mills?

- No przecież ci mówię.

Bezgłośnie westchnęłam z ulgą i oparłam się o krawędź wanny.

- Nie wiedziałam, też nie mogłam się z tobą skontaktować.

- Z jakiego numeru dzwonisz? - zapytała mama. - Bo nic mi to nie mówi.

- Z awaryjnej komórki.

- A gdzie masz swoją?

- Zgubiłam.

- Co?! Gdzie?

Doszłam do przykrego wniosku, że jedynym wyjściem będzie pewne przekłamanie. Nie chciałam jej denerwować. Do tego wizja szlabanu...

- Musiała się gdzieś zawieruszyć.

Na pewno się znajdzie. Przy trupie kloszardki.

- Odezwę się zaraz, jak otworzą drogi - odpowiedziała mama.

Później zadzwoniłam do Vee, na komórkę. Po pięciu sygnałach włączyła się poczta głosowa

- Gdzie jesteś? - spytałam. - Oddzwon jak najszybciej.

Rozłączyłam się i wsunęłam telefon do kieszeni, wmawiając sobie, że Vee nic nie grozi, choć instynktownie czułam, że to nieprawda, że jest w niebezpieczeństwie, i z każdą sekundą bałam się o nią coraz bardziej.

Spostrzegłszy na kuchennym blacie buteleczkę z żelazem, natychmiast wzięłam dwie tabletki i popiłam szklanką czekoladowego mleka. Chwilę stałam bez ruchu, czekając, aż lek wniknie do organizmu. Powoli unormował mi się oddech.

Podchodząc z kartonem do lodówki, zobaczyłam kogoś w przejściu między kuchnią a pralnią.

U stóp rozlał mi się jakiś zimny płyn. Po chwili dotarło do mnie, że upuściłam mleko.

- Dabria? - przerwałam ciszę. Przekrzywiła głowę ze zdumieniem.

- Wiesz, jak mi na imię? - urwała. - Aha, od Patcha. Cofnęłam się przed nią w stronę zlewu. Zupełnie nie przypominała pani Greene ze szkoły. Miała zmierzwiłone włosy, a usta jaśniejsze, jakby wygłodniałe. Przenikliwe spojrzenie uwydatniały czarno rozmazane oczy.

- Czego chcesz? - spytałam.

Jej śmiech zabrzmiał jak grzechotanie kostek lodu.

- Chcę Patcha.

- Tu go nie ma. Skinęła głową.

- Wiem. Czekałam na ulicy, aż odjedzie. A mówiąc „chcę”, nie miałam na myśli spotkania.

Krew pulsująca w nogach zawróciła do serca. Oszołomiona, położyłam dłoń na blacie, by nie stracić równowagi.

- Szpiegujesz mnie na tych niby spotkaniach terapeutycznych.

- To wszystko, co o mnie wiesz? - spytała, patrząc mi w oczy.

Przypomniał mi się wieczór, gdy ktoś zaglądał mi przez okno do pokoju.

- Tutaj też mnie szpiegujesz - powiedziałam.

- Jestem tu pierwszy raz. - Przesunęła palcem po krawędzi blatu i usiadła na stołku. - Ładny dom.

- Odświeżę ci pamięć - odparłam w nadziei, że brzmi to odważnie. - Gdy spałam, zaglądałaś do mnie przez okno.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Nie, ale śledziłam cię na zakupach. Napadłam twoją przyjaciółkę i mentalnie poddałam jej to i owo, by sądziła, że skrzywdził ją Patch. Co zresztą prawdopodobne, bo jego łagodność to tylko pozory. Bardzo chciałam wzbudzić w tobie lęk przed nim.

- Żebym trzymała się od niego z daleka.

- Ale mi nie wyszło. Nadal nam przeszkadzasz.

- Ciekawe w czym?

- Nie udawaj. Skoro wiesz, kim jestem, wiesz, o co mi chodzi. Chcę, by odzyskała skrzydła. Jest mu pisane być przy mnie, a nie żyć na ziemi. Popenił błąd, który ja naprawię - oświadczyła pewnie i stanowczo.

Wstała i ruszyła w moją stronę.

Wycofałam się parę kroków, zastanawiając się, jakby odwrócić jej uwagę i dokąd uciekać. Mieszkałam w tym domu od szesnastu lat. Znałam cały jego rozkład, najmniejszą szczelinę i kryjówkę. W nagłym olśnieniu przyszedł mi do głowy genialny plan. Dotknęłam plecami kredensu.

- Patch nie wróci do mnie, póki żyjesz... - powiedziała Dabria.

- Zdaje się, że przeceniasz jego uczucie do mnie - stwierdziłam, że dobrze będzie zbagatelizować to, co nas łączy, bo Dabria kieruje przede wszystkim zaborczość.

Uśmiechnęła się z niedowierzaniem.

- Sądzisz, że to uczucia tego typu? Więc cały czas myślałaś, że... - parsknęła. -

On nie jest tu z miłości. Chce cię zabić.

Pokręciłam głową.

- Na pewno tego nie zrobi. Przybrała surowy wyraz.

- Aha, skoro tak sądzisz, to wiedz, że jesteś kolejną dziewczyną, którą uwiódł, by uzyskać to, czego chce. Ma do tego spory talent - dodała chytrze. - Zresztą nawet ode mnie wydobyl twoje imię. Wystarczyło muśnięcie... Uległam mu i zdradziłam, że czeka cię śmierć.

Dobrze wiedziałam, o czym mówi. Byłam przy tym.

- I teraz to samo robi z tobą - ciągnęła Dabria. - Zdrada boli, prawda?

Wolno pokręciłam głową.

- Nie...

- Planuje złożyć cię w ofierze! - wybuchnęła. - Widzisz to znamię? - Dziabnęła mnie palcem w nadgarstek. - Oznacza, że jesteś potomkinią Nefila. I to nie byle kogo, tylko wasala Patcha, Chaunceya Langeaisa.

Zerknęłam na bliźnię i przez upiorny moment byłam gotowa jej uwierzyć. Ale takie numery to nie za mną.

- Jest takie święte pismo, Księga Henocha - powiedziała. - Podaje ono, że upadły anioł może zgładzić swojego wasala, poświęcając którąś z jego żeńskich potomkiń... Nadal uważasz, że Patch cię nie zabije? A czego pragnie najbardziej? Gdy złoży cię w ofierze, stanie się człowiekiem. Spełni swoje

marzenia i już nigdy nie wróci ze mną do domu.

Wyjęła duży nóż z drewnianego stojaka.

- I dlatego muszę się ciebie pozbyć. Wszystko wskazuje na to, że nie omyliłam się w przeczuciach. Zginiesz.

- Patch zaraz wróci. - Zrobiło mi się niedobrze. - Może byście to jeszcze obgadali?

- Uwinę się szybko - ciągnęła. - Jako anioł śmierci przenoszę istnienia w zaświaty. Gdy tylko skończę, twoja dusza znajdzie się po tamtej stronie. Niczego się nie obawiaj.

Chciałam krzyknąć, ale głos u wiązł mi w gardle. Weszłam między kredens a stół.

- Skoro jesteś aniołem, to gdzie podziłaś skrzydła?

- Dość pytań. - Zniecierpliwiona ruszyła w moją stronę.

- Kiedy opuściłaś niebo? - zagrałam na zwłokę. - Przed kilkoma miesiącami, prawda? Chyba się zorientowali, że długo cię nie ma?

- Ani kroku dalej - warknęła, podnosząc nóż, który zalśnił srebrem.

- Przysporzysz Patchowi masy kłopotów - powiedziałam, nie do końca pewnie. - Dziwię się, że masz mu za złe, iż wykorzystuje cię dla swoich celów. Dziwi mnie też, że tak się upierasz, by odzyskał skrzydła. Czy po tym, co ci zrobił, nie cieszysz się, że go wypędzono?

- Zostawił mnie dla marnej śmiertelniczki! - ucięła z ogniem w oczach.

- Wcale nie. Niezupełnie. Upadł...

- Upadł, bo zapragnął być człowiekiem tak jak ona! Przecież miał mnie! Miał mnie, rozumiesz?! - Szyderczy śmiech nie ukrył furii ani żalu. - Z początku byłam zła, cierpiałam... Robiłam co w mojej mocy, by o nim zapomnieć. Ale gdy archaniołowie odkryli, że naprawdę chce zostać człowiekiem, przystali mnie tu, bym go nakłoniła do zmiany decyzji. Przyrzekałam sobie, że już nigdy mnie nie skrzywdzi, ale to nic nie dało.

- Dabrio... - zaczęłam delikatnie.

- Nie przeszkodziło mu nawet to, że dziewczyna powstała z ziemskiego prochu!!!

Wszyscy tu jesteście samolubni i odrażający! Wasze ciała są dzikie i nieokiełznane. Raz unosi was radość, za chwilę pogrążacie się w rozpacz! Żalotne! Czegoś podobnego nie zaznaje żaden anioł! - W geście pełnym bólu otarła łzy z twarzy. - Spójrz tylko! Prawie nad sobą nie panuję! Za długo już się nurzam w tym ludzkim plugastwie!

Odwrociłam się i wybiegłam z kuchni, przewracając na jej drodze krzesło.

Pognałam w głąb korytarza... I znała złam się w pułapce. Dom miał dwa wyjścia: od frontu, dokąd Dabria szybko dotarłaby na skróty przez salon, i tylne, od strony jadalni, które zablokowała.

Poczułam silne pchnięcie i upadłam na podłogę, na brzuch. Kiedy obróciłam głowę - Dabria unosiła się w powietrzu metr nade mną, w oślepiającym białym blasku, z wycelowanym we mnie nożem.

Bez namysłu z całej siły kopnęłam ją w przedramię. Upuściła nóż. Ledwie się podniosłam, wskazała lampkę na stoliku i strzelając palcami, rzuciła nią we mnie. Zdążyłam zrobić unik i szkło roztrzaskało się o podłogę.

- Przesuń się! - Na jej komendę ława przy wejściu zastawiła drzwi, przez które chciałam uciec.

Zaczęłam wspinać się po dwa schody w górę, dla rozpędu chwytając się poręczy. Usłyszałam za sobą śmiech Dabrii i w tym momencie złamana poręcz runęła na ziemię. Odsunęłam się znad krawędzi schodów. Ledwie utrzymując równowagę, pokonałam dwa ostatnie schodki. Wbiegłam do pokoju mamy i zatrzasnęłam za sobą drzwi.

Wyrzałam przez jedno z okien przy kominku. Poda mną był ogródek skalny z trzema wyłysiałymi już krzewami. Nie miałam pojęcia, czy przeżyję ten skok.

-Otwórzcie się! - zawołała Dabria z drugiej strony drzwi.

Drewno zaczęło pękać pod naporem zamka. Musiałam się pospieszyć.

Ukryłam się w kominku. Ledwie zdążyłam schować nogi i oprzeć się o szyb kominowy, drzwi otworzyły się z hukiem i po chwili usłyszałam, jak Dabria zbliża się do okna.

- Nora! - zawołała tym swoim lodowatym głosem. -Wiem, że tam jesteś! Czuję. Nie uda ci się schować ani umknąć... Znajdę cię, choćbym miała spalić ten dom do ostatniej klepki! A potem przeżrę ogniem twoją drogę ucieczki! Nie licz na ocalenie!!!

Przed kominkiem pojawiła się złota smuga światła i podłogę objął ogień, rzucając dokoła złowieszczy ażur cieni. Rozległy się trzaski trawionych przez płomienie sprzętów.

Ani drgnęłam. Waliło mi serce, ociekałam potem. Kilka razy wciągnęłam i wolno wypuściłam powietrze, żeby zapanować nad skurczami w nogach. Patch miał jechać do szkoły. Kiedy wreszcie wróci?

Niepewna, czy w pokoju nie ma Dabrii, i równocześnie w strachu, że spłonę, jeśli się stamtąd czym prędzej nie wyniosę, wypełzłam z kominka. Dabria zniknęła, ale płomienie już zaczęły lizać ściany i w pokoju kłębiło się od dymu.

Przebiegłam korytarz, ale nie starczyło mi odwagi, by zejść na dół, bo przecież ona mogła zacząć się pod drzwiami. Otworzyłam okno w swoim pokoju. Drzewo rośło dość blisko i było na tyle grube, że spokojnie mogłam zejść po nim na ziemię. Może jakoś zgubię ją za domem, we mgle... Najbliżsi sąsiedzi mieszkali niecały kilometr od nas, więc gdybym się postarała, dotarłabym tam w kilka minut. Już się rozpędzałam, kiedy coś zachrobotło w sieni.

Po cichu zamknęłam się w szafie i wykręciłam dziewięćset jedenaście.

- W domu ktoś jest i chce mnie zabić - wyszeptałam do operatorki.

Ledwie zdążyłam podać adres, drzwi pokoju się uchylły. Skamieniałam.

Przez otwory w szafie zobaczyłam, jak do pokoju wchodzi mroczna postać.

Światło było słabe, a pole widzenia prawie żadne, więc nie widziałam

szczegółów. Postać rozsunęła żaluzje i wyjrzała przez okno. Dotknęła skarpetek i bielizny w otwartej szufladzie. Wzięła z toaletki srebrny grzebień, obejrzała go i odłożyła na miejsce. Gdy skierowała się do szafy, poczułam, że robi się groźnie. Poszukałam pod nogami jakiejś broni. Niechcący strąciłam z półki stos pudeł z butami i zakląłam pod nosem. Kroki się zbliżyły.

Gdy szafa się otworzyła, rzuciłam na osłep butem, później drugim.

Patch też cicho zaklął i odebrawszy mi trzeci but, cisnął go za siebie. Pomógł mi się podnieść i wyjść z szafy. Nim z ulgą zarejestrowałam, że to on, a nie Dabria, przyciągnął mnie do siebie i wziął w ramiona.

- Zdrowa i cała? - mruknął mi do ucha.

- Jest tu Dabria - odszepnęłam. bliska płaczu. Trzęsły mi się kolana i gdyby nie jego uścisk, dawno bym upadła. - Pali dom.

Wsunął mi w dłoń kluczyki.

- Postawiłem auto na ulicy. Wsiądź, zabezpiecz drzwi, jedź do Delphic i czekaj tam na mnie.

Uniósł mi podbródek i popatrzył w oczy. Pocałował mnie w usta i nappełnił żarem.

- Co chcesz zrobić? - spytałam.

- Zająć się Dabria.

- W jaki sposób?

Posłał mi spojrzenie: „Czy to takie ważne?” W dali rozległy się odgłosy syren.

Patch wyjrzał przez okno.

- Zadzwoń na policję?

- Myślałam, że to Dabria...

Ruszył do drzwi.

- Dorwę ją. Jedź do Delphic i czekaj, aż przyjadę.

- A pożar?

- Policja się tym zajmie.

Zacisnęłam palce na kluczykach. Mój mózg znowu nie wiedział, na co się zdecydować. Chciałam uciekać z domu, byle dalej od Dabrii, i spotkać się z Patchem, ale nie dawała mi spokoju myśl, że Patch ma mnie złożyć w ofierze, by stać się człowiekiem.

Dabria wcale nie powiedziała tego mimochodem, ani też żeby mnie do niego zrazić. Jej słowa zabrzmiały chłodno i poważnie - i równie na serio próbowała mnie wykończyć, abym nie skontaktowała się z nim przed nią.

Jak powiedział Patch, jeep stał na ulicy. Włączyłam stacyjkę i wcisnęłam pedał gazu. Mknąc Hawthorne Lane, stwierdziłam, że nie ma sensu znów dobijać się do Vee na komórkę, i zadzwoniłam do jej domu.

- Dobry wieczór - przywitałam się z jej mamą jakby nigdy nic. - Zastałam Vee?

- Cześć, Nora! Wybyła gdzieś kilka godzin temu. Chyba na imprezę w Portland. Myślałam, że jesteście razem.

- Yyy... rozdzieliliśmy się - skłamałam. - Mówiła, gdzie się potem wybiera?



- Wspomniała o kinie. Komórka milczy, więc pewnie ją wyłączyła. Wszystko w porządku?

Nie chciałam, żeby się zdenerwowała, ale też nie mogłam jej powiedzieć, że jest super. Czuję się nie fair. Ostatnio, gdy rozmawialiśmy, była z Elliotem. A teraz nie odbierała telefonów.

- Chyba nie - odpowiedziałam. - Pojadę jej poszukać. Zacznę od kina. Rozejrzy się pani na promenadzie?

## ROZDZIAŁ 26

Była ostatnia niedziela przed feriami i w kinie kłębiły się tłumy. Stałam w kolejce po bilet, co chwila sprawdzając, czy ktoś mnie nie śledzi. Jak dotąd nie spostrzegłam niczego niepokojącego, a w ścisłości trudno by było mnie wypatrzeć. Stwierdziłam, że Patch zajmie się Dabria, więc nie ma się czym martwić, ale czujność jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

W głębi serca to nie Dabria niepokoiła mnie najbardziej. Prędzej czy później Patch zorientuje się, że nie ma mnie w Delphic... Wziąwszy pod uwagę ostatnie wydarzenia, nie powinnam robić sobie złudzeń, że mogę się przed nim długo chować. Wiedziałam, że gdy się znów zobaczymy, będę musiała zadać mu przerażające pytanie... Nie! Strach ogarniał mnie na samą myśl o tym, co usłyszę. Bo w otchłani mózgu zakiełkowała wątpliwość, czy słowa Dabrii o jego przeistoczeniu się w człowieka nie są prawdą.

Podeszłam do okienka. Seans o dziewiątej trzydzieści właśnie się zaczął.

- Jeden na Ofiarę proszę - powiedziałam bez namysłu

Od razu uderzyła mnie upiorna ironia tytułu. By się tym dłużej nie zajmować, wygrzebałam z kieszeni drobne banknoty i garść monet. Podałam je kasjerce, w nadziei, że wystarczą.

- O Jeeezu! - Spojrzała na rozsypany bilon. Znałam ją ze szkoły. Chodziła do starszej klasy, Kaylie czy Kylie. - Bardzo ci dziękuję - dodała. - Jakby nie było kolejki.

Ludzie za mną poparli ją zgodnym chórem.

- Rozbiłam świnkę - odparłam, siląc się na ironię.

- Co ty powiesz. I to wszystko? - Westchnęła przeciągle, segregując bilon na dwudziestopięcio-, dziesięcio-, pięcio-i jednocentówki.

- Jasne.

-Aaa tam! I tak źle mi płacą. - Zgarnęła monety do szuflady i podała mi bilet. - Wiesz, jest też coś takiego, jak karta kredytowa...

Wzięłam bilet.

- Zauważyłaś tu dziś może Vee Sky?

- Vee jak?

- Vee. Drugoklasistka. Była z Elliotem Saundersem. Kaylie - albo Kylie -

wybałuszyła oczy.

- Nie widzisz, jaki tu tłok? Myślisz, że mam czas wszystkich zapamiętać?

- Nieważne. - Skierowałam się do wejścia.

Kino w Coldwater ma dwie sale projekcyjne naprzeciw siebie. Gdy tylko sprawdzający przedał bilet, ruszyłam do sali numer dwa. W środku panował mrok, bo seans już się rozpoczął.

Prawie wszystkie miejsca były pozajmowane. Wolno przeszłam środkiem między fotelami i zawróciłam do drzwi. W ciemności nie mogłam rozróżnić twarzy, ale Vee chyba jednak tam nie było.

Zaglądnęłam do sali naprzeciwko. Jak się okazało, bardziej pustej. Przeszłam się między fotelami, ale tam też jej nie znalazłam. Na chwilę usiadłam z tyłu, żeby zebrać myśli.

Cały ten wieczór przypominał koszmarną bajkę, z której nie umiałam się wydostać. W historii tej pojawiały się upadłe anioły, hybrydyczne stwory i składanie ofiar z ludzi. Potarłam kciukiem znamię, niezbyt ucieszona, że może naprawdę jestem potomkinią Nefilów.

Wyjęłam awaryjną komórkę i sprawdziłam połączenia przychodzące, ale nikt nie dzwonił.

Kiedy wsuwałam telefon do kieszeni, zmaterializował się obok mnie karton popcornu.

- Głodna? - odezwał się głos z tyłu. Ściszony i pełen złości. Staralam się uspokoić oddech. - Wstań i wyjdź z kina - zakomenderował Patch. - Pójdę tuż za tobą.

Ani drgnęłam.

- No, wychodź - powtórzył. - Musimy porozmawiać.

- O tym, jak mnie zabijesz, by zdobyć ludzkie ciało? - spytałam lekkim głosem, skamieniała w środku.

- Urocze, że mogłabyś w to uwierzyć.

- Wierzę!

No, powiedzmy, choć nie dawała mi spokoju myśl, że przecież mógł zrobić to już dawno.

- Ciii! - burknął facet obok.

- Wyłaż albo cię wyniosę! - szepnął Patch. Odwróciłam głowę.

- Słucham?

- Ciszej! - syknął znowu facet.

- To on - odparowałam, wskazując Patcha. Facet wykręcił szyję.

- Słuchaj. - Popatrzył na mnie. - Jak się nie uciszysz, pójdę po ochronę.

- Świetnie, niech go wyprowadzą. Powiedz, że chce mnie zamordować.

- Za chwilę ja cię zabiję. - Jego dziewczyna wychyliła się do mnie.

- Kto cię chce zamordować? - Facet znów się obejrzał, zaskoczony.

- Nikogo tu nie ma - oznajmiła panna.

- Myślą, że cię nie widzą, prawda? - zapytałam Patcha, pod wrażeniem mocy, z której korzystał tak przewrotnie.

Uśmiechnął się lekko.

- Rany boskie! - wykrzyknęła tamta, wznosząc ręce w górę. Z furią zmierzyła wzrokiem faceta i warknęła: -Zrób coś!

- Spokój. - Gość pokazał ekran. - To jest kino. Napij się. - Chciał mi podać puszkę.

Zerwałam się do wyjścia. Czułam, że Patch idzie za mną, niepokojąco blisko, ale mnie nie dotyka. Pilnował mnie tak, dopóki nie wyszliśmy z sali.

Za drzwiami wziął mnie pod ramię i poprowadził przez foyer do damskiej toalety.

- Co ty? - zapytałam. - Masz obsesję ubikacji? Wepchnął mnie do środka, zamknął drzwi na zasuwę

i oparł się o nie. Miał taką minę, jakby zaraz chciał mnie stłuc na kwaśne jabłko.

Oparta o umywalkę, wczepiłam się w jej brzeg palcami.

- Złócisz się, bo nie pojechałam do Delphic. - Uniosłam drżące ramię. -

Ciekawe, po co miałabym to robić? Jest niedziela i park wkrótce zamkną. Czemu chciałeś mnie ściągnąć do ciemnego, prawie opustoszałego lunaparku?

Zbliżył się tak, że zobaczyłam pod czapką jego czarne oczy.

- Dabria mówiła, że musisz złożyć mnie w ofierze, aby odzyskać skrzydła.

Chwilę milczał.

- I myślisz, że zrobiłbym to? Przełknęłam ślinę.

- A więc to prawda? Nasze oczy się spotkały.

- To musi być świadoma ofiara. Samo pozbawienie cię życia nic nie da.

- I to ty musiałbyś mnie zabić?

- Nie, ale prawdopodobnie jako jedyny wiem, jakby się to skończyło, i jako jedyny podjąłbym tę próbę. Dlatego przeniosłem się do twojej szkoły. Musiałem się do ciebie zbliżyć. Potrzebowałem cię i dlatego wkroczyłem w twój świat.

- Dabria mówiła, że się w kims zakochałeś. - Znowu to paskudne ukłucie zazdrości. Rozmowa nie powinna dotyczyć mnie, tylko jego. To miało być przesłuchanie. - Co się stało?

Desperacko liczyłam, że coś mi wyjaśni, ale wzrok miał chłodny.

- Zestarzała się i umarła.

- Pewnie było ci ciężko - od warknęłam.

Odczekał parę sekund. Aż się wzdrygnęłam od jego surowego tonu.

- Chcesz, żebym wyznał prawdę, proszę bardzo. Dowiesz się o wszystkim. Kim jestem i co zrobiłem. Z detalami. Zdradzę ci wszystko, ale musisz pytać. Musisz tego chcieć, by zrozumieć, kim byłem wtedy, a kim jestem teraz. Jestem zły. -

Przeszył mnie spojrzeniem pozbawionym blasku. - A byłem znacznie gorszy.

Ignorując ucisk w żołądku, powiedziałam:

- Więc mów.

- Kiedy się poznaliśmy, byłem jeszcze aniołem. Momentalnie poczułem

pożądanie. Ogarnęło mnie szaleństwo. Wiedziałem tylko, że zrobię co w mojej mocy, by się do niej zbliżyć. Obserwowałem ją jakiś czas, a później ubzdurałem sobie, że jeśli zejść na ziemię i posiądem ludzkie ciało, wypędzą mnie z nieba i stanę się człowiekiem. Problem w tym, że nie wiedziałem o cheszwaniu. Przybyłem tu pewnej sierpniowej nocy, ale nie mogłem posiąść ciała. W drodze powrotnej do nieba zatrzymał mnie zastęp aniołów mścicieli i odarł ze skrzydeł. Wyrzucili mnie... Natychmiast zrozumiałem, że coś jest nie w porządku. Patrząc na ludzi, pragnąłem jednego: by znaleźć się w ich ciele. Odarli mnie z mocy, stałem się istotą bezbronną, godną pożałowania. Nie człowiekiem, lecz upadłym aniołem. Dotarło do mnie, że w jednej chwili wyzbyłem się wszystkiego. Znienawidziłem się za to. - Patrzył tak przenikliwie, że poczułam się przezroczyście. - Ale gdyby nie upadek, nie poznał bym ciebie. Od sprzecznych emocji zaczęłam się dusić. Tłumiąc płacz, przystąpiłam do kontrofensywy.

- Wiem od Dabii, że znamię świadczy o pokrewieństwie z Chaunceyem. Czy to prawda?

- Chcesz odpowiedzi?

Sama nie wiedziałam, czego chcę. Mój świat zmienił się nagle w jeden wielki żart, którego puentę miałam poznać ostatnia. Nie byłam jakąś tam zwykłą, przeciętną Norą Grey, tylko potomkinią istoty nadprzyrodzonej. W dodatku serce pękało mi od uczuć do mrocznego anioła.

- Od czyjej strony? - zapytałam wreszcie.

- Ojca.

- Gdzie jest teraz Chauncey? - Mimo pokrewieństwa wołałabym, żeby był daleko. Jak najdalej ode mnie, żeby nie musiała czuć z nim żadnej więzi.

Czubki jego butów dotknęły moich tenisówek.

- Nie powiem ci, Noro. Nie zabijam osób, które są dla mnie ważne. A ty jesteś najważniejsza.

Serce podskoczyło mi nerwowo. Nacisnęłam rękami jego brzuch, tak twardy, że nawet nie drgnął. Broniłam się bez sensu, bo teraz nie uratowałaby mnie nawet wysoka siatka pod napięciem.

- Naruszasz moją prywatność - powiedziałam, cofając się o krok.

Patch uśmiechnął się słabo.

- Prywatność? Noro, to nie rewizja.

Odgarnęłam za uszy parę zbłąkanych kosmyków i odsunęłam się od niego.

- Nie pchaj się tak, bo mi... ciasno. Potrzebowałam jasnych granic. Większej asertywności.

Musiałam otoczyć się murem, bo znów się okazało, że przy Patchu brakuje mi pewności siebie. Powinnam rzucić się do drzwi, a jednak... stałam nieruchomo. Wmawiałam sobie, że nie uciekam, bo nie dowiedziałam się wszystkiego, ale był jeszcze inny powód, o którym wołałam nie myśleć. Uczuciowy... Którego

tłumienie było idiotyzmem.

- Ukrywasz coś jeszcze? - zapytałam.

- Masę rzeczy. Żołądek fiknął kozła.

- Na przykład?

- Na przykład, co czuję, zamknięty tu z tobą. - Oparłszy się ręką o lustro za moimi plecami, przysunął się bliżej. - Nie masz pojęcia, jak na mnie działasz. Pokręciłam głową.

- To niedorzeczne. Lepiej się w to nie zagłębiajmy.

- To jak najbardziej do rzeczy - szepnął. - Gdyby się tak zastanowić, nic nam tu nie zagraża.

W tej chwili z całą pewnością instynkt samozachowawczy ryknął do mnie: „W nogi!”, ale tak mi zatętniło w skroniach, że nic nie usłyszałam. Rzecz jasna, o myśleniu nawet nie było mowy.

- Zdecydowanie do rzeczy - ciągnął Patch. - W najwyższym stopniu słuszne i do rzeczy.

- Może nie teraz. - Wciągnęłam powietrze.

Kątem oka spostrzegłam na ścianie wajchę alarmową. Cztery, pięć metrów dalej.

Gdybym się pospieszyła, mogłabym ją szarpnąć, zanim mnie powstrzyma.

Przybiegłaby ochrona i byłabym bezpieczna. A chyba tego chciałam... czy nie?

- Daj spokój. - Pokręcił głową.

Mimo to z całych sił pociągnęłam wajchę, ale bezskutecznie. Szarpanie nic nie dało. Wtem Patch objawił mi się w myślach i poczułam, że znowu prowadzi ze mną grę.

Spojrzałam mu w oczy.

- Wynocha z mojego mózgu!

Walnęłam go w pierś. Cofnął się, by odzyskać równowagę.

- Za co?!

- Za cały ten wieczór!

Za to, że za nim szalałam, wiedząc, że nie mogę. Potwór! Był tak zły, że aż cudowny, co mnie kompletnie zbiło z pantafelku.

Kto wie, czy nie dałabym mu w szczękę, gdyby nie chwycił mnie za rękę i nie przyparł do ściany. Po chwili przygarnął mnie jeszcze bliżej.

- Nie oszukujmy się. Noro, pragniesz mnie... - wyraźnie mówił serio. - Tak samo, jak ja ciebie.

Przywarł do mnie ustami. I nie tylko. Zetknęliśmy się w kilku strategicznych punktach ciała, ale wyrwałam mu się, uruchamiając jakoś siłę woli.

- Nie skończyłam. Co się stało z Dabria?

- To już załatwione.

- Mianowicie?

- Planowała cię zabić, więc po tym na pewno nie zachowałyby skrzydeł. W drodze powrotnej do nieba zostałyby ich pozbawiona przez aniołów mścicieli. I

tak by do tego doszło, ale przyspieszyłem sprawę.

- Znaczy... została odarta?

- Rozlatywały się już, miały cienkie, popękane pióra. Gdyby została na ziemi trochę dłużej, każdy anioł bez trudu poznałby, że upadła. Nawet nie musiałem się do tego specjalnie przyczyniać.

Wyprzedziłam jego następny ruch.

- Czy dalej będzie mi uprzykrzała życie?

- Tego nie wiem.

Błyskawicznie uniósł brzeg mojego swetra. Przygarnął mnie do siebie. Musnął kciukami skórę pępka. W jednej chwili przeniknęły mnie chłód i gorąco.

- Spokojnie dałabyś jej radę - rzekł Patch. - Widziałem was w akcji i stawiam na ciebie, Aniele. Pokonałabyś ją bez mojej pomocy.

- A niby w czym miałbyś mi pomagać?

Roześmiał się. Miętko, z tłumionym pożądaniem. Oczy mu zabłyśły, utkwione tylko we mnie. Uśmiechał się jak lis... tylko jakoś łagodniej. Coś zaigrało wokół mojego pępka i przesunęło się w dół.

- Drzwi są zamknięte - powiedział. - A my mamy jeszcze coś do załatwienia.

Moje ciało najwyraźniej przejęło kontrolę nad logiką. Prawdę powiedziawszy - zdławiło ją zupełnie.

Przesunęłam ręce po torsie Patcha i mocno objęłam go za szyję. Złapał mnie za biodra i uniósł, a ja owinęłam go nogami w pasie. Puls rozsadzał mi głowę, ale co tam! Wycisnęłam na jego wargach pocałunek, uniesiona smakiem jego ust, dotykiem dłoni, na granicy wybuchu, eksplozji porażonych zmysłów...

Raptem w kieszeni zadzwoniła mi komórka. Zdyszana, przy drugim dzwonku odsunęłam się od niego.

- Nagra ci się - szepnął.

Podświadomie czułam, że nie mogę nie odebrać. Nie pamiętałam tylko czemu...

Pocałunek Patcha sprawił, że wyparowały ze mnie resztki niepokoju.

Wyplątawszy się z objęć, odwróciłam głowę, by nie spostrzegł niezbyt ciekawego efektu spotkania z jego wargami. W duchu krzyczałam z rozkoszy.

- Halo? - Zdołałam oprzeć się pokusie starcia z ust rozmazanego błyszczyka.

- Hej, skarbie! - odezwała się Vee. Połączenie było fatalne, coś strasznie przerywało. - Gdzie jesteś?

- A ty?! Jeszcze z Julesem i Elliotem? - Zakryłam dłonią ucho, by ją lepiej słyszeć.

- W szkole. Włamaliśmy się - odparła tonem niegrzecznego dziecka. - Chcemy się pobawić w chowanego, ale do jednej drużyny brakuje nam ludzi. Znasz może... czwartą osobę, która by do nas dołączyła?

W tle rozległ się jakiś bełkot.

-Elliot mówi, że jak nie zostaniesz jego partnerką... zaraz... Co? - spytała w przestrzeń. Oddała komórkę Elliotowi.

- Nora? Zabaw się z nami. A jak nie, to wiedz, że na drzewie w pewnym znanym miejscu jest już wycięte imię Vee.

Ogarnęła mnie fala lodu.

- Halo? - krzyknęłam ochryple. - Elliot? Vee? Jesteście tam?

Ale nikt już się nie odezwał.

## ROZDZIAŁ 27

- Z kim rozmawiałaś? - spytał Patch.

Nie mogąc opanować drżenia, wydukałam wreszcie:

- Vee włamała się do szkoły z Julesem i Elliotem. Chcą, żebym przyjechała.

Czuję, że jak nie pojedę, Elliot coś jej zrobi. - Podniosłam wzrok. - Pewnie i tak ją skrzywdzi, nawet jeśli się zjawię.

Patch skrzyżował ramiona.

- Elliot?

- Tydzień temu znalazłam w bibliotece artykuł... Przesłuchiwali go w sprawie zabójstwa w jego dawnej szkole, w Kinghorn. Przyszedł do sali komputerowej i zobaczył, jak to czytam. Od tej pory wyczuwam od niego złą energię. Potworną. Chyba nawet włamał mi się do pokoju, żeby wykraść artykuł.

- Coś jeszcze?

- Zamordowana była jego dziewczyną. Została powieszona na drzewie. A teraz Elliot powiedział, że jak do nich nie dołączę, to na drzewie w pewnym znanym miejscu jest już wycięte imię Vee.

- Wiem który to. Tupeciarz, trochę agresywny, ale nie wygląda na mordercę. -

Patch pogmerał mi w kieszeni i wyciągnął kluczyki jeepa. - Pojadę sprawdzić, co się tam dzieje. Zaraz wracam.

- Zadzwońmy na policję. Pokręcił głową.

- Chcesz, żeby posadzili Vee za naruszenie dobra publicznego i tak dalej? A Jules? Co to za jeden?

- Kumpel Elliota. Był w salonie gier, gdy się spotkaliśmy.

Zmarszczył czoło.

- Dziwne, na pewno bym go zapamiętał.

Otworzył przede mną drzwi. W holu stróż w czarnych spodniach i firmowej bordowej koszuli zmiatał rozsypany popcorn. Na widok wychodzącego z damskiej toalety Patcha obejrzał się dwa razy. Brandt Christensen. Kolega z angielskiego. W zeszłym semestrze pomagałam mu przy wypracowaniu.

- Elliot nie czeka na ciebie, tylko na mnie - upomniałam Patcha. - Kto wie, co grozi Vee, jeśli się tam nie pokażę? Nie mam zamiaru ryzykować.

- A będziesz mnie słuchała, robiła, co ci każę?

- Tak.

- Skoczysz w razie czego?

- Skoczę.

- Albo zostaniesz w aucie?

- Zostanę.

No, powiedzmy.

Na parkingu przed kinem Patch wyłączył alarm i zamrugały reflektory jeepa.

Nagle zatrzymał się i zaklął pod nosem.

- Coś nie tak? - zapytałam.

- Opony.

Spojrzałam na auto i rzeczywiście - w przednich kolach nie było powietrza.

- Niemożliwe! - wykrzyknęłam. - Nie mogłam przejechać po dwóch gwoździach naraz!

Patch przykucnął przy jednej ze sflaczałych opon i przejechał po niej ręką.

- Śrubokręt. Ktoś zrobił to celowo.

Przemknęło mi przez głowę, że znów wpływa na moje myśli, bo nie chce, abym pojechała z nim do szkoły. Ale chyba jednak nie. Nie czułam jego obecności w swoim umyśle. Może teraz podziałał na mnie w inny sposób, bo wszystko wydawało mi się jak najbardziej realne.

- Kto mógł to zrobić? Patch wstał z ziemi.

- Znalazłoby się kilku.

- To znaczy, że masz wielu wrogów?

- Wnerwiłem parę osób. Ludzie zakładają się bez sensu, przegrywają, a później mają mi za złe, że tracą auto albo coś poważniejszego.

Podszedł do stojącego kilka metrów dalej coupe, otworzył drzwiczki od strony kierowcy, usiadł za kierownicą i zaczął pod nią gmerać.

- Co ty wyprawiasz? - zapytałam bez sensu, bo było to oczywiste.

- Szukam zapasowego kluczyka. - Wyciągnął spod kierownicy dwa niebieskie kabelki i skręcił je wprawnym ruchem, zapalając silnik. - Pas bezpieczeństwa. - Spojrzał na mnie.

- W życiu nie ukradnę samochodu. Obruszył się.

-Jest nam potrzebny, a właścicielowi niekoniecznie.

-To kradzież. Przystępstwo.

Wcale się tym nie przejął. Przeciwnie, siedział za kierownicą zupełnie wyluzowany.

Już to kiedyś robił - pomyślałam.

- Pierwsza zasada złodzieja samochodów - rzekł z uśmiechem - nie kręć się na miejscu zbrodni dłużej niż to konieczne.

- Zaczekaj. - Uniosłam palec.

Pobiegłam z powrotem do kina. Wchodząc, zobaczyłam w drzwiach odbicie parkingu. Patch wyskoczył z coupe.

-Cześć, Brandt - powiedziałam do sprzątacza, który wciąż zmiatał okruchy



popcornu na łopatkę.

Popatrzył na mnie, ale w sekundzie skierował wzrok za moje plecy. Usłyszałam, jak drzwi się otwierają, i poczułam obecność Patcha - jak chmurę, gdy przesłaniając słońce, lekko przyciemnia krajobraz tuż przed burzą.

- Co słyszeć? - zapytał Brandt niepewnie.

- Popsuł mi się samochód. - Zagryzając usta, zrobiłam przyjazną minę. - Nie chcę cię stawiać w niezręcznej sytuacji, ale skoro w zeszłym roku pomogłam ci z tym Shakespeare'em...

- Chcesz pożyczyć auto.

- Yyy... no tak.

- To rzęch, nie jeep commander - rzucił Patchowi przepraszające spojrzenie.

- Ale jeździ? - spytałam.

- Jak chodzi ci o to, czy się kręcą kola, to tak, jeździ. Ale ja go nie pożyczam.

Patch otworzył portfel i wręczył mu trzy nowiutkie banknoty studolarowe. Kryjąc zdumienie, stwierdziłam, że nie warto się sprzeciwiać.

- Okej, zmieniłem zdanie. - Brandt wybałuszył oczy, schował pieniądze do kieszeni i rzucił Patchowi kluczyki.

- Jaka marka, kolor? - zapytał Patch.

- Trudno określić. Krzyżówka volkswagen a i chevette. Kiedyś był niebieski. Od rdzy zrobił się pomarańczowy. Napelnisz bak przed oddaniem? - Nie wierząc własnemu szczęściu, Brandt chyba ścisnął za plecami kciuki.

Patch wyjął jeszcze dwudziestkę.

- Na wszelki wypadek. - Wsunął mu banknot do przedniej kieszeni uniformu.

Kiedy wyszliśmy z kina, powiedziałam:

- Spokojnie załatwiłabym kluczyki. Trzeba było mi dać trochę więcej czasu.

Właściwie to czemu zatrudniłeś się w Granicy? Przecież jesteś dziany.

- Skądże. Wygrałem forszę w bilard bodaj dwa dni temu. - Włożył kluczyk do zamka i otworzył przede mną drzwi od strony pasażera. - Jesteśmy bez kasy. Przejechał miasteczko ciemnymi, spokojnymi ulicami. Po chwili znaleźliśmy się pod szkołą. Postawił auto od wschodniej strony i wyjął kluczyk ze stacyjki.

Kampus porastają drzewa, których gałęzie teraz wyginały się ponuro, unosząc wilgotną mgłę. W ciemnościach zamajaczył przed nami ogólniak Coldwater.

Najstarszą część budynku wzniesiono pod koniec dziewiętnastego wieku, więc po zachodzie słońca przypomina katedrę. Szarą, złowieszczą i bardzo, ale to bardzo opuszczoną.

- Mam złe przeczucie. - Spojrzałam na zionące czernią okna.

- Zostań w samochodzie i staraj się nie rzucać w oczy. - Patch podał mi kluczyki. - Gdy tylko ktoś wyjdzie z budynku, masz odjechać.

Wysiadł. Miał na sobie czarny obcisły półgolf z krótkimi rękawami, ciemne lewisy i buty do kostek. Dzięki czerni włosów i śniadej cerze był prawie niewidzialny.

Przebiegł ulicę i po chwili całkiem stopił się ze zmierzchem.

## ROZDZIAŁ 28

Minęło pięć minut, a potem dziesięć, które przeciągnęło się do dwudziestu. Próbowałam ignorować upiorne uczucie, że ktoś mnie obserwuje. Przeniknęłam wzrokiem cienie wokół szkoły.

Czemu go tak długo nie ma? Coraz bardziej niespokojna, zaczęłam snuć domysły. A jeśli nie znalazł Vee? Co by się stało, gdyby spotkał Elliota? Wątpliwe, by Elliot sobie z nim poradził, no ale mimo wszystko mógłby go zaskoczyć...

Na dźwięk komórki o mało nie wyskoczyłam z siebie.

- Widzę cię - rzekł Elliot. - Siedzisz w samochodzie.

- Gdzie jesteś?

- W sali na pierwszym piętrze. Zabawiamy się.

- Nie mam ochoty na zabawę. Wyłączył się.

Wysiadłam z auta z sercem w gardle. Spojrzałam na ciemne okna szkoły.

Niemożliwe, by Elliot wiedział, że Patch jest w środku. Głos miał zniecierpliwiony, ale nie był wściekły. Liczyłam, że Patch coś obmyślił i nie pozwoli skrzywdzić ani mnie, ani Vee. Zerkając na zachmurzony księżyc, przestraszona podeszłam do budynku od wschodniej strony.

Wkroczyłam w półmrok. Po paru sekundach dojrzałam smugę światła w okienku w górnej części drzwi. Posadzka lśniła od pasty. Szafki po dwóch stronach holu wyglądały jak uśpione cyborgi. Korytarz nie emanował spokojem, tylko ukrytą grozą.

Lampy uliczne rozjaśniały zaledwie fragment korytarza, dalej nie widziałam już nic. Przekręciłam kilka włączników światła przy drzwiach - na darmo.

Na zewnątrz był prąd, więc z pewnością ktoś wyłączył światło ręcznie. Czyżby Elliot...? Dotąd nie znalazłam ani jego, ani Vee. I Patch też zniknął.

Postanowiłam, że przejdę po omacku wszystkie sale i gdy w końcu się na niego natknę, poszukamy Vee wspólnie.

Powoli ruszyłam naprzód, trzymając się ściany. Za dnia chodziłam korytarzem często, ale po ciemku nagle stał się całkiem obcy.

Przy pierwszym „skrzyżowaniu” dość szybko zorientowałam się, gdzie jestem. Po lewej były sale prób szkolnego zespołu i stołówka. Po prawej - administracja i klatka schodowa. Poszłam dalej przed siebie, w głąb szkoły, w stronę klas.

Potknęłam się o coś i runęłam jak długa. W sączącym się przez świetlik, przymglonym księżycowym blasku zobaczyłam na posadzce ciało. Jules leżał na plecach, z niewidzącym wzrokiem. Splątane jasne włosy zasłaniały mu pół twarzy, ręce spoczywały na ziemi, bezwładne jak u trupa.

Podniosłam się na kolana i bez tchu zakryłam ręką usta. Cała się zatrzęsłam od adrenaliny. Ostrożnie położyłam dłoń na jego piersi. Nie żył.

Zrywając się na równe nogi, zdusiłam krzyk. Chciałam zawołać Patcha, ale wtedy Elliot zaraz by mnie znalazł - jeśli już nie wiedział, gdzie jestem.

Przerażona, uzmysłowiłam sobie, że może stoi parę kroków dalej i przygląda się

chorej zabawie, którą zaczął.

Znów zapanowały egipskie ciemności. Ogarnięta zgrozą, uprzytomniłam sobie, że przed sobą mam niekończący się korytarz, a po lewej zaledwie kilka schodów do biblioteki. Z prawej zaczynały się klasy. W ułamku sekundy postanowiłam wejść do biblioteki, byle jak najdalej od zwłok Julesa. Zaczęło mi kapać z nosa i nagle poczułam, że bezgłośnie płaczę. Dlaczego?! Kto go zabił? Czy Vee też nie żyje?!

Drzwi były otwarte. Macając po półkach, dotarłam na drugi koniec biblioteki. Są tam trzy dźwiękoszczelne czytelnie. Gdyby Elliot chciał odizolować Vee od świata, byłyby do tego idealnym miejscem.

Ledwie skierowałam się w ich stronę, w bibliotece ktoś jęknął. Mężczyzna... Wryło mnie w podłogę.

W tej samej chwili na korytarzu rozbłysły lampy, oświetlając wnętrze biblioteki. Parę metrów ode mnie leżał Elliot, miał rozchylone wargi i spopieliała skórę. Wzniósł oczy w górę, ku mnie, i wyciągnął rękę.

Z przenikliwym wrzaskiem ruszyłam do drzwi biblioteki, kopiąc i przewracając krzesła. Wiej! - przemknęło przez myśl - czym prędzej do wyjścia!

Gdy zataczając się, wybiegłam z biblioteki, korytarz znów pograżył się w smolistej czerni.

- Patch! - próbowałam krzyknąć, ale głos uwiązł mi w gardle i zakrztusiłam się. Jules nie żył, a Elliot - prawie. Czyja to sprawka? Kto został przy życiu? Staralam się pokoiarzyć fakty, ale opuściła mnie logika.

Wtem pchnięcie od tyłu. Zachwiałam się. Przy drugim walnęłam głową o szafkę. Po chwili w wątlm blasku ujrzałam ciemne oczy pod kominiarką. Światło padało z przymocowanej nad czołem latarki.

Chciałam się rzucić do ucieczki, ale napastnik chwycił mnie i przyparł do szafki.

- Myślałaś, że nie żyję? - Uśmiechnął się lodowato, z triumfem. - Nie mógłbym przepuścić ostatniej okazji pofiglowania sobie z tobą. Dziwisz się, tak? Myślałaś, że złoczyńcą w tej bajce jest Elliot? Albo twój najlepszy kumpel? Ciepło? Tak to bywa ze strachem. Budzi najgorsze instynkty.

- A więc to ty. - Zadrzałam. Jules zerwał z twarzy kominiarkę.

- We własnej osobie.

-Jak to zrobisz? - spytałam roztrzęsionym głosem. -Widziałam cię. Nie oddychałeś. Byłeś martwy.

- Przeceniasz mnie. To wszystko wytwory twojej wyobraźni. Gdybyś nie była taka słaba, nic by mi się nie udało. Źle się przy mnie czujesz? Nieswojo ci ze świadomością, że twój mózg dał się opanować bez trudu? A ile miałem z tego frajdy!

Oblizalam usta. Miały dziwny, sucho-lepki smak i cuchnęły strachem.

- Gdzie Vee? Uderzył mnie w twarz.

- Nie zmieniaj tematu. Powinnaś się nauczyć panować nad lękiem. Lęk osłabia

zdolność logicznego myślenia i takim jak ja daje ogromne pole do popisu. Nigdy go takiego nie widziałam. Zwykle był cichy, poważny, obojętny na otoczenie. Trzymał się na uboczu, nie zwracał na siebie uwagi, nie budził podejrzeń. Sprytnie - pomyślałam.

Szarpnął mnie za ramię.

Wpiłam się w niego paznokciami, próbując się wyrwać, ale dał mi pięścią w brzuch. Zatoczyłam się, wzywając w duchu pomocy, która wciąż nie nadchodziła. Osunęłam się na posadzkę. Nie mogłam złapać oddechu.

Musnął palcami ślady, które wyryłam mu na przedramieniu.

- Zapłacisz mi za to!

- Po co mnie tu sprowadziłeś? Czego chcesz? - z trudem tłumiałam histerię.

Powlókł mnie za rękę do końca korytarza. Otworzył drzwi kopniakiem i choć zaparłam się nogami, wepchnął mnie do jakiejś sali. Drzwi się za nami zatrzasnęły. Niewiele widziałam w świetle latarki, którą sobie przyświecał.

Wewnątrz unosiła się znajoma woń kredowego pyłu i zwierzęcych chemikaliów.

Ściany ozdabiała plakaty przedstawiające ludzką anatomię i przekroje komórek.

Z przodu stał długi czarny granitowy kontuar ze zlewem, a naprzeciw niego -

rzędy identycznych laboratoryjnych stołów. Byliśmy w gabinecie biologicznym...

Spostrzegłam błysk metalu. Na podłodze, obok kosza na śmieci, leżał skalpel, który pewnie przeoczyli trener i stróż. Wsunęłam go za pas dżinsów w momencie, kiedy Jules mnie podniósł.

- Musiałem odciąć dopływ prądu - powiedział, kładąc latarkę na najbliższym

blacie. - Bo przy świetle nie sposób zabawić się w chowanego. - Przysunąwszy

do stołu dwa krzesła, ustawił je naprzeciw siebie. - Siadaj - nie zabrzmiało to jak zaproszenie.

Powędrowałam wzrokiem do okien w odległej ścianie. Może jakoś udałoby mi się tamtędy wymknąć... Instynkt samozachowawczy podpowiadał, że bym nie pokazywała po sobie strachu. Przypomniałam sobie rady z zajęć samoobrony, na które zapisałyśmy się z mamą po śmierci taty. Utrzymuj kontakt wzrokowy... Miej pewną minę... Myśl rozważnie... Akurat, łatwo się mówi.

Jules usadził mnie na krześle. Zaśniło ostrze skalpela.

- Oddaj telefon - nakazał, wyciągając rękę.

- Zostawiłam w samochodzie. Zaśmiał się.

- Chcesz ze mną pogrywać? Zamknąłem w budynku twoją najlepszą przyjaciółkę. Chyba nie powinna czuć się opuszczona. Będę musiał wymyślić dla niej coś ekstra.

Oddałam mu komórkę. Nadludzką siłą zgiał ją na pół.

- No, to zostaliśmy sami. - Wygodnie rozsiadł się przede mną, wyciągając nogi.

Jedną rękę zwiesił za oparciem krzesła. - Pogadajmy, Noro.

Rzuciłam się do ucieczki, ale momentalnie chwycił mnie w pasie i usadził z powrotem.

- Hodowałem kiedyś konie - powiedział. - Miałem stadninę, dawno temu we Francji... Piękne były. Najbardziej lubiłem hiszpańskie. Łapano je, dzikie i mi dostarczano. Ujeżdżałem ogiera w ciągu paru tygodni. Ale zdarzały się i trudne do poskromienia. Wiesz, jak sobie z nimi radziłem?

Wzdrygnęłam się przed odpowiedzią.

- Współpracuj, a nic ci się nie stanie - dodał.

Nie wierzyłam mu nawet przez sekundę. Miał coś fałszywego w oczach.

- Widziałam Elliota... - zaskoczyło mnie drżenie własnego głosu, bo choć go nie lubiłam ani mu nie ufałam, to mimo wszystko nie zasłużył na powolną śmierć w mękach. - Ty go tak urządziłeś?

Przysunął się, jakby chciał mi zdradzić tajemnicę.

- Przestępca nigdy nie zostawia śladów. Elliot jest za bardzo zamieszany w sprawę. Za dużo wie.

- Zwabiłeś mnie tu, bo znalazłam artykuł o Kjirsten Hawerson?

Uśmiechnął się.

- Elliot nie wspominał, że wiesz o Kjirsten.

- On ją zamordował... czy ty? - spytałam w jakimś lodowatym olśnieniu.

- Musiałem wystawić jego lojalność na próbę. Uwolniłem go od upokorzeń. Był w Kinghorn na stypendium i wszyscy mu to wypominali. Tylko nie ja. Zostałem jego dobroczyńcą. W końcu przyszło mu wybierać między mną a Kjirsten, a ściśle: między pieniędzmi a miłością. Być żebrakiem wśród książąt to średnia przyjemność. Wiedziałem, że jeśli go przekupię, nie zawiodę się na nim, gdy przyjdzie czas na ciebie.

- A dlaczego na mnie?

- Nadal nie rozumiesz? - Światło wydobyło bezwzględność jego rysów, nadając oczom barwę płynnego srebra. - Manipuluję tobą. Pociągam za sznurki. Używam cię jako przynęty, bo osobnik, którego chciałbym skrzywdzić, jest niezniszczalny. Wiesz kto to?

Straciłam ostrość widzenia i panowanie nad ciałem. Twarz Elliota objawiła mi się nagle jak rozmazany, pozbawiony detali impresjonistyczny obraz. Krew odpłynęła z głowy i ogarnął mnie bezwład. Poczułam, że koniecznie muszę wziąć żelazo i to szybko.

Kolejny cios w twarz.

- Skup się. O kim mówię?

- Nie mam pojęcia - wyszeptałam.

- Wiesz, skąd u niego ta odporność? Nie jest istotą ludzką. Jego ciało nie odbiera żadnych bodźców. Nawet gdybym go zamknął i zaczął torturować, nic by to nie dało. Nie czuje nic, krzty bólu. Jeszcze się nie domyślasz? Ostatnio spędzacie razem wiele czasu. No powiedz, dalej nie wiesz?

Po plecach spłynęła mi strużka potu.

- Co roku z początkiem miesiąca cheszwan przejmuje panowanie nad moim

ciałem. Na dwa tygodnie. Tak długo jestem bezwolny. Żadnej swobody czy wyboru. W ciągu tych dwóch tygodni nie mogę opuścić swojego ciała i wrócić, gdy jest po wszystkim. Gdyby tak było, mógłbym o wszystkim zapomnieć, udawać przed sobą, że nic się nie zdarzyło. Ale nie! Wciąż jestem w sobie, uwięziony we własnym ciele i w tym stanie muszę doświadczać każdej chwili -dodał ochryple. - Znasz to uczucie?! Wątpię.

Zamilkłam, żeby go nie prowokować. Zaśmiał się przez zaciśnięte zęby. W życiu nie słyszałam czegoś tak złowieszczego.

- Złożyłem przysięgę, że pozwolę mu przejmować swoje ciało na okres cheszwanu - ciągnął. - Miałem szesnaście lat. - Wzruszył ramionami, ale zabrzmiało to surowo. - Podstępnie zmusił mnie do tego torturami. A potem powiedział, że nie jestem człowiekiem. Wyobrażasz sobie? Nie jestem człowiekiem. Powiedział też, że moja matka, śmiertelniczka, przespała się z upadłym aniołem. - Wykrzywił się paskudnie, a na czoło wystąpiły mu krople potu. - Wiesz, że odziedziczyłem parę cech po ojcu? Jestem oszustem jak on. Objawiam kłamstwa. Sprawiam, że słyszysz głosy.

- Ot, tak. Słyszysz mnie, Noro? Jeszcze się nie boisz? Klepnął mnie po czole.

- Co się tu dzieje, Noro? Jakoś dziwnie cicho.

Jules to Chauncey. Nefil. Przypomniałam sobie zamię i słowa Dabrii. Więc ja i on jesteśmy jednej krwi. W moich żyłach płynie krew monstrum. Spod przymkniętych powiek pociekła mi łza.

- Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie? Wskoczyłem ci na maskę. We mgle, w ciemnościach. Byłaś tak podenerwowana, że okpiłem cię bez trudu. Tej pierwszej nocy posmakowałem rozkoszy napawania cię strachem.

- Poznałabym cię - szepnęłam. - Niewielu dorównuje ci wzrostem.

- Nie słuchasz. Potrafię objawiać ci to, co chcę. Sądzisz, że przeoczyłbym szczegół tak znaczący jak mój wzrost? Zobaczyłaś to, co ci nakazałem.

Anonimowego mężczyznę w kominiarce.

Pomimo strachu cieszyłam się, że nie tracę zmysłów. Wszystkim kierował Jules. To on był szalony. Zdolność opętywania myśli odziedziczył po ojcu - upadłym aniele.

- Nie splądrowałeś mi pokoju - rzekłam. - Tylko wdrukowałeś mi to w podświadomość. Dlatego, gdy przyjechała policja, wyglądał na nietknięty.

Pochwalił mnie rytmicznymi oklaskami.

- A wiesz, co jest w tym wszystkim najpiękniejsze? Mogłaś mnie osłabić, tak że bez twojej zgody nie kiwnąłbym palcem. Ale się nie opierałaś. Byłaś bezwolna, słaba, łatwa.

Nie mylił się, ale zamiast choć na pół sekundy poczuć ulgę, uzmysłowiłam sobie, jak bardzo ulegam wpływom. Pozbawiona ochronnej powłoki, w żaden sposób nie mogłam bronić się przed manipulacjami Julesa. Chyba żebyśmy znała jego słabe strony.

- Postaw się w mojej sytuacji - mówił. - Ciało, które rok za rokiem ktoś nawiedza... Wyobraź sobie nienawiść, którą można uleczyć tylko zemstą. Wyobraź sobie pokłady energii, jaką tracisz, nie spuszczać oka z obiektu swojej zemsty i wyczekiwanie chwili, gdy los da ci szansę odwetu i zacnie ci sprzyjać. - Wbił we mnie wzrok. - Ty jesteś tą szansą, bo krzywdząc ciebie, skrzywdzę Patcha.

- Przeceniasz moją wartość. - Na czoło wystąpił mi zimny pot.

- Obserwuję go od wieków. Minionego lata odwiedził cię w domu po raz pierwszy, ale nic nie spostrzegłaś. Śledził cię kilkakrotnie na zakupach. Co jakiś czas specjalnie zmieniał plany, aby cię odnaleźć, aż wreszcie zapisał się do twojej szkoły. Długo się zastanawiałem, co w tobie takiego niezwykłego, no i postanowiłem się przekonać. Przyglądałam ci się od dłuższego czasu.

Zdjęło mnie dziwne uczucie, ale nie był to przestach. Momentalnie pojęłam, że jako duch opiekuńczy nie towarzyszył mi tato, tylko Jules. W tej chwili też tego doznawałam, tyle że sto razy silniej.

- Aby nie wzbudzić podejrzeń, trzymałem się na uboczu - opowiadał Jules. - I wtedy pojawił się Elliot, który dość szybko potwierdził to, czego się domyślałem. Że Patch jest w tobie zakochany.

Wszystko się zgadzało. Jules wcale nie był chory, kiedy zniknął w toalecie w Delphic. Gdy siedzieliśmy w Granicy, też nie. Po prostu ukrywał się przed Patchem, który - widząc go - zaraz by się domyślił, że tamten coś knuje. Jako informator Julesa, Elliot wszystko mu przekazywał.

- Miałaś zginąć na biwaku, ale Elliot nie zdołał cię namówić. Dziś rano śledziłem cię, gdy wyszłaś od Ślepego Joe, i chciałem cię zastrzelić. Niestety, zabiłem kłozardkę w twoim płaszczu. Ale to nic - przybrał spokojniejszy ton. - Teraz mamy dosyć czasu.

Drgnęłam na krześle i skalpel obsunął mi się w dżinsach. Na szczęście wciąż miałam go w zasięgu ręki. Gdybym musiała teraz wstać, mógłby wylecieć przez nogawkę i to byłby koniec.

- O czym myślisz? - Jules wstał i zaczął przechadzać się po sali. - Niech zgadnę... Żałujesz, że poznałaś Patcha. Wolałabyś, żeby się w tobie nie zakochał. Czy to nie śmieszne, w co cię wrobił? Nie trzeba się było najpierw trochę zastanowić?

Gdy mówił o miłości Patcha, poczułam nagle cień nadziei.

Wyciągając skalpel, skoczyłam na równe nogi.

- Nie zbliżaj się, bo zabiję! Przysięgam!

Z gardłowym okrzykiem Jules przejechał ręką po kontuarze. Szklane kubki roztrzaskały się o tablicę, rozsypały się papiery... Ruszył na mnie. Mimo paniki, z całych sił dźgnęłam go skalpelem, przecinając skórę dłoni.

Syknął i cofnął się.

Bez namysłu wbiłam mu skalpel w udo.

Spojrzał na wystający z nogi kawałek metalu. Wyciągnął go oburącz, wykrzywiony bólem, i cisnął na posadzkę.  
Potykając się, zrobił krok w moją stronę.  
Uchyliłam się z wrzaskiem, ale zahaczywszy biodrem o kant stołu, straciłam równowagę i upadłam. Skalpel leżał metr ode mnie.  
Jules przewrócił mnie na brzuch i siadł na mnie okrakiem. Przycisnął mi twarz do ziemi, miażdżąc nos i tłumiąc krzyki.  
- Odważna jesteś - warknął. - Ale tym mnie nie zabijesz. Jako Nefil jestem nieśmiertelny.  
Próbowałam dosięgnąć skalpela. Gdy prawie już go dotykałam, Jules szarpnął mnie w tył.  
Obcasem kopnęłam go w czułe miejsce. Jęknął i potoczył się pod drzwi. Kiedy zdołałam wstać, zastawił je sobą, klęcząc.  
Jego oczy przesłaniały włosy w strąkach. Twarz spływała potem, a usta wykrzywił grymas bólu.  
Sprężyłam się do ucieczki.  
- Powodzenia. - Nie bez trudu uśmiechnął się cynicznie. - Ciekawe, czy ci się uda.  
Osunął się na podłogę.

## ROZDZIAŁ 29

Gdzie może być Vee?! Gdzie, na miejscu Julesa, mogłabym ją uwięzić?  
Na pewno postarał się o to, by nie zdołała uciec i żeby znalezienie jej nie było łatwe - stwierdziłam.  
Odtworzyłam w pamięci rozkład budynku, skupiając się na piętrach. Istniała szansa, że Vee jest na drugim, najwyższym, nie licząc strychu, dokąd prowadziły tylko wąskie schody. Na samej górze mieściła się salka do nauki hiszpańskiego i redakcja e-zinu.  
Instynktownie poczułam, że Vee jest w redakcji.  
Po omacku pędem wspierałam się na drugie piętro. Metodą prób i błędów odszukałam schodki do redakcji. Pchnęłam drzwi.  
- Vee? - zawołałam cicho. Jęknęła.  
- To ja. - Ostrożnie ruszyłam w jej stronę między biurkami, starając się nie przewrócić krzesła, bo Jules od razu domyśliłby się, gdzie jestem. - Żyjesz? Musimy się stąd wydostać. - Znalazłam ją skuloną na podłodze, z kolanami pod brodą.  
- Jules walnął mnie w głowę - podniosła głos. - Zdaje się, że zemdlalam. Nic nie widzę!!!  
- Posłuchaj. Wyłączył prąd i okna są zasłonięte, tak że nic nie widać. Chwyć mnie za rękę. Jak najszybciej musimy zejść na parter.



- Chyba mam coś uszkodzone. Tak mi wali serce... Ośleplam, naprawdę!

- Nie ośleplasz. - Potrząsnęłam nią. - Ja też nic nie widzę, ale na pewno się uda. Uciekniemy wyjściem koło gabinetu wuefistów.

- Wszystkie drzwi pozabezpieczał łańcuchami. Zapadło głucho milczenie. Zrozumiałam, dlaczego Jules życzył mi powodzenia w ucieczce... Ciało przeszył chłód.

- Nie te, którymi weszłam - odezwałam się w końcu. - Drzwi od wschodniej strony są otwarte.

- Oby. Na własne oczy widziałam, jak zabezpiecza inne. Powiedział, że dzięki temu przy zabawie w chowanego nikogo nie skusi, żeby wyjść ze szkoły. Że się bawimy tylko w środku.

- Więc teraz pewnie zrobi wszystko, żeby zablokować te od wschodu. Zaczai się na nas. Wyjdziemy przez okno - obmyśliłam naprędce plan. - Z drugiej strony, tutaj. Masz komórkę?

- Zabrał mi.

- Po wyjściu musimy się rozdzielić, żeby pobiegł tylko za jedną. Druga sprowadzi pomoc. - Wiedziałam, kogo wybierze. Posłużył się Vee tylko po to, aby mnie tu zwabić. - Poszukaj telefonu, zadzwoń na policję i powiedz, że w bibliotece jest Elliot.

- Żyje? - spytała Vee roztrzęsionym głosem.

- Nie wiem.

Stałyśmy tak blisko, że poczułam, jak unosi koszulkę i ociera łzy.

- Wszystko przeze mnie.

- Nie. Przez Julesa.

- Boję się.

- Damy radę - wysiliłam się, by zabrzmiało to przekonująco. - Dziabnęłam go w nogę skalpelem. Mocno krwawi. Może zrezygnuje, pójdzie na pogotowie... Zaszlochała. Obie czułyśmy, że to nieprawdopodobne i - choć ranny - Jules robi wszystko, by się na nas zemścić. Dotykając ścian, pomału zeszliśmy na parter.

- Teraz tędy - szepnęłam i ujęłam ją za rękę, kiedy ruszałyśmy w głąb korytarza, kierując się na zachód.

Nie uszłyśmy nawet paru kroków, gdy z ciemnej czeluści dobiegi dziwny gardłowy dźwięk.

- No, no, co my tu mamy? - rozległ się głos Julesa.

- Więcej! - Ścisnęłam dłoń Vee. - Jemu chodzi o mnie. Wezwij policję! Szybko! Vee puściła moją rękę i rzuciła się do ucieczki. Jej kroki ucichły przeraźliwie szybko. Przez myśl przemknęło mi, czy Patch jest jeszcze w budynku, ale nie miałam czasu się nad tym zastanawiać. Robiłam wszystko, by nie zemdleć, bo znów znalazłam się sam na sam z Julesem.

- Policja zareaguje za co najmniej dziesięć minut! - Był coraz bliżej. - Mnie aż tyle nie trzeba.

Obróciłam się i pobiegłam, a Jules ruszył za mną.

Przy pierwszym rozwidleniu po omacku skręciłam w prawo, w prostopadły korytarz, raniąc dłonie o ostre kandy szafek i zawiasy. I jeszcze raz w prawo, niemal bez tchu, w kierunku dwuskrzydłowych drzwi sali gimnastycznej.

Po głowie tłukło się tylko jedno: jeśli zdołam dotrzeć do swojej szafki, natychmiast się w niej zamknę. Szafek jest w damskiej szatni tyle, że Jules będzie się musiał włamywać do każdej po kolei. Jeżeli los mi sprzyja, to policja przyjedzie, zanim mnie znajdzie.

Wpadłam do sali i rzuciłam się w kierunku szatni. Ledwie szarpnęłam klamkę, ogarnęła mnie groza. Drzwi były zamknięte. Spróbowałam drugi raz, na próżno. W obłędzie zaczęłam się rozglądać za innym wyjściem... na nic. Znalazłam się w pułapce. Przypadłam do drzwi i wstrzymałam oddech, mrużąc powieki, by nie zemdleć.

Kiedy otworzyłam oczy, Jules zmierzał do mnie przez labirynt smug księżycowego światła. Udo miał obwiązane koszulą, która przesiąkła krwią. Był w samym podkoszulku i cienkich spodniach. Zza pasa wystawał mu rewolwer.

- Wypuść mnie - poprosiłam.

- Vee powiedziała mi coś ciekawego na twój temat. Masz lęk wysokości. -

Spojrzał na krokiew pod sufitem. Jego twarz rozjaśniła się.

Powietrze w sali wypełniała duszna woń potu i lakieru do drewna. Na ferie wyłączyli ogrzewanie i było potwornie zimno. Na lakierowaną podłogę tu i tam padały cienie wędrujących chmur. Jules stał tyłem do trybuny. Nagle za jego plecami przemknął Patch.

- To ty napadłeś Marcie Millar? - Starłam się nie reagować na obecność Patcha, żeby go nie zdradzić.

- Wiem od Elliota, że nie przepadacie za sobą. Nie chciałem, żeby kto inny dręczył moją dziewczynę.

- A okno? Zaglądałeś do mnie, gdy spałam?

- Nie bierz tego aż tak do siebie.

Jules zeszywniał. Zbliżył się, chwycił mnie za nadgarstek i okręcił przed sobą. Przystawił mi do karku rewolwer.

- Zdejmij czapkę - nakazał Patchowi. - Chcę widzieć twoją twarz, kiedy ją zabiję.

Nie uda ci się nic zrobić. Jesteś tak bezradny, jak ja po złożeniu ci przysięgi.

Patch podszedł bliżej. Spokojnie, ale ostrożnie. Skrzywiłam się pod silnym pchnięciem lufy rewolweru.

- Jeszcze krok, a zginie - ostrzegł Jules.

Patch mierzył wzrokiem odległość między nami. Jules też to zauważył.

- Nie próbuj - powiedział.

- Nie zastrzelisz jej, Chauncey.

- Nie? - Nacisnął cyngiel.

Rozległ się trzask i gdy otworzyłam usta, by krzyknąć, wydałam drżący jęk.

- Rewolwer - wyjaśnił Jules. - Mam jeszcze pięć załadowanych komór.  
- Gotowa do bokserskich akcji, którymi tak się szczycisz? - przemówił w mojej głowie Patch.

Z walącym sercem ledwie trzymałam się na nogach. Raptem poczułam przyływ nieznanej siły. Uległam mu bez reszty.

Nim zdążyłam poczuć przerażenie całkowitą utratą kontroli nad własnym ciałem - dłoń przeszył kłujący ból. Uzmysłowiłam sobie, że Patch uderzył Julesa moją pięścią. Wytrącony z ręki rewolwer zniknął w ciemnościach na podłodze.

Słuchając nakazu Patcha, skierowałam Julesa ciosami do trybuny i gdy tylko się potknął i osunął, ścisnęłam go za gardło. Z całych sił przyparłam mu głowę do kanciastego fotela, aż chrupnęło! Wpiłam się palcami w jego szyję. Wybałuszył oczy i zaczął coś mamrotać, ale Patch nie ustępował.

- Muszę natychmiast opuścić twoje ciało - usłyszałam. - To nie cheszwan, nie wolno mi nikogo nawiedzać. Uciekaj, gdy tylko z ciebie wyjdę. Rozumiesz? Jak najszybciej. Chauncey jest zbyt osłabiony, żeby tobą zawładnąć. Uciekaj, biegiem!

Po chwili z przeszywającym świstem Patch zaczął mnie opuszczać.

Jules, nie mogąc znieść uścisku, bezwładnie zwiesił głowę.

- O właśnie - usłyszałam Patcha. - Zemdlej... zemdlej! Ulotnił się z mojego ciała. Tak nagle, że zakręciło mi się w głowie.

Odzyskawszy panowanie nad rękami, instynktownie puściłam gardło Julesa.

Łapiąc powietrze, spojrzał na mnie. Patch leżał bez ruchu parę kroków dalej.

Przypomniało mi się, co powiedział i pognałam przez salę. Rzuciłam się do drzwi, ale nie ustąpiły, tak jakbym zderzyła się ze ścianą. Pchnęłam je. Pięć minut temu były otwarte; sama przez nie weszłam! Naparłam całym ciężarem, ale się nie otworzyły.

Odwrociłam się. W nagłym odpływie adrenaliny zadrżały mi kolana.

- Wynocha z moich myśli! - wrzasnęłam na Julesa. Podniósł się i przysiadłszy na podeście trybuny, rozmasował gardło.

- Nie licz na to - odpowiedział.

Znów pchnęłam drzwi. Uniosłam nogę i kopnęłam uchwyt. Grzmotnęłam w okienko.

- Pomocy! Słyszysz mnie ktoś? Ratunku!

Kiedy się obejrzałam - Jules szedł w moją stronę. Ranny, co chwila się potykał.

Przymknęłam oczy, by ogarnąć myśli. Drzwi puszczą w momencie, gdy wymiotę z siebie jego głos. Przeszukałam najdalsze zakamarki mózgu, ale bezskutecznie.

Schował się gdzieś głęboko. Otworzyłam oczy. Jules był coraz bliżej.

Stwierdziłam, że muszę znaleźć jakieś inne wyjście.

Do ściany nad trybuną na drugim końcu sali była przytwierdzona żelazna drabina, sięgająca krokwi pod sufitem, a nade mną znajdował się szyb wentylacyjny. Gdybym do niego jakoś weszła, kto wie, może w końcu

wydostałabym się z budynku.

Jak opętana pognałam na trybunę, mijając Julesa. Buty tak głośno stuknęły o drewniane deski, że nie wiedziałam, czy mnie goni. Wreszcie postawiłam stopę na pierwszym szczeblu drabiny i zaczęłam wspinać się w górę. Kątem oka dostrzegłam w dole dystrybutor wody pitnej. Maleńki - a więc byłam już bardzo wysoko.

Nie patrz w dół. Skoncentruj się na wspinaczce - pomyślałam.

Kiedy stawiałam nogę na kolejnym szczeblu, źle umocowana drabina zachwiała się niebezpiecznie.

Ze skupienia wyrwał mnie śmiech Julesa.

Przez głowę przemknęły mi wizje upadku. Rzecz jasna, to on je we mnie zasiał. W oszłomieniu nagle straciłam orientację, gdzie jest dół, a gdzie góra. Nie mogłam się połapać, które myśli są moje.

Ze strachu wszystko mi się zamazało. Nie wiedziałam, gdzie stoję. Czy stopy są obok siebie, czy za chwilę spadnę? Chwytnąjąc szczebel oburącz, przycisnęłam czoło do napiętych dłoni. Oddychaj - upomniałam się. - Oddychaj!

Rozległ się złowrogi szczeł. Zamknęłam oczy, by stłumić zawrót głowy.

Puściły wsporniki mocujące od góry drabinę do ściany. Metaliczny grzechot przeszedł w piskliwy jęk, gdy zerwały się następne... Z krzykiem uwięzłam w krtani patrzyłam, jak drabina odchyła się do tyłu. Gotowa runąć na plecy, przywarłam do niej całym ciałem - aż w końcu poddała się ciężeni.

Wszystko działo się tak szybko... Krokwie i świetliki zawirowały przed oczami.

Poleciałam w dół, gdy nagle drabina zatrzymała się pod kątem prostym do ściany, kilka metrów nad ziemią. Zawisłam nogami w powietrzu, kurczowo ściskając szczebel.

- Pomocy! - krzyknęłam, kopiąc w pustce.

Drabina obsunęła się niżej. But ześliznął mi się ze stopy, zawisł na palcach i spadł. Jego lot na podłogę trwał stanowczo za długo.

Naciągnięte ramiona bolały już tak bardzo, że zagryzłam język.

I nagle, śmiertelnie przerażona, usłyszałam głos Patcha:

- Nie dopuszczaj tego, co ci mówi. Wspinaj się dalej. Drabina wcale nie puściła.

- Nie mogę - zaszlochałam. - Spadnę!

- Zamknij oczy. Idź tylko za moim głosem. Przełknąwszy ślinę, zdołałam przymknąć oczy. Słuchając

jego wskazówek, poczułam, że nogi nie wiszą w próżni, tylko opieram się na szczeblu. Zdeterminowana, by przyjmować wszystko, co mi powie, czekałam, aż powrócę do rzeczywistości. Nie mylił się. Stałam na drabinie, która wcale nie odpadła od ściany. Opanowując lęk, podjęłam wspinaczkę.

Na górze niepewnie przysiadłam na najbliższej krokwi. Objęłam ją ramionami i zrobiłam wymach prawą nogą. Przed sobą miałam mur, a szyb, niestety, w tyle.

Ostrożnie przyklekłam i zaczęłam się pomału przesuwając w stronę przeciwległego

krańca sali.

Za późno!

Jules wspinał się tak szybko, że teraz dzieliło mnie od niego zaledwie pięć metrów. Wlazł na krokiew i podtrzymując się rękoma, ruszył za mną. Na wewnętrznej stronie jego nadgarstka spostrzegłam równoległe do dłoni jakby nacięcie, prawie całkiem czarne. Kto inny pomyślałby, że to pewnie szrama, ale ja momentalnie poczułam, że jesteśmy związani... O naszym pochodzeniu świadczyły identyczne znamiona.

Siedzieliśmy okrakiem naprzeciwko siebie. Był trzy metry dalej.

- Ostatnie życzenie? - spytał.

Mimo oszołomienia, zerknęłam w dół.

Patch nadal leżał na podłodze, bez ruchu, jak nieżywy. Zapragnęłam ponownie przeżyć każdą chwilę z nim spędzoną. Choć jeszcze jeden zagadkowy uśmiech, wspólne rozbawienie. Jeszcze jeden elektryzujący pocałunek. Spotkałam go, nieświadoma, że to właśnie jego szukałam całe życie. Wkroczył w nie zbyt późno i odchodził za szybko. Przypomniało mi się, jak mówił, że poświęci dla mnie wszystko. I spełnił obietnicę. Wyrzekł się ludzkiego ciała, aby mnie ocalić.

Zachwiałam się raptownie, ale pochyliwszy się, odzyskałam równowagę.

Śmiech Julesa rozbrzmiewał echem jak zimny szept.

- Możesz spaść, dla mnie to bez różnicy, oszczędzę naboju.

- A dla mnie to jednak ważne - odparłam cicho, ale stanowczo. - Łączą nas więzy krwi. - Lekko uniosłam dłoń, pokazując znamię. - Jestem twoją potomkinią. Jeśli poświęcę własną krew, Patch stanie się człowiekiem, a ty zginiesz. Tak mówi Księga Henocha.

Świdrował mnie zmatowiałym wzrokiem, chłonąc i ważąc każde słowo. Na twarz wystąpił mu rumieniec; wyczułam, że mi wierzy.

- Ty... - parsknęła.

Dopadł mnie w dzikim szale, sięgając po rewolwer. Oczy zapiekły od łez. Bez chwili namysłu rzuciłam się w dół.

## ROZDZIAŁ 30

Drzwi otwierały się i zamykały. Czekałam na odgłos kroków, ale w ciszy słyszałam tylko powolne, rytmiczne tykanie zegara.

Dźwięk powoli przygasał. Na chwilę ogarnęła mnie obawa, czy nie umilknie na zawsze, i niepewność, co się wtedy stanie.

Nagle tykanie zagłuszyła jakaś eteryczna, ale żywsza melodia, trzepot, który dodał mi otuchy. Skrzydła - pomyślałam. - Przylecieli po mnie.

W oczekiwaniu wstrzymałam oddech. Wtem zegar zaczął się cofać, ale jego rytm nie osłabł, tylko stał się zwawszy. Moje ciało objęła jakby płynna spirala i wessał mnie wir. Powędrowałam w głąb siebie, w ciepły mroczny rejon.

Otwierając oczy, ujrzałam znajomą dębową boazerię na skośnym suficie. Mój pokój! Pewna, że nic mi nie grozi, przypomniałam sobie, gdzie byłam przed chwilą. W sali gimnastycznej z Julesem.

Przeszły mnie ciarki.

- Patch? - odezwałam się, schrypnięta ze zmęczenia. Nie mogąc podnieść się na łóżku, stłumiłam łzy. Coś mi dolegało. Bolały mnie wszystkie mięśnie, kości, tak jakbym się stała jedną wielką raną.

Za drzwiami coś się poruszyło. Patch stał oparty o framugę, smutny. Usta miał ściągnięte. Spojrzenie zamyślane jak nigdy dotąd - ale opiekuńcze.

- Nieźle się spisałaś - powiedział. - Ale przydałoby ci się jeszcze parę lekcji boksu.

Przypomniałam sobie wszystko. Zebrało mi się na płacz.

- Co się stało? Gdzie Jules? Skąd się tutaj wzięłam? - głos załamał mi się z lęku.

- Rzuciłam się z krokwi.

- Nie lada odwaga - odparł, wchodząc do pokoju. Zamknął za sobą drzwi, jakby przed całym czyhającym na nas złem. Jakby chciał mnie odgradzić od niedawnych zdarzeń.

Podszedł do łóżka i siadł przy mnie.

- Co jeszcze pamiętasz?

Staralam się przywołać i uporządkować wspomnienia. Pamiętałam łopot skrzydeł tuż po chwili, kiedy się puściłam krokwi. Byłam pewna, że umieram i że jakiś anioł przyleciał, by zabrać do nieba moją duszę.

- Nie żyję, prawda? - zapytałam cicho, wystraszona. - Jestem duchem?

- Gdy skoczyłaś, twoja ofiara uśmierciła Julesa i logicznie rzecz biorąc, wraz z twoim powrotem on też powinien wrócić... Ale jako pozbawiony duszy, był już niezdolny do wskrzeszenia swojego ciała.

- To ja wróciłam? - spytałam, licząc, że moje nadzieje jednak nie są płonne.

- Nie przyjąłem twojej ofiary. Odmówiłem.

Ułożyłam usta, by westchnąć: „Aha”, ale niecierpliwie zapytałam:

- To znaczy, że dla mnie zrzekłeś się ludzkiego ciała? Ujął mnie za owiniętą bandażami rękę, wciąż pulsującą z bólu od ciosów zadanych Julesowi.

Niespiesznie ucałował palce, ze wzrokiem utkwionym w moich oczach.

- Cóż bym miał z tego ciała, nie mogąc być z tobą? Przyciągnął mnie do siebie, zapłakaną i oparł moją

głowę na piersi. Panika odeszła i poczułam, że teraz już na pewno nic mi nie zagraża.

Poderwałam się nagle. Skoro nie przyjął ofiary, to...

- Ocaliłeś mi życie. Odwróć się - nakazałam surowo. Zrobił to, z chytrym uśmieszkiem. Uniosłam jego T-shirt aż do ramion. Plecy miał nieskazitelne, gładziusieńkie. Blizny zniknęły.

- Skrzydeł nie widać - oznajmił. - Są metafizyczne.

- Czyli, że teraz jesteś aniołem stróżem. - Jeszcze nie potrafiłam objąć tego umysłem, ale równocześnie poczułam zdumienie, ciekawość, no i... rozkosz.

- Twoim stróżem.

- Naprawdę? Na czym właściwie polega to, co robisz?

- Strzegę twojego ciała. - Uśmiechnął się szerzej. - A ponieważ traktuję swoją pracę bardzo serio, będę się musiał z nim zapoznać bliżej...

W brzuchu zerwał mi się do lotu cały rój motyli.

- To znaczy, że czujesz dotyk? Uciszył mnie na moment.

- Nie, ale przynajmniej skreślili mnie z czarnej listy. Z dołu dobiegł hałas otwierających się drzwi garażu.

- Mama! - aż się zachłysnęłam. Zegar na nocnym stoliku wskazywał drugą nad ranem. - Pewno otworzyli most. Jak to jest z tym stróżowaniem? Czy tylko ja cię widzę? Inni nie?

Spojrzał na mnie jakby z nadzieją, że żartuję.

- Jesteś widzialny? - pisałam. - Nie możesz tu zostać! -Chciałam go zepchnąć z łóżka, ale przyhamowało mnie silne ukłucie pod żebrem. - Zabije mnie, jak cię tu zastanie. Umiesz chodzić po drzewach? No, powiedz, że umiesz!

Uśmiechnął się.

- Potrafię latać.

Aha, no tak, faktycznie.

- Była tu już policja i straż pożarna - powiedział. - Z sypialni nic nie zostało, ale powstrzymali ogień. Policjanci jeszcze wrócą. Mają kilka pytań. Bo chyba szukali cię pod komórką, z której ich wezwałaś.

- Jules mi ją odebrał. Patch skinął głową.

- Domyśliłem się. Możesz im mówić, co chcesz, tylko nie mieszaj mnie do sprawy. - Otworzył okno. - I jeszcze jedno. Vee zdążyła dotrzeć na policję.

Lekarze uratowali Elliota. Teraz jest w szpitalu, ale się wylize.

Na dole zamknęły się drzwi. Mama weszła do środka.

- Nora? - zawołała. Cisnęła na stolik w sieni torebkę i klucze. Na drewnianej podłodze zastukały jej obcasy, nienormalnie szybko. - Nora! Na drzwiach jest policyjna taśma! Co się tutaj dzieje?!

Obróciłam się do okna. Patch zniknął, ale na szybie od zewnątrz zostało jedno czarne pióro. Przylepione, bo szyba nie wyschła po wczorajszym deszczu albo zrzędzeniem sił anielskich.

W szczelinie pod drzwiami dostrzegłam nikły promyk -mama musiała zapalić światło w korytarzu. Wstrzymałam oddech, odliczając sekundy, pewna, że jeszcze chwila, a zobaczy...

- Nora! Co się stało z balustradą!!!

Dzięki Bogu, że jeszcze nie zdążyła wejść do sypialni.

Niebo było błękitne i przejrzyste. Słońce dopiero się budziło w dali, za horyzontem. Zaczynał się poniedziałek, nowy dzień, koszmary minionej doby

uleciały. Mimo zaledwie pięciu godzin snu i przedśmiertelnej męki, czułam się zaskakująco świeżo, jak pierwiosnek. Nie miałam ochoty psuć sobie nastroju myślą o rychłej wizycie policji i przesłuchaniu w wiadomej sprawie. Dotąd nie podjęłam decyzji, co im na ten temat powiem.

W koszuli nocnej poczłapałam do łazienki - starając się nie myśleć, kiedy i jakim cudem się przebrałam, bo przecież Patch przywiózł mnie do domu w ciuchach - i przystąpiłam do porannej toalety. Ochlapałam twarz zimną wodą, wyczyściłam zęby i ściągnęłam włosy gumką. W pokoju założyłam świeżą koszulkę i czyste dżinsy.

Zadzwoiłam do Vee.

- Co słychać? - zapytałam.

- Okej, a u ciebie?

- Dobrze. Cisza.

- No dobra - Vee przyspieszyła tempo. - Do tej pory świruję. A ty?

- Totalnie.

-W środku nocy dzwonił Patch. Powiedział, że Jules cię nieźle poturbował, ale jesteś cała.

- Taaak? Dzwonił, naprawdę?

- Z jeeпа. Powiedział, że śpisz na tylnym siedzeniu i wiezie cię do domu, bo jak przejeżdżał koło szkoły, usłyszał jakieś krzyki. Znalazł cię w sali gimnastycznej. Zemdlałaś z bólu. Ledwie się obejrzała, a tu spod sufitu leci Jules, którego chyba wykończyło nieznośne poczucie winy, że cię tak terroryzował.

Dopiero gdy wypuściłam powietrze, dotarło do mnie, że wstrzymuję oddech. Jak widać, Patch nieco przerobił to i owo.

- Wiesz, że tego nie kupuję - ciągnęła Vee. - To Patch go zabił.

Na jej miejscu chyba też bym tak pomyślała.

- A co sądzi policja?

- Włącz telewizor. Na piątce mówią teraz, że Jules włamał się do szkoły i skoczył. Że to było tragiczne samobójstwo nastolatka. Proszą o telefony ludzi, którzy coś o tym wiedzą. U dołu ekranu podają numer gorącej linii.

- Co powiedziałaś policji, kiedy zadzwoniłaś?

- Bałam się. Nie chciałam, żeby mnie wsadzili za naruszenie dobra publicznego, więc zadzwoniłam anonimowo, z budki.

- Hm - odezwałam się po chwili. - Skoro policja uważa, że to samobójstwo, to pewnie się nie myli. Mamy dwudziesty pierwszy wiek. Od czego medycyna sądowa?

- Coś przede mną ukrywasz - odparła Vee. - Co się naprawdę stało, gdy wybiegłam?

Zrobiło się niezręcznie. Vee to moja najlepsza przyjaciółka i dotąd żyłyśmy zgodnie z zasadą: „Zadnych tajemnic”. Ale pewnych spraw po prostu nie mogłabym jej wytłumaczyć. Przede wszystkim tego, że Patch był upadłym



aniołem, który stał się moim opiekunem. Ani tego, że puściłam się krokwi i umarłam, a tu nagle żyję.

- Pamiętam, że Jules przyparł mnie do muru - powiedziałam. - Straszyl, jaki ból mi zada, jak będę cierpiała... Od tego momentu wszystko mi się zamazało.

- Dasz się przeprosić? - zapytała Vee z rozbijającą szczerością. - Miałaś rację co do Julesa i Elliota.

- Nie gniewam się.

- Trzeba by się wybrać na zakupy - zaproponowała. - Czuję przemożną potrzebę szybkiego kupienia butów. Wielu! Powinnyśmy poprawić sobie humor sprawdzoną terapią zakupową.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Spojrzałam na zegar.

- Muszę złożyć zeznanie o tym, co się stało wczoraj w nocy. Zadzwoń później.

- Zeszłej nocy? - przeraziła się Vee. - Wiedzą, że byłaś w szkole? Chyba nie podałaś im mojego nazwiska?

- Wiesz, bo trochę wcześniej coś się wydarzyło. - I miało na imię Dabria. - Czekaj na telefon - dodałam, odkładając słuchawkę, żeby się już bardziej nie pograżać w kłamstwie.

Pokuśtykałam przez korytarz. Ledwie zdążyłam dojść do szczytu schodów, kiedy zobaczyłam, kogo wpuszcza mama.

Detektywów Basso i Holstijica.

Wprowadziła ich do salonu. Holstijic z miejsca klapnął na sofę, ale Basso nie usiadł. Stał tyłem do mnie, ale gdy schodziłam, schody zaskrzypiały.

- Nora Grey - odwracając się, powiedział tym swoim ostrym głosem gliniarza. - Znow się spotykamy.

Mama zamrugła powiekami.

- To wy się znacie?

- Pani córka prowadzi bujne życie. Ostatnio bywamy tu dość często.

Mama spojrzała na mnie pytająco, a ja wzruszyłam ramionami na znak: „Policyjny dowcip”.

- Noro, usiądź, proszę, i opowiedz, co się wydarzyło wczoraj wieczorem - powiedział Holstijic.

Opadłam na pluszowy fotel naprzeciwko sofy.

- Przed dziewiątą popijałam w kuchni mleko czekoladowe, gdy nagle zjawila się moja szkolna psycholożka, pani Greene.

- Jakby nigdy nic? - zapytał Basso.

- Kiedy powiedziała, że chce coś odzyskać, uciekłam na górę i zamknęłam się w sypialni...

- Chwileczkę - przerwał mi Basso. - Co odzyskać?

- Nie wiem, ale wspomniła, że tak naprawdę nie jest psycholożką, tylko pracuje w szkole, żeby szpiegować uczniów. - Dla potwierdzenia tych słów popatrzyłam w oczy wszystkim zebrany. - Pewnie wariatka?

Policjanci wymienili spojrzenia.

- Sprawdzę, co to za jedna - odparł Holstijic, wstając.

- Nie rozumiem - zwrócił się do mnie Basso. - Oskarżyła cię o kradzież mienia, ale nie powiedziała, o co chodzi?

Znów nieciekawe pytanie.

- Wpadła w histerię. Rozumiałam co drugie zdanie. Uciekłam i zamknęłam się w sypialni, ale wyłamala drzwi. Kiedy schowałam się w szybie kominka, zaczęła krzyczeć, że spali cały dom i w końcu mnie znajdzie. Potem wybuchł pożar. W samym środku pokoju.

- Jak to się stało? - zapytała mama.

- Nie wiem, byłam w kominku.

- Niedorzeczność. - Basso pokręcił głową. - W życiu nie miałem z czymś takim do czynienia.

- Wróci? - spytała policjantów mama, opiekuńczo ogarniając mnie ramieniem. - Czy Nora jest bezpieczna?

- Radziłbym założyć system alarmowy - Basso otworzył portfel i wręczył mamie wizytówkę. - To solidna firma. Proszę się powołać na mnie; dostanie pani rabat. Kilka godzin po wyjściu policjantów znów rozległ się dzwonek.

- To pewnie z tej firmy od alarmów - stwierdziła mama, kiedy zeszałam na dół. - Jak zadzwoniłam, powiedzieli, że kogoś dzisiaj przyślą. Nie zmrużę oka bez ochrony, dopóki nie zamkną pani Greene. Ciekawe, czy dyrektor sprawdził jej referencje. - Otworzyła drzwi.

Na werandzie stał Patch w wypłowiałych dżinsach i obcisłym białym podkoszulku, ze skrzynką narzędziową w lewej ręce.

- Dobry wieczór pani.

- Patch. - Nie byłam do końca pewna, czy mama chce zakomunikować zdziwienie, czy niepokój. - Umówiłeś się z Norą?

Uśmiechnął się.

- Przyszedłem zainstalować system alarmowy.

- Myślałam, że pracujesz gdzie indziej - odparła mama. - Sądziłam, że w Granicy...

- Znalazłem nową pracę. - Pod jego spojrzeniem poczułam taki żar, jakbym dostała gorączki. - Możesz wyjść? - zapytał.

Ruszyłam za nim w stronę motocykla.

- Mamy jeszcze masę spraw do obgadania - powiedziałam.

- No co ty? - Pokręcił głową, pełen pożądanja. - Będziemy się całować - przeniknął moje myśli.

Nie było to pytanie, tylko ostrzeżenie. Nie słysząc protestu, uśmiechnął się szeroko i pochylił nade mną. Pierwsze muśnięcie jego ust ledwie na mnie podziałało. Okej: drażniąca i kusząca miękkość. Kiedy oblizawałam wargi, cały się rozpromienił.

- Jeszcze? - spytał.

Przesuwając dłonią po jego włosach, mocniej przyciągnęłam go do siebie.

- Jeszcze.

<http://chomikuj.pl/anastazja352>